**SAGA O LUDZIACH LODU  
Tom XXX  
Bestia i wilki**

Margit Sandemo

ROZDZIAŁ I

Nigdy żaden człowiek na ziemi nie był bardziej samotny niż mały Henning Lind z Ludzi Lodu w ten mroźny marcowy poranek 1861 roku, kiedy wracał do Lipowej Alei, do pustego domu.

Wszystko zamarznięte. Szron migotliwymi kryształkami pokrył trawę i krzewy. Budynki stały jakby powleczone mieniącą się warstwą zlodowaciałej mgły. Para szła koniowi z pyska, gdy zmęczony wkraczał nareszcie na dziedziniec.

Jedenastoletni Henning czuł odrętwienie w każdej najmniejszej komórce swego ciała. Twarz miał stężałą, ale raczej nie z zimna, lecz z powodu uczuć, jakich doświadczał.

Nie mógł myśleć jasno. Nie miał odwagi. Nie był w stanie spoglądać w przyszłość. Musiał żyć chwilą bieżącą, musiał działać, a nie zastanawiać się.

W dwukółce wiózł drogocenny ładunek: nowo narodzone bliźnięta Sagi, osieroconych chłopców Ulvara i Marca.

Obejście leżało pogrążone w ciszy. Nikt mu nie wyszedł na spotkanie. Zresztą może tu już nigdy więcej nikogo nie będzie?

Nie, tak nie wolno myśleć! Dzieci... Trzeba je zanieść do domu. Jedynie to ma teraz jakiekolwiek znaczenie.

W swoim krótkim życiu Henning zdążył się dowiedzieć dużo więcej o okrucieństwie losu niż niejeden dorosły człowiek. Bał się, że teraz będzie miał wielę okazji, żeby tę wiedzę pogłębiać.

Zeskoczył z dwukółki i wziął jedno z dzieci. Z ciągle przyjemnie ciepłego zawiniątka dało się słyszeć żałosne kwilenie. Gdyby nie to ciepło, malec by nie przeżył podróży w nocnym chłodzie.

Henning zobaczył, że w tłumoczku leży Marco. Cudownie piękny, ciemnowłosy chłopczyk.

Jakże oni się między sobą różnią...

Przyciskał mocno zawiniątko z noworodkiem, wyjmując klucz ze schowka w murze. Właśnie mijała doba od chwili, gdy on i Saga wyruszyli w drogę na spotkanie jego rodziców. Jak wiele wydarzyło się w ciągu tej jednej jedynej doby!

Dzień i noc tak pełne niesamowitych wydarzeń, że starczyłoby ich na cały rok.

Otworzył drzwi. Ze środka wypełzło mu na spotkanie zimno.

— Nie bójcie się — powiedział swoim ufnym dziecięcym głosem. — Henning zaraz napali i będziecie mieć ciepło.

Marco został ułożony w pięknym łóżku z wysokimi szczytami, w dużym łożu rodziców. Henning przełknął ślinę, patrząc na to posłanie, i pospieszył z powrotem na dziedziniec.

Łzy wyschły mu już dawno temu. To nie był czas na łzy.

Choć stanowczo zabronił sobie rozmyślać nad sytuacją, nie był w stanie powstrzymać pracy mózgu. Całkowicie niezależnie od jego woli krążyła mu po głowie uparta myśl: Wczoraj po południu... Wczoraj po południu dowiedzie1iśmy się, Saga i ja, że statek, którym mieli płynąć rodzice, zaginął. W pobliżu Malen, rozległego usypiska kamieni na morskim dnie, które jest największym w Norwegii cmentarzyskiem okrętów.

A potem w drodze do domu stało się to niepojęte! Nigdy tego nie zrozumie, żeby nie wiem jak długo żył. Podniósł zawiniątko z małym Ulvarem, starając się nie patrzeć na jego zniekształconą, straszną twarzyczkę. Również derka, w którą ten malec był owinięty, zachowała zdumiewająco dużo ciepła i chroniła nowo narodzoną istotkę przed mrozem. Pobiegł z małym do domu i ułożył go obok brata.

— Koń — mruknął sam do siebie, ale też jakby tłumacząc się dwóm noworodkom. — Muszę wprowadzić konia do stajni. Nie może stać na zimnie. Zaraz wrócę!

Z największym pośpiechem wyprzągł zwierzę, wprowadził je do stajni i zadał paszę. W stajni panowało ciepło, płynące tu z sąsiedniej obory. Koń dostał siana i pełne wdzięczności przyjacielskie klepnięcie w zad.

Krowy porykiwały niecierpliwie.

— Zaraz przyjdę was wydoić — obiecał Henning.

Najpierw jednak nausiał zająć się dziećmi.

Obaj chłopcy popłakiwali, kiedy wszedł do zimnego domu. Żałosne, bezradne kwilenie dochodziło od strony łóżka.

— Zaraz, za chwileczkę — uspokajał ich Henning, który poczuł się kompletnie zagubiony i bezradny. W co ubierze tych malców? I jak zdoła ich nakarmić?

Nie mógł sobie poradzić z rozpaleniem ognia, działał zbyt gorączkowo. Nie mógł się skupić na tym, co robi, bo wciąż przeszkadzały mu podstępne myśli, których starał się do siebie nie dopuszczać, a które mimo to ani na chwilę nie dawały mu spokoju.

Poród... Przyjście na świat dzieci, którymi teraz sam musiał się opiekować. Saga, która krwawiła tak strasznie i nieuchronnie oddalała się od świata ludzi. I potem jeszcze...

Czy on to naprawdę przeżył?

Te dwie czarne istoty, które zabrały Sagę, zanim zdążyła skonać? Które podarowały jej nowe życie dzięki temu, że ją zabrały do... Saga wspominała o Lucyferze. Czy poszła teraz do tego czarnego anioła, który nie jest Szatanem?

Cokolwiek to było, Saga zniknęła. Anioły zabrały ją ze sobą. Uniosły ją na swoich silnych ramionach, a dwoje dzieci zostawiły. Dar Lucyfera dla Ludzi Lodu, powiedziały. Czarne anioły dotknęły nędznych becików i tchnęły w nie ciepło, które dotychczas się nie ulotniło. A jeden z przybyszów położył rękę na głowie Henninga. Powiedział, że to on musi teraz zająć miejsce wybranych. Saga należała do wybranych. Więc Henning miałby zająć miejsce Sagi? Ale to przecież niemożliwe!

Dotknął ręką ubrania na piersi. Znajdowała się tam alrauna. Uspokajająca, pocieszająca. A kiedy ów anioł położył rękę na głowie Henninga, to... to tak, jakby... tchnął w niego siłę. Chłopiec poczuł się mocny, jakby był najsilniejszym człowiekiem na całym świecie. Niestety, to uczucie rozwiało się, kiedy niezwykła postać zniknęła, i Henning stał się na powrót małym, bardzo samotnym chłopcem, na którego spadła zbyt wielka odpowiedzialność.

Ogień palił się w piecu, po izbie rozchodziło się ciepło.

— Czy możecie jeszcze chwilkę poleżeć? — pytał z troską malców. — Muszę iść wydoić krowy. Potrzebuję przecież mleka dla was. Jesteście już pewnie bardzo głodni?

Byli głodni, to nie ulegało wątpliwości. Krzyczeli obaj ile sił. Nie stać ich było na razie na zbyt wiele, ale mimo wszystko żałosne kwilenie przenikało Henninga da szpiku kości. Dręczyły go straszne wyrzuty sumienia.

Chyba nigdy w życiu szybciej nie wydoił krów. W biegu rzucił śniadanie wygładniałym zwierzętom — siano krowom, zupę świniom, ziarno kurom i tak dalej. Sprzątanie w oborze i chlewie zostawił na później.

Potem niczym pracowity krasnoludek przebiegł z pełnymi mleka wiadrami przez podwórze do domu.

Uważał, że sprawą najważniejszą jest nakarmienie malców. Zostawił ich jeszcze na chwilę w ciepłych becikach i zajął się przygotowaniem mleka. Podgrzał je i... Co to Saga mówiła? Żeby zmieszać mleko z wodą?

Ale jakim sposobem zdoła ich napoić?

Kiedy siedział na taborecie przy łóżku z kubkiem mleka i próbował łyżeczką wlewać je małeństwom do ust po kropelce, przyszła Line z Eikeby.

Była to chuda kobieta o bladej twarzy, z pewnością dużo młodsza niż na to wyglądała. Każda najmniejsza linia w jej twarzy i w całym ciele opadała w dół. Line nie zachawała niczego, co można by nazwać figurą lub czystymi rysami. Życie wypełnione nieustanną pracą ponad siły i wieczne zmanwienia wyryły głębokie ślady. Mąż Line chciał sprzedać Eikeby ludziom z miasta, którzy wciąż osiedlali się w parafii Grastensholm czy raczej na terenie, który kiedyś parafią Grastensholm był. Ona sama nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, ale żal, że będzie musiała opuścić dom rodzinny — bo to ona wniosła zagrodę w posagu — był dla niej trudny do zniesienia.

Właściciele Eikeby uważali się zawsze za krewnych Ludzi Lodu. Matka Mattiasa pochodziła przecież stamtąd. Jeśli Ludzie Lodu potrzebowali pomocy w gospodarstwie, zwracali się przede wszystkim do Eikeby. W ciągu ostatniego półwiecza, odkąd Heike sprowadził do Grastensholm ów nieszczęsny szary ludek, sytuacja mocno się skomplikowała. Kiedy jednak Saga zdołała przegonić upiory, mieszkańcy Eikeby ponownie zbliżyli się do Ludzi Lodu. Dokonywało się to powoli, dawały o sobie znać wyrzuty sumienia, że zdradzili „krewnych” na tak długo.

— Jezus Maria — jęknęła Line od progu. — Co ty tam masz?

— Och, Line, pomóż mi. Oni nie chcą pić! — wołał Henning na pół z płaczem. — Tak się boję, że oni mi pomrą z głodu!

— Co ty mówisz, chłopcze? Czy to dzieci pani Sagi? Już urodziła? A gdzie ona? No tak, rozumiem, leży...

— Sagi nie ma — zaszlochał Henning żałośnie.

— Nie ma? Jak to nie ma? O mój Boże, widziałeś kiedy takie śliczne dzieciątko? Widziałeś taką piękną buźkę? A ten drugi... Och, nie, Panie, zmiłuj się nade mną, o, fuj, siło nieczysta! Co za nieszczęście, świat i ludzie nie widzieli... Że też się takie mogło urodzić! Ja znałam przecież pana Heikego, powiadam ci, ale ten tutaj to gorszy od największego paskudztwa! No, Henning, ale to przecież musiało... musiało... O, w imię Ojca i Syna... Przecież to musiało kochanej pani Sadze... — głos jej zniżył się do szeptu — odebrać życie! A gdzie ona jest teraz? W pokoju na górze?

Henning także szeptał zdrętwiałymi wargami.

— Nie. Ona umarła w nocy. W drodze do domu.

— Leży... na bryczce?

— Nie, została tam. Daleko stąd.

Line próbowała jakoś przyswoić sobie te wiadomości. Trwało to dłuższą chwilę.

— O, dziecko kochane! — powiedziała w końcu. — Gdzie? Musimy ją sprowadzić do domu.

Myśli Henninga gnały jak szalone. Przecież nie może powiedzieć, że przybyły dwa czarne anioły, żeby ją zabrać.

— Nie, to... nie jest potrzebne. Tam byli jacyś ludzie. Chrześcijanie, chciałem powiedzieć. Obiecali, że się nią zajmą. Urządzą jej pogrzeb jak trzeba. Zaraz tam.

— Ale musicie chyba...

— Ona była bardzo okaleczona.

— Aha. Rozumiem — powiedziała Line ochrypłym głosem. — No, a twoi rodzice? Gdzie oni są? Nie możesz tu przecież siedzieć sam z dwoma noworodkami.

— Oni wrócą niedługo — rzekł pospiesznie Henning. — Statek się spóźnił.

Line przyglądała się chłopcu. Był naprawdę sam w domu. Z dwoma noworodkami?

Broda mu drżała.

— Spóźnił się? — zapytała. — Tyle dni?

— Nic groźnego się nie stało — tłumaczył bezbarwnie. — Statek nie trafił na Malen, po prostu zniosło go na inny kurs...

— Czy ten statek zaginął?

— Tylko na razie. Wkrótce go odnajdą. On na pewno jest na morzu, ale my nie mogliśmy czekać, bo Saga czuła się źle i musieliśmy wracać.

Line zrozumiała, że chłopiec więcej już nie zniesie. Jego blada jak ściana twarz i niechęć do rozmowy o tym, co się stało, świadczyły też wymownie, że właśnie teraz śmiertelnie się boi współczucia. Ten malec miał swoją dumę.

— Dzieci — bąknęła i podeszła do łóżka. — Dzieci muszą dostać jeść.

Co do tego nie mogło być najmniejszych wątpliwości. Maleństwa wciąż dzielnie krzyczały swoimi wątłymi głosikami, tak słabymi, że nawet nie przeszkadzały w rozmowie.

— Poczekaj, niech no się zastanowię... — powiedziała Line. — Czy jest ktoś w okolicy, kto mógłby je karmić? Tyle teraz nowych ludzi się nasprowadzało, że nie znam nawet połowy. Nie, naprawdę nie znam żadnej kandydatki na mamkę, ale popytam. W każdym razie nie możesz ich karmić łyżeczką. Nic z tego nie będzie. Ale w domu mam smoczek, karmi się przez niego osierocone jagnięta. Zaraz go przyniosę.

Line zniknęła za drzwiami. Henning opadł na krzesło. Nie był w stanie nawet uświadomić sobie, jakie to groteskowe, że noworodki mają być karmione używanym smoczkiem, przez który piły jagnięta.

Pogłoski szybko rozniosły się po paraFi. Henning miał bardzo trudny dzień, zwłaszcza z przyjmowaniem wszystkich ciekawskich i chętnych do pomocy, którzy odwiedzali go licznie i niemal bez przerwy.

Zaleziono mamkę, ale ona zgodziła się karmić tylko ładne dziecko. Z Ulvarem nie chciała mieć do czynienia. Nieszczęsny Henning był całkowicie wykończony, a nie potrafił na nic się zdecydować. Co robić? Wokół łoża w którym leżały dzieci, stała liczna grupa kobiet.

— Jakiż to śliczny aniołeczek — cmokały wzruszone urodą Marca.

Dobrze, dobrze, myślał Henning złośliwie. Ciekawe, co by zrohiły, gdybym im opowiedział o ojcu chłopca? Może nareszcie mielibyśmy tu spokój.

Ale, rzecz jasna, niczego takiego nie zrobił.

Było już południe i Henning czuł się śmiertelnie zmęczony. Nikt jednak nie miał czasu zastanawlać się nad jedenastoletnim chłopakiem ani nad tym, jak ciężkie obowiązki na niego spadły.

Mały Marco został zaopatrzony w ubranka, które zebrano w okolicy, lecz Ulvarem nie chciał się zająć nikt. Henning prosił, żeby mu pozwolono wykorzystać to, co zostało, i po długich, prowadzonych szeptem naradach kobiety wyraziłg zgodę. Tylko że ubrać Ulvara musiał Henning sam. Robił to niezdamie, a serce krwawiło mu z bólu, gdy patrzył na to zdeformowane ciałko, na okropne spiczaste barki, które odebrały Sadze życie.

W końcu obaj chłopcy ubrani leżeli w łóżku. Kobiety zasłoniły buzię Ulvara, żeby na niego nie patrzeć, ale nieustannie przychodził ktoś nowy, kto odsuwał pieluszkę, bo bardzo chciał się przestraszyć.

Mamka postanowiła natychmiast zabrać Marca ze sobą do domu, lecz Henning przeciwstawił się temu stanowczo. Z drżeniem w sercu usiadł na krawędzi łóżka, jakby chciał osłaniać dzieci, i wyyaśnił, że obiecał umlerającej matce, iż jej maleństw nie rozłączy. W końcu mamka przyrzekła, że będzie przychodzić kilka razy dziennie karmić noworodka. Mieszkała niedaleko.

Ale co z Ulvarem... Ktoś mruknął pod nosem: „Najlepiej, żeby go Pan Bóg zabrał...” A inni pokiwali głowami. Line z Eikeby była jedyną osobą, która okazywała jakieś zrozumienie sytuacji. Nie znalazła prymitywnej butelki ze smoczkiem dla jagniąt, i chyba dobrze, że się tak stało, ale nauczyła Henninga, jak karmić malca gałgankiem maczanym w mleku. Sama jednak też nie chciała nawet dotknąć tego „diabelskiego dzieciaka”, bo miała w domu liczną rodzinę, której nie mogła pozbawić matki. Henning mimo wszystko dziękował jej serdecznie i przygotował mleko zgodnie z zaleceniami Sagi. Zabrał Ulvara do kuchni i trzymając go na kolanach, po długich i trudnych próbach, zdołał go w końcu nauczyć ssać zwinięty w rulonik płócienny gałganek.

Żeby tylko kobiety zgromadzone w pokoju przestały wciąż powtarzać, jakie to tragiczne, że Viljar i Belinda z Ludzi Lodu zginęli oboje jednocześnie! Nie chciał tego słuchać. Najehętniej zatkałby sobie uszy rękami, ale wtedy upuściłby dziecko.

Żółte wąskie oczka zwróciły się ku niemu, na wpół jeszeze ślepe szukały jego twarzy. Makabryczne rysy krzywiły się niecierpliwie za każdym razem, kiedy Henning musiał umoczyć gałganek w mleku.

— Niczego się nie bój, Ulvarze — mówił do niego uspokajająco. — Henning jest przy tobie. Możesz na mnie polegać, ja jestem twoim przyjacielem i nigdy cię nie opuszczę. Nie słuchaj tych głupich bab, bo mama i tata zaraz wrócą, a wtedy będziemy mieć bardzo dnbrze. Bo wiesz, oni są strasznie kochani, oboje.

Diabelskie oczy patrzyły na niego bez wyrazu.

Pamiętał, co powiedzieli czarni aniołowie, kiedy stali obok dzieci w cichą noc:

„Od jednego z nich przyjdzie ten, który podejmie walkę z Tengelem Złym. Drugi z chłopców ma do spełnienia inne zadanie. Obaj są darem naszego władcy dla Ludzi Lodu.”

Który z nich jest którym?

To nie ma znaczenia. Henning będzie się zajmował obydwoma. Będzie ich traktował tak samo.

Mały, dzielny Henning. Był zbyt młody, żeby wiedzieć, iż nie można dwojga dzieci traktnwać najzupełniej tak samo. Ci rodzice, którzy starają się być sprawiedliwi wobec swoich dzieci aż do najdrobniejszych szczegółów, zawsze wobec jednego z nich są niesprawiedliwi. Bo same dzieci mają różne oczekiwania i różnie pojmują świat.

W końcu obaj chłopcy zostali nakarmieni, a gromada bab gadała tak, że Henningowi mało głowa nie pękła. Nadchodził wieczór, Henning nade urszystko potrzebował snu, ale skąd wziąć czas! Inwentarz trzeba nakarmić, i...

Poszedł z Ulvarem do pokoju.

Kiedy uslyszał, że któraś z kobiet mówi:

Pani Lie jest na probostwie. Przyjechała w odwiedziny do Pastorowej. Tak, no właśnie, to była właścicielka Elistrand. Teraz jest wdową. Już wie, co się stało, i podobno tu idzie.

Babcia? Henningowi poczerwieniały uszy. „Czcij ojca swego i matkę swoją”, napisano w Biblii. Ale nie ma tam nic o babciach. Na szezęście. Bo on nigdy nie lubił tej babci, która zawsze tak źle odnosiła się do ukochanej mamy Henninga a swojej córki, Belindy, i nienawidziła Viljara, bo nie potrafił utrzymać Grastensholm. Kiedy utracili duży dwór, babcia odepchnęła ich od siebie, nie chciała mieć z nimi do czynienia. Nigdy im w niczym nie pomogła, umiała tylko żądać.

Henning bał się tej babci. Paraliżowała jego wolę.

Kobiety sprzeczały się teraz, kto się najlepiej nadaje do tego, by zająć się ślicznym Markiem. Nikt już nie słuchał nieśmiałych protestów Henninga, że nie wolno rozdzielać braci. Czuły się niebywale ofiarne i miłosierne, bo uwolniły go od odpowiedzialności za jednego z chłopców.

W tej chwili do domu wkroczyła pani Lie. Stanęła w progu wypełniając swoją godną osobą prawie całe drzwi. Wyglądała jak flagowy okręt w pełnej gali.

— Henning, mój wnuku — odezwała się głębokim basem. — Cóż to ja słyszę na temat twoich rodziców? Naprawdę się potopili?

Chłopiec zrobił się upiornie blady.

— Nie, nle, tylko się trochę spóźniają.

— To właśnie podobne do tego twojego nieodpowiedzialnego ojca, żeby zabierać moją córkę w taką niebezpieczną podróż! A teraz zostałeś sam, dziecko drogie! Ale, naturalnie, przeprowadzisz się do nas. I, jak słyszę, masz tu dwoje malutkich dzieci. Bliźnięta Sagi. O, drogie dziecko, przez co ty musiałeś przejść! I podobno jedno z bliźniąt jest dotknięte! Tak, tak, zawsze to powtarzałam, moja córka w żadnym razie nie powinna była wychodzić za mąż za jednego z tych okropnych Ludzi Lodu...

Henning nie bardzo pojmował, co babcia chciała przez to powiedzieć. On sam jest przecież dzieckiem Belindy i, jak sądził, nic mu nie brakuje. Ulvar zaś jest dzieckiem Sagi. Sagi ze Szwecji.

Chociaż są krewnymi, to prawda. Tyle że dość dalekimi. Wszyscy pochodzą z Ludzi Lodu, więc babcia ma pewnie rację. Choć niezbyt uprzejmie jest teraz o tym mówić.

Pani Lie utorowała sobie drogę pomiędzy stojącymi kobietami, prawdę mówiąc przegnała je z pokoju wymownymi gestami rąk, i zaczęła się przyglądać dzieciom. Skrzywiła się z obrzydzeniem na widok Ulvara, ale złagodniała, gdy spojrzała na Marca.

— Czarujący chłopczyk!

Zniżyła głos aż do niewyraźnego mamrotania przez zaciśnięte zęby. Nawet nie było widać, czy porusza wargami.

— Saga była samotna, prawda? A należała do najlepiej sytuowanej gałęzi Ludzi Lodu. Henning, mam rację?

— Tak — potwierdził.

— W takim razie ty także po niej dziedziczysz?

— Saga powiedziała, że jeśli zajmę się chłopcami, to majątek powinienem podzielić równo pomiędzy nas trzech. A ja obiecałem, że chętnie się zaopiekuję jej dziećmi — rzekł z bólem serca, bo uważał, że pieniądze nie mają akurat teraz znaczenia.

— Bzdura — oświadczyła pani Lie. — Nie ma sensu, żeby takie pokraczne dziecko w ogóle cokolwiek dziedziczyło, trzeba je oddać do jakiegoś domu. Majątek podzieli się między ciebie i tego ładnego chłopczyka, to wystarczy. I obaj przeniesiecie się do nas, to oczywiste. Nie możecie tu mieszkać sami.

— Nieee! — zawył Henning w rozpaczy. — Ja muszę tu zostać! Muszę czekać na mamę i ojca.

— Oni nie wrócą, musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Im szybciej, tym lepiej.

— Wrócą! — zawołał z uporem. — I muszę zatrzymać obu chłopców. Razem! Przyrzekłem to Sadze.

Zdawało mu się, że przez cały dzień walczy z gromadami atakujących go kobiet. Nawet Line nie chciała mu pomóc, odmawiała wszelkiego kontaktu z Ulvarem.

Babcia podeszła do niego i złapała go za ucho, tak jak zawsze postępowała z upartą Belindą wiele łat temu...

— Milcz, chłopcze! — syknęła przez zęby. — Ja zawsze mam rację, a tego okropnego bachora oddamy do domu dla takich i potem...

— Nic z tego nie będzie! — rozległ się spokojny głos od drzwi.

Odwrócili się oboje, Henning w dalszym ciągu z uchem boleśnie ściskanym palcami potwornej babci. Przy wejściu stała młoda kobieta o dość pospolitym wyglądzie, niezbyt zgrabna, ale o budzącym zaufanie spojrzeniu. Miała na sobie podróżne ubranie, a w ręku trzymała sporą walizkę.

— Wszystkiego już się dowiedziałam na podwórzu, Henning — oznajmiła. — Jestem Malin, twoja kuzynka zeSzwecji, ale musiałbyś się cofnąć niemal do Tengela Dobrego, żeby odnaleźć to pokrewieństwo. Jestem córką Christera i wnuczką niezwykłej Tuli. Byłam serdeczną przyjaciółką Sagi. Napisała mi wprawdzie, że nie będzie potrzebowała mojej pomocy, ale wywnioskowałam z tego jej listu, że chyba jednak sama nie da sobie rady. I przyjechałam. Jak widzę, w odpowiednim momencie.

Pani Lie i Henning słuchali całkowicie zaskoczeni. Ręka pani Lie opadła. Henning nie wiedział, co powiedzieć. Wobec tego Malin mówiła dalej:

— Nic nie będzie z zamiaru rozdzielenia dzieci, pani Lie. Zostaną tutaj w Lipowej Alei, z Henningiem, a ja zamieszkam z nimi i będę im pomagać. Poza tym musimy być na miejscu i czekać na rodziców Henninga.

Podbiegł teraz do niej i ukrył twarz na jej piersi.

— Panienka zamierza zagarnąć pieniądze, jak rozumiem — rzekła pani Lie cierpko. — I pozbawić mojego wnuka tego, co mu się należy!

— Nie rozmawiamy tu o pieniądzach, proszę pani. Mówimy o dwóch malutkich sierotach.

— O trzech — sptostowała pani Lie.

Henning zwrócił ku niej twarz, ale nie opuszczał bezpiecznej przystani w ramionach Malin.

— Nie! — krzyknął głośno. — Moi rodzice żyją! A Saga powiedziała, że jeśli Malin przyjedzie, to mam moją część podzielić na dwoje, pomiędzy nią i siebie. I tak zrobimy, bo Malin jest bardzo miła, tak powiedziała Saga, o!

Malin zaś dodała spokojnie:

— Myślę, że będzie najłepiej, jeśli pani już sobie pójdzie, pani Lie. Z tego, co wiem, nigdy pani nie była wsparciem dla Belindy i jej rodziny, kiedy tak bardzo potrzebowali pomocy. Natomiast motywy, dla których teraz chce pani zająć się Henningiem i jednym z noworodków, wydają mi się, łagodnie mówiąc, wstrętne. Damy sobie znakomicie tadę oboye z Henningiem, ja mam wykształcenie pielęgniarskie, jestem silna i zdrowa. A Saga w swoich listach nachwalić się nie mogła Henninga, jaki to zdolny i dzielny chłopiec, jak znakomicie zajmuje się gospodarstwem. Jeśli zaś chodzi o pieniądze, to mam wystarczająco dużo własnych. W takiej sytuacji przyjaźń ma dla człowieka największe znaczenie, jest ważniejsza niż wszelkie bogactwa świata. Ja nie potrzebuję pieniędzy. Spadek po Sadze należeć będzie do trzeeh chłopców.

Pani Lie zacisnęła wargi.

— No, zobaczymy. Będę miała na panią oko, moja dobra panienko! Kobieta, która się kształci i zdobywa zawód, nie cieszy się moim szacunkiem. Dobrze jednak rozumiem, że grozi pani staropanieństwo, a w takiej sytuacji człowiek popada w desperację. Tylko że szanse pani teraz nie wzrosną, o tym mogę panią zapewnić. Mężczyźni nie przepadają za takimi samodzielnymi kobietami, które nie nauczyły się, gdzie jest ich miejsce.

I po tej „morderczej” salwie pani Lie z godnością pożeglowała do wyjścia.

Malin próbowała stłumić uśmiech.

— Zastanawiam się, która to z nas nie zna swojego miejsca — powiedziała cicho. — Tego typu kobiety zawsze jakoś znajdą takiego biedaczynę, któremu przez całe życie jeżdżą po głowie.

Po raz pierwszy tego dnia Henning pozwolił sobie na blady uśmiech.

— Dziadek był właśnie takim biedaczyną, jak mówisz. — Jeszcze raz uściskał kuzynkę. — Och, Malin, jak ja się cieszę, że przyjechałaś!

— I ja się cieszę — powiedziała łagodnie. — Ale widzę, że to, czego ty potrzebujesz teraz najbardziej, to położyć się i spać, spać! Poproszę Line z Eikeby, żeby mi pomogła przy obrządku dziś wieczorem. Ona robi bardzo dobre wrażenie. Zatem zostaw teraz wszystko Malin i jazda do łóżka!

— Ale jeśli mama i tata wrócą?

— Wówczas obudzę cię natychmiast.

Henning odetchnął. Poczuł się śmiertelnie zmęczony.

Kiedy już się położył, Malin przyszła, żeby go okryć.

— Malin — wyszeptał sennie. — Nie miałem czasu, żeby o tym porozmawiać, ale ja tak strasznie tęsknię za Sagą.

Skinęła głową i pogłaskała go po twarzy.

— Oboje za nią tęsknimy. Tak mi przykro z powodu tego, co się stało. Jutro o wszystkim mi opowiesz, dobrze?

— Tak. i musimy się opiekować obydwoma jej synkami.

— Przgnajmniej tyle możemy dla niej zrobić.

Henning zasnął natychmiast. Malin okryła go starannie i zeszła na dół zająć się domem. O własnym zmęczeniu musiała po prostu zapomnieć.

Stała przez chwilę przy łóżku i przyglądała się dwóm śpiącym spokojnie noworodkom. Na jej twarzy malowało się głębokie zatroskanie. Spoglądała to na jednego z chłopców, to na drugiego. Raz za razem.

W końcu wyszła na podwórze.

Kiedy jednak pomyślała o własnym życiu, jej serce mimo wszystko przepełniał spokój. Nareszcie znalazła swoje miejsce. Tu naprawdę będzie mogła wykorzystać wykształcenie i być przydatna.

Pod jej opieką znalazło się nieoczekiwanie trzech małych chłopców. I wszyscy rozpaczliwie tej opieki potrzebowali.

To było niezwykle przyjemne uczucie. Jest im potrzebna, niezbędna.

Mały Henning. Co on musiał przeżyć ostatniej doby!

Mimo woli spojrzała na drogę. Ale żaden powóz z rodzicami Henninga nie nadjeżdżał. W gruncie rzeczy nie umiałaby powiedżieć, czy spodziewa się tego, czy nie.

ROZDZIAŁ II

Wkrótce Henning i Malin zaprzyjaźnili się serdecznie. Darzyli się wzajemnym zaufaniem. Pracę w Lipowej Alei podzielili pomiędzy siebie tak, jak to przedtem zrobili Henning i Saga. Z tą tylko różnicą, że Malin była dużo silniejsza, jakby bliższa ziemi, więcej wiedziała o gospodarstwie i była bardziej pewna siebie.

Ona także prowadziła sprawy finansowe. Ponieważ w okolicy wyrosło wiele eleganckich willi, zatroszczyła się o to, by Henning sprzedawał ich mieszkańcom mleko, masło i inne produkty rolne. Zarabiał na tym nieźle, bo sąsiedzi byli na ogół ludźmi dobrze sytuowanymi, toteż bez uszczerbku dla nikogo w Lipowej Alei zawsze jacyś biedacy otrzymywali wsparcie.

Obaj chłopcy, Ulvar i Marco, nie mogli mieć lepszej opieki. Mamka przychodziła regularnie i karmiła Marca, obmyślili też lepszy sposób karmienia Ulvara, żeby nie musiał ssać gałganka.

Henning, rzecz jasna, nie miał zbyt wielu wolnych chwil, ale jeśli tylko coś takiego się zdarzyło, natychmiast siadał przy oknie i wyglądał na drogę. Na początku z wielkim zapałem. Wciąż wierzył, że rodzice mogą się pojawić dosłownie w każdej chwili.

Od czasu do czasu wyjeżdżał konno, żeby ieh spotkać. Wracał na ogół późno, niestety zawsze sam.

Z czasem wyraźnie przycichł, a w jego oczach pojawił się cień. Malin widziała to wszystko, ale nie znajdowała żadnej pociechy, bo i skąd. Jedyne, co mogła zrobić, to kierować jego uwagę na inne sprawy, na pracę, którą trzeba było wykonać, a czasem nawet wymyślała coś zabawnego. Tylko co zabawnego można było znaleźć w tej sytuacji?

W końcu pewnego dnia przyszedł list. Od towarzystwa, którego własnością była „Emma”. List zaadresowano do „Młodego Henninga Linda z Ludzi Lodu”.

Długo siedzieli przy kuchennym stole, nie mając odwagi rozerwać koperty. Malin widziała, jak nadzieja w oczach Henninga gaśnie, a jej miejsce zajmuje coraz wyraźniejszy lęk... Pragnienie, żeby odsunąć jak najdalej tę chwilę, żeby po prostu położyć się i zasnąć, a potem spać dopóty, dopóki wszystkie straszne zmartwienia nie miną i nie nadejdą słowa, zapowiadające rychły powrót rodziców.

W końcu westchnął ciężko, ale zdecydowanie:

— Otwórz list, proszę cię!

Malin także wolałaby tego uniknąć. I ona wolałaby czekać dalej z nadzieją, że wkrótce rozlegną się przy wejściu radosne głosy.

Wiedziała jednak, że otwarcie tego listu jest jej obowiązkiem. Nie można wymagać od jedenastolatka...

Stanowczym ruchem rozerwała kopertę.

Litery tańczyły jej przed oczyma. Było tak, jak się obawiała. Martwym głosem odczytała Henningowi treść listu:

Mamy bolesny obowiązek poinformować, że wrak żaglowca „Emma” odnaleziono na wybrzeżu na północ od Arendol, Morze wyrzuciło na lą także zwłoki dwojga podróżnych, lecz żadne z nich nie było Pańskim krewnym. Ponieważ mineęło już bardzo wiele czasu od katastrofy, musimy liczyć się z tym, że nikt nie przeżył.

Malin opuściła list na kolana. Nie miała siły czytać ostatnich zdań, wyrażających ubolewanie i współczucie.

Jakby cała życiowa energia opuściła oboje. Siedzieli bez ruchu, dopóki nie zapadł zmierzch. Nie byli w stanie wykonać żadnego gestu.

W końcu milczenie przerwał Henning. Jeśli Malin spodziewała się, że wiadomość go załamie, to musiała teraz zmienić pogląd.

— Nie znaleziono ich — rzekł cicho, przygnębiony.

Malin nie wiedziała, co odpowiedzieć. Najrozsądniej byłoby z pewnością wyperswadować mu wszelkie iluzje, ale z jakiegoś powodu nie mogła tego zrobić. Może rozumiała, że chłopiec potrzebuje odrobiny nadziei, żeby w ogóle mógł żyć? Może wiadomość o śmierci rodziców jest tą kroplą, która przepełniłaby kielich goryczy, jaki los zesłał temu dziecku? Doznał już tyle bólu w swoim krótkim życiu. Jaśniejszym punktem była w tym wszystkim ich mała rodzina. Później obecność Sagi. I wszystko to zostało mu odebrane. Teraz ma tylko ją, Malin. Obiecywała więc sama sobie, że nie opuści chłopca, dopóki nie dorośnie.

— Masz rację — odparła. — Nie znaleziono ich.

Miała wrażenie, że Henning odetchnął. Że z jego piersi wydobyło się długie, bezgłośne westchnienie ulgi.

Opowiedział jej szczegółowo o ostatniej nocy Sagi. Opowiedział jej to pewnego wieczora, kiedy siedzieli przed kominkiem wpatrzeni w zapadający za oknami zmierzch. Mówił o Lucyferze, ojcu chłopców. I o czarnych aniołach z potężnymi skrzydłami, które zabrały Sagę, zanim zdążyła skonać. Opowiedział też o sile, jaką tchnął w niego jeden z aniołów, pokazał alraunę, którą nosił na szyi, i pozwolił dotknąć derek, w które zawinięte były noworodki. Derki już wystygły, ale Malin nawet teraz czuła coś jakby wibrowanie po cieple, które ochroniło dzieci przed nocnym chłodem.

Malin wierzyła we wszystko. Istniało tyle niezwykłych legend o Ludziach Lodu. Jedyne, o czym dyskutowali tego wieczora, to była przyszłość chłopców. Od jednego z nich pochodzić będzie największa osobowość wśród Ludzi Lodu. Drugi ma do spełnienia inne zadanie...

Rozmawiali o tym długo w noc.

Który z nich jest kim? Nie ulegało wątpliwości, że Ulvar należy do obciążonych; Malin nie chciała o tym mówić, ale czasami miała wrażenie, że w oczach dziecka dostrzega coś jakby błysk zła, gdy musiała go bardziej zdecydowanie przesunąć przy zmianie pieluchy. Ulvar nie lubił się też kąpać. Normalne dziecko protestowałoby w takiej sytuacji głośnym krzykiem. Ale nie on. On spogłądał tylko na nią tymi swoimi żółtymi oczyma, w których czaiła się nienawiść.

Robiło to na niej bardzo przykre wrażenie. Przecież dziecko miało zaledwie kilka miesięcy...

Mimo wszystko lubiła go. Był taki silny, taki stanowczy. Żywiła wiele czułości dla tego dziecka bólu i chciała dla niego wyłącznie dobra.

Zachowanie Marca rozumiała dużo mniej. Jeśli chodzi o Ulvara, wiele rzeczy można było wyjaśnić. Ale Marco...?

Cudownie wprost piękny! Kruczoczarne włosy na bardzo kształtnej głowie. Skóra miała ciemny połysk, niekiedy złocisty, niekiedy niemal całkiem czarny. Zmieniało się to w zależności od oświetlenia. Śliczna buzia o szlachetnych rysach po prostu sama przyciągała wzrok ludzi. Oczy, głęboko szare, czasami aż czarne, w pięknej oprawie, tajemniczy uśmiech na wargach... Tak, to z pewnością ten uśmiech wprawiał ją w zakłopotanie. Marco byl istotą nieprzeniknioną. Zapewne próby rozumienia psychiki niemowlęcia nie mają większego sensu, to przecież wszystko przeminie, prawdziwy charakter ujawni stę później. Marco jednak miał w sobie już coś skończonego.

Malin zdawała sobie sprawę, na czyni to polega. Marco myślał. Dla niego Malin nie była tylko nic nie znaczącą plamą o przyjaznym głosie. Była dla niego człowiekiem i zachowywał się tak, jakby zastanawiał się nad tym, kim ona jest czy też kim mogłaby być.

To było okropne! Malin czuła się dotknięta. Zwłaszcza że on sam nigdy nie ujawniał swoich odczuć. Marco nie krzyczał, kiedy myła mu uszy ani kiedy mydło dostało musię do oka. Po prostu patrzył wtedy na nią podobnie jak Ulvar. Lecz w oczach Marca nie było nienawiści. Tylko wszechogarniająca wyrozumiałość. Na jego wargach pojawiał się wtedy delikatny uśmieszek. I Malin nigdy nie wiedziała, czy ten uśmiech jest chłodny, smutny czy tylko bezosobowy.

Doprawdy, bliźnięta Sagi były niezwykłymi dziećmi.

Zdawało się jednak, że kochają Henninga. Malcy fikali radośnie nóżkami, kiedy wchodził. A on mógł godzinami przy nich siedzieć, bawić się i gaworzyć z nimi.

Kiedy Malin na to patrzyła, oczy napełniały jej się łzami. Jaki to był wzruszający widok — ci trzej chłopcy rosnący bez rodziców.

Kochała ich całym sercem.

Najbliższy jednak był jej Henning. W każdym razie teraz, dopóki psychika malców nie rozwinęła się jeszcze w pełni.

Mijały miesiące.

Mamka przestała przychodzić, bo nie była już potrzebna, obaj chłopcy dostawali teraz takie samo pożywienie.

Zaczęli już siadać i zdawało się, że obaj są zdrowi i silni. Ulvar miał twarde paznokcie, którymi posługiwał się chętnie, gdy tylko coś mu się nie podobało. Oczy Marca śledziły uważnie i spokojnie wszystko, co się wokół działo, z każdym dniem stawał się jeszcze ładniejszy, podczas gdy rozwój braciszka zmierzał, niestety, w przeciwnym kierunku. Malin i Henning przywykli do niego i nie uważali, że wygląda szczególnie odrażająco, ale inni ludzie, którzy czasami zachodzili do Lipowej Alei, wydawali na jego widok okrzyki zgrozy. Malin prosiła zazwyczaj, żeby bardziej uważali. Ulvar jest przecież także istotą ludzką, a nikt jeszcze nie zna jego charakteru. Może jest wrażliwy i będzie cierpiał, a może będzie się mścił? „Ale on jeszcze niczego nie rozumie”, uśmiechali się obcy. Malin jednak dostrzegała w ich oczach błysk niepokoju.

Henning przestał mówić o swoich rodzicach. Jakby to był temat tabu, więc Malin też nigdy o nich nie wspominała. Wiedziała, że chłopiec panicznie się boi takiej rozmowy. Po prostu nie chciał, by Malin powiedziała, że teraz, Henning, powinieneś przyjąć do wiadomości, iż...

Nie, ona sama także tego nie chciała. Z czasem przecież wspomnienia zbledną i Henning zacznie rezygnować...

Nadszedł rok 1862 i Henning skończył dwanaście lat. Zdumiewająee, ale sprawy gospodarstwa układały się znacznie lepiej niż za czasów Viljara i Malin zdała sobie sprawę, że Henning jest urodzonym gospodarzem, gdy tymczasem Viljar chciał zostać kim innym, ale poświęcił się i zajął Lipową Aleją, ostatnim bastionem Ludzi Lodu w parafii.

Stać ich było nawet na wgnajęcie pomocnika. Jakkolwiek bowiem Henning i Malin byli zręczni i pracowici, to w gospodarstwie czekały różne ciężkie zajęcia, którym sami nie mogli podołać. Poza tym doba także ma ograniczoną liczbę godzin.

Znaleźli starszego, życzliwego ludziom parobka, niespecjalnie może uzdolnionego, ale też wyjątkowo inteligentnego nie szukali, bo i po co? Dobrze odnosił slę do zwierząt i to było najważniejsze. Poza tym wszystkie swoje obowiązki wypełniał z najlepszą wolą. Unikał natomiast bliźniaków, odwracał się na ich widok, nigdy ani słowem o nich nie wspominał. Malin zauważyła, że składa ręce jak do modlitwy, gdy czasami przypadkiem natknie się na nich w kuchni. Przerażony odmawiał w takich razach jakiś pospieszny pacierz. Ale nie rozmawiała z nim na ten temat, wolała udawać, że nic nie widzi.

Malin uważała, że znakomicie jest pracować tak ciężko, iż człowiek z trudem trzyma się wieczorem na nogach i nie jest w stanie o niczym myśleć. I tak właśnie pracowała, dzięki czemu nie miała czasu snuć refleksji nad swoim życiem.

A było się nad czym zastanawiać, trudno temu zaprzeczyć. Wiedziała, że rodzice, Christer i Magdalena, oczekują, iż Malin wyjdzie niedługo za mąż i urodzi dzieci, przynajmniej jedno. Że nie dopuści do wymarcia swojej gałęzi Ludzi Lodu.

Ten ród nie może wymrzeć! Jest jedynym, który byłby w stanie uratować ludzkość, gdyby Tengel Zły ocknął się z letargu i zapragnął zdobyć panowanie nad światem. Czy zdoła go pokonać, to, niestety, inna sprawa. Ale to Ludzie Lodu mają jasną wodę, zdolną zneutralizować działanie wody zła. A zatem ich obowiązkiem jest przetrwać.

Ojciec i mama są teraz jedynymi członkami rodu w Szwecji. A tu, w tym domu, mieszka reszta, czy może lepiej byłoby powiedzieć: ostatnie resztki Ludzi Lodu.

Henning, syn Viljara, z pewnością ożeni się kiedyś, jeśli nie zaharuje się na śmierć przy prowadzeniu gospodarstwa i wychowaniu bliźniaków.

Ale ci dwaj? Ulvara właściwie w ogóle nie można brać pod uwagę. To przecież bestia, potwór. A Marco?

Nie mogła się rozeznać, jak z tym dzieckiem naprawdę jest.

Natomiast jeśli o nią samą chodzi, to raczej wątpiła, czy kiedykolwiek wyjdzie za mąż. Była porządną i zdolną dziewczyną, to prawda, sama musiała to przyznać, ale młodzi mężczyźni na ogół nie spoglądali na nią dwa razy. Należała raczej do takich panien, które podobają się starszym wdowcom. Bywają one wybierane z rozsądku i wyrachowania. Pracowita, stateczna żona, która potrafi zająć się domem i rodziną, której można wszystko polecić z pełnym przeświadczeniem, że ta obowiązkowa istota wypełni każde zadanie najlepiej jak potrafi. I która na dodatek urodzi kilkoro zdrowych, posłusznych dzieci.

Tylko że Malin nie chciała starego męża.

Dlatego była szczęśliwa w Lipowej Alei z tymi trzema małymi chłopcami, którzy tak bardzo jej potrzebowali. I dlatego wszystkie swoje ewentualne panieńskie tęsknoty topiła w ciężkiej pracy.

Miała dwadzieścia lat i właściwie powzięła już postanowienia co do swojego życia. Może cokolwiek za wcześnie, ale Malin zawsze stała mocno na ziemi. Z iluzjami pożegnała się dawno ternu. Parę gwałtownych dziewczęcych miłości, jakie przeżyła w Szwecji, skończyło się dla niej bardzo przykro. Obiekty jej czułych uniesień po prostu nie zwracały na nią uwagi. Jeden wybrał przyjaciółkę Malin, co ona przeżyła boleśnie. Drugi był nauczycielem w szkole dla pielęgniarek. Przez kilka miesięcy próbowała łowić jego spojrzenia i nawet wyobrażała sobie, że od czasu do czasu on rzeczywiście spogląda jej głęboko w oczy. I oto któregoś dnia nieoczekiwanie zapytał: „Siostro, czy pani jest tutaj nowa? Chyba przedtem pani nie widziałem.” I zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się obojętnie i zaczął z kimś rozmawiać.

Wtedy Malin uświadomiła sobie, że nie należy do największych uwodzicielek. I wtedy właśnie postanowiła pojechać do Norwegii, zwłaszcza że bardzo się martwiła o Sagę.

I Bogu dzięki, że tak się stało! Że przyjechała na czas, by zająć się tymi trzema sierotami!

Kiedy teraz widziała bezgraniczne zaufanie, jakim darzy ją Henning, doznawała zawrotu głowy na myśl, co by to było, gdyby wtedy się nie zjawiła.

Malin wiedziała, że odpowiedzialność za chłopców spada na jej barki. Ale nie była to odpowiedzialność przyjemna.

Z czasem bliźniaki zaczęły stawać, a potem chodzić. Dreptały po domu na sztywnych nogach, padały co chwila i rozbijały się boleśnie, zanim nauczyły się przechodzić z pokoju do pokoju przez wysokie progi, które wyrastały na ich drodze niczym góry. Opieka nad nimi była teraz dla Malin i Henninga jeszcze bardziej wyczerpująca, zwłaszcza jeśli chodzi o Ulvara, który był niebywale pomysłowy, ale za to nieposłuszny. Od samego początku istniało w nim wiele zła, lecz odkąd sobie uświadomił, co potrafi i na ile go stać, naprawdę trudno było dać sobie z nim radę. Malin i Henning czuli się czasami tak zmęczeni, że niecierpliwie wyglądali nadejścia wieczoru, żeby malcy poszli już spać.

Marco chodził własnymi drogami. Był dzieckiem spokojnym i w jakiś sposób tajemniczym, a przy tym tak pięknym, że patrzenie na niego sprawiało niemal ból. Uśmiechał się często, łagodnie, z rozmarzonym spojrzeniem. Nie mówił tyle, co agresywny Ulvar, ale obaj bracia mogli siedzieć ze sobą godzinami i gaworzyć dziecięcym językiem, którego nikt inny nie rozumiał. I kochali się szczerze, choć tak bardzo się między sobą różnili.

Malin odczuwała ból za każdym razem, kiedy miała się zajmować Ulvarem. Nigdy nie przywykła do jego zdeformowanego ciała, do tych jego kanciastych kształtów i ostro zakończonych ramion. Co się w przyszłości stanie z tym nieszczęsnym dzieckiem? Ile będzie musiał wycierpieć z powodu ludzkiej nietolerancji? Ona i Henning nie będą się przecież mogli wiecznie nim opiekować. A zresztą wszgstko wskazywało na to, że nią Ulvar wcale się nie przejmował. Niejednokrotnie raniło ją jego złośliwe zachowanie, ale tłurnaczyła sobie, że on po prostu taki jest. Wiedziała zresztą, że jeśli ten chłopiec wobec kagokolwiek żywi ludzkie uczucia, to przede wszystkim wobec Marca. Następny był Henning. Malin była dla niego złem koniecznym.

Henning natomuast zdumiewał ją. Był nieprawdopodobnie zręczny we wszystkim, czego się tknął; wszystko mu się udawało. Malin często myślała o tym, co jej opowiadał. Że jeden z czarnych aniołów położył mu rękę na głowie i oświadczył, że teraz Henning musi być wybranym, w miejsce Sagi...

I rzeczywiśćie, wydawało się czasem, że chłopiec rozporządza jakąś wyjątkawą siłą, która pomaga mu pokonać wszelkie przeciwności i tragedie. Jakby nosił w sobie wewnętrzne światło. A ona sama? Czy to naprawdę tylko sprawa przypadku, że przyjechała tu we właściwym czasie? Czy może także i w tym maczał palce jakiś niewidzialny opiekun Henninga?

Poza tym chłopiec miał alraunę. Malin nie wiedziała, jaką rolę ten amulet odgrywa w jego poczynaniach.

Ale, oczywiście, nic za darmo! To, co Henning otrzymał, było siłą, dzięki której mógł przetrwać czasy ciężkich doświadczeń. Bo zmartwień mieli naprawdę niemało, i ona, i on. Malin była niekiedy zmuszona prosić o pomoc swoich rodziców, przede wszystkim, rzecz jasna, finansową, ale nie tylko. W Szwecji istniało wiele różnych rzeczy niezwykle przydatnych w gospodarstwie, których zapóźniona w rozwoju Norwegianie znała. Najpierw ten kraj znajdował się przez wiele wieków pod panowaniem duńskim i był traktowany jak daleka prowincja, a teraz Szwedzi przejęli styl Duńczyków i raczej gotowi byli ciągnąć z Norwegii zyski, niż jej pomagać.

Mimo wszystko Norwegowie żyli własnym życiem, rozwijali swoją kulturę, pielęgnowali narodową dumę i specjalnie się nie przejmowali tym, że nazywano ich prowincjuszami.

Christer i Magdalena pomagali nieustannie swej jedynej córce we wszystkim, o co prosiła.

Fakt, że w parafii znajdowało się tyle nowych willi, oznaczał, iż mieszkało tu teraz wielu bardzo zamożnych ludzi. To zawsze przyciąga również niepożądane elementy. Coraz częściej szajki rzezimieszków napadały na bogate domostwa, a lensman nie był w stanie temu zapobiec i ludzie wciąż się skarżyli.

Malin nie zwracała uwagi na pogłoski o tego rodzaju wydarzeniach, zresztą nie miała na to czasu. W głębi duszy liczyła, że stara Lipowa Aleja jest zbyt ubogą zagrodą pośród tych wielkich, nowoczesnych budowli w okolicy i zapewne nie stanowi zachęty dla włamywaczy.

I nie wiedziała, co takiego mogłoby przyciągnąć złodziei do Lipowej Atei, dopóki którejś nocy nie przyszli. Z początku sądziła, że to może imponująca aleja wysadzana lipami pozwala się domyślać, iż za czymś takim znajdować się musi bogactwo. Ale to nie było tak...

Pewnego jesiennego wieczora obudziło ją jakieś chrobotanie. Po chwili doszły do niej przyciszone głosy. Malin usiadła na posłaniu z sercem bijącyrn gwałtownie. Dopiero tecaz uświadomiła sobie, jacy są bezbronni. Henning spał i Malin nie chciała go budzić. Chłopcy w jego wieku bywają czasem niebezpiecznie odważni, mógłby się z gołymi rękami rzucić na włamywaczy, nie zastanawiając się nad tym, jacy są groźni.

Malin będzie musiała radzić sobie sama.

Chłodny sierp księżyca świecił w okno i rozjaśniał pokój.

Upewniła się, że malcy śpią spokojnie w łóżeczku obok niej. Z pokoju Henninga słyszała równy oddech.

Wstała cichutko, włożyta szlafrok i kapcie. Przez chwilę nasłuchiwała, co się dzieje na dole, po czym wzięła pogrzebacz i podeszła do schodów.

Było ich dwóch i mieli latarkę. Ostre, syczące szepty przeraziły ją.

— Do cholery jasnej, gdzie tu szukać skarbu w tej starej ruderze? Kto ci nagadał takich głupot?

— Niech skonam, oni mają skarb! Nigdy nie słyszałeś o wielkim skarbie Ludzi Lodu? Nawet w Christianii o tym wiedzą.

— Głupiś! Jakby oni mieli skarb, to myślisz, mieszkaliby w takiej cholernej norze?

— Macie rację — powiedziała stojąca u szczytu schodów Malin głosem tak spokojnym i zimnym, na jaki tylko mogła się zdobyć. — To prawda, że istnieje coś, co określane jest jako skarb Ludzi Lodu, ale nie przypuszczam, żeby akurat was mogło to zainteresować.

Na dźwięk jej słów zesztywnieli. Stali teraz bez ruchu i gapili się na nią.

— Jezus Maryja — wykrztusił jeden. Najwyraźniej nie spodziewali się nikogo zobaczyć.

— A co temu skarbowi jest? — zapytał drugi z napastników, który chyba nie należał do najlepszych dzieci Boga.

— Skarb składa się ze starych środków leczniczych — rzekła Malin z nadzieją, że złodzieje nie usłyszą, jak bardzo drży jej głos. — Skarb ma wartość jedynie dla naszego rodu. Bądźcie więc uprzejmi i opuśćcie ten dom.

Rzezimieszek zmrużył oczy.

— Stare środki lecznicze, co? Uważam, że powinnaś nam ten skarb pokazać, sikorko.

O mój Boże, myślała Malin przerażona. Co ja najlepszego zrobiłam?

Drugi z napastników, który najwyraźniej miał bardzo nieskomplikowany zasób słów, przerwał mu:

— Co, do diabła, chcesz robić z jakimiś cholernymi starymi lekarstwami?

Pierwszy odpowiedział dobrze słyszalnym szeptem:

— Znam jednego zbieracza, który sypnie forsą za takie coś. Trzymaj pysk i nie wtrącaj się! — Do Malin zaś powiedział: — Pokażesz nam ten skarb, prawda? To nie zrobimy ci krzywdy.

— Skarbu tutaj, niestety, nie ma. Przechowywany jest gdzie indziej. Ale jeśli sobie spokojnie pójdziecie, to nie zamelduję u lensmana o waszej wizycie.

Ten mniej rozgarnięty podszedł do schodów.

— Nie, posłuchaj no, siostrzyczko! Nikomu o niczym nie zameldujesz, zrozumiałaś? Bo jak nie, to zrobimy z ciebie siekaninkę. A teraz przynoś te graty, ale już!

Zaspany Henning stanął przy schodach.

— Co się stało, Malin?

— Wracaj do łóżka! — nakazała pospiesznie.

— Jest ich tu więcej? — spytał głupawo przestraszony złodziej.

— Same dzieciaki. Słyszałeś przecież, że tu mieszkają same dzieciaki — mruknął jego kompan. — Posłuchaj no, chłopcze, chodź tu do nas, to sobie pogadamy.

Malin, która zorientowała się natychmiast, że napastnicy chcą zwabić Henninga i wziąć go jako zakładnika, zawołała:

— Nie rób tego, Henning! Zostań przy mnie!

Bardziej zuchwały złodziej wbiegł na schody i złapał Malin mocno za ramię.

— Trzymaj gębę, siostrzyczko, bo jak nie, to spróbujesz gorszych rzeczy!

— Au! — krzyknęła Malin. — To boli!

Zanim zdążył cokolwiek zrobić, Henning zbiegł na dół i zaczął go okładać pięściami. Ona sama zamierzyła się na trzymającego ją złodzieja pogrzebaczem, ale wtedy drugi błyskawicznie wykręcił jej rękę.

— No, dobra. Zabawa się skończyła — powiedział. Złapał Henninga i mocno trzymał wyrywającego się chłopca. Jego koleżka wciąż nie puszczał ramienia Malin; tuż przy swojej twarzy widziała jego obrzydliwą sapiącą gębę. Napastnik wyjął z kieszeni nóż, a Malin przyciągnął do siebie w taki sposób, że nie mogła mieć wątpliwości co do jego intencji.

— Puśćcie chłopca! — zdołała tylko wykrztusić.

Henning krzyczał.

— Malin, ja nie mam alrauny! — szlochał. — Zostawiłem ją przy łóżku. Puść Malin, ty draniu!

Wtem rozległ się huk, jakby długi grzmot przewalił się nad domem. Hall zalało oślepiające światło, napastnicy zaczęli wrzeszczeć jak oparzeni i puścili swoje ofiary. Obaj padli na ziemię i wili się w nieznośnych, jak się zdawało, bólach.

Malin spoglądała na Henninga.

— Co to się stało? — wyszeptała pobladłymi wargami.

— To nadeszło skądś z góry — odparł także szeptem.

Spojrzeli oboje na piętro. W blasku księżyca pomiędzy prętami balustrady zobaczyli dwa chłopięce nosy. Dzieci były jeszcze tak małe, że ledwie mogły stać o własnych siłach, ale przyglądały się scenie na dole wielkimi oczami, wyraźnie z siebie zadowolone.

Złodzieje umilkli i leżeli nieruchomo na podłodze.

— O mój Boże! — szepnęła Malin. — O mój dobry Boże!

— Oni oddychają — uspokoił ją Henning. — Złodzieje żyją. Obaj.

Malin opanowała się.

— I o to, zdaje się, chodziło. Żeby ich powalić, ale nie zabijać, bo mielibyśmy wtedy nieprzyjemności ze strony władz. Henning, szybko! Zwiąż ich, a potem budź parobka, zanim odzyskają przytomność! Niech parobek jedzie po lensmana. Ja zajmę się dziećmi.

Na trzęsących się nogach weszła na górę. Z trudem przełykała ślinę i nie była w stanie spojrzeć bliźniętom w oczy.

Śmiech Ulvara dzwonił w hallu.

Dobry Boże, co my wychowujemy w tym domu? myślała wstrząśnięta, klękając przy chłopcach i przytulając ich do siebie. To się przecież mogło skończyć bardzo źle! A jeśli on któregoś dnia zwróci się przeciwko nam? Przeciwko mnie albo Henningowi, albo przeciw komukolwiek, kto nie uczynił mu nic złego? Nie, nigdy sobie z nim nie poradzimy, ani ja, ani Henning! Nigdy!

— Mimo wszystko dziękuję ci, Ulvarze, mój mały chłopcze — szeptała z ustami przy jego nastroszonych włosach. — Dziękuję ci, bo pokazałeś nam, że nas kochasz! Taka ci jestem wdzięczna!

Dopiero co myślałam, że jesteśmy bezbronni. Mój Boże, cóż za ironia!

Ulvar chwycił ją mocno za włosy i szarpał tak, że musiała całą siłą woli powstrzymywać się, by nie krzyczeć. Zachwycony chłopiec śmiał się głośno, aż echo dudniło wśród ścian.

ROZDZIAŁ III

Szpital właściwie nie był taki stary, tylko po prostu byle jak zbudowany i zniszczony. A także bardzo zaniedbany. Pajęczyny powiewały pod zakopconym na czarno sufitem, farba obłaziła ze ścian. Nikt już nawet nie zauważał, że przy każdym ruchu duże kłęby kurzu wzbijają się pod łóżkami.

Był to bowiem szpital komunalny. Zazwyczaj najbiedniejsi chorzy leżeli w domu pod opieką mniej lub bardziej skłonnych do poświęceń krewnych. Tutaj trafiali jedynie pacjenci, którzy w ogóle nie mieli rodziny. Można by to miejsce nazwać równie dobrze domem dla ubogich, gdyby nie to, że pewna chrześcijańska organizacja charytatywna chciała obdarować najbiedniejszych członków społeczeństwa, w związku z czym wyposażyła coś na kształt sali operacyjnej i wykosztowała się na lekarza oraz skromną asystę. Środków na przyzwoite leczenie jednak nie było skąd brać, wobec czego każdy nieszczęsny chory, który zmuszony był iść do tego szpitala, płakał gorzkimi łzami i dokonywał rozrachunku ze swoim życiem.

I słusznie. Śmiertelność bowiem w tym zakładzie była zatrważająca, a kto nie umarł, to i tak wychodził ze szpitala bardziej chory, niż przyszedł.

No, może to pewna przesada, ale pozostaje faktem, że nie był to w żadnym razie reprezentacyjny szpital.

Lekarz dokonywał właśnie codziennego obchodu. Wszedł do sali dla przewlekle chorych i zatrzymał się przyjednym z łóżek.

Westchnął.

— Czy naprawdę jest sens dłużej go tu trzymać?

Towarzysząca mu pielęgniarka zrobiła krok naprzód i powiedziała z bogobojną przyganą w głosie:

— Przecież nie możemy wyrzucić go na drogę, panie doktorze.

— Nie, nie, oczywiście że nie możemy — mruknął doktor. — Wiem, że on nie ma gdzie mieszkać. I jest tu ktoś jeszcze jeden w takim samym stanie, prawda?

— Tak. Na oddziale kobiecym. Oboje stanowią niemały problem dla szpitala. Ale miłosierdzie, panie doktorze, nakazuje nam ich tu trzymać.

— Czy nie ma jakiegoś domu opieki, do którego można by ich przenieść? Zajmują przecież miejsca innym chorym!

— Na razie wszędzie jest pełno. Musimy czekać, aż ktoś w domu opieki umrze.

— Jeśli ci tutaj nie zrobią tego pierwsi — rzekł doktor cicho. — Ten to już tylko skóra i kości. Czy on przyjmuje jakieś jedzenie?

— Tak. Jest karmiony przez siostry miłosierdzia. Na ogół udaje im się wmusić w niego trochę strawy rano i wieczorem. Ale on na nic nie reaguje.

Doktor poniósł rękę chorego, spoczywającą bez ruchu na kocu.

— Zostały mu tylko dwa palce. Druga ręka nie wygląda dużo lepiej, ale przynajmniej udało nam się zahamować zgorzel w nogach. Tylko... właściwie po co? — Doktor ponownie zwrócił się do pielęgniarki: — A kobieta? Są jakieś oznaki postępu?

— Je dobrze i poprawia się. Ale ona sobie poza szpitalem nie poradzi, panie doktorze. Jej umysł jest całkowicie zaćmiony.

— Mówi coś?

— Tylko bełkocze. A poza tym to nie jest nasz język. Ja nic z tego nie rozumiem.

— I oni są jedynymi, którzy przeżyli?

— Tak. Wszyscy inni zmarli.

Lekarz westchnął znowu i długo patrzył na wycieńczoną istotę na łóżku. Mężczyzna leżał z zamkniętymi oczyma, wychudzony tak, że wyglądał jak cień.

— Może tu zostać, dopóki nie zwolni się miejsce w jakimś domu opieki. To beznadziejna sprawa z takimi, co nie mają żadnych krewnych. Powinno istnieć prawo...

Nie dokończył zdania i przeszedł do następnego łóżka. Pielęgniarka patrzyła w ślad za nim surowym wzrokiem, bo bardzo dobrze wiedziała, co doktor zamierzał powiedzieć.

Będzie się musiała bardziej zająć tym nieszczęsnym człowiekiem. Kobietą zresztą także, chociaż ona doznała szkody przede wszystkim na umyśle, będzie więc mogła dostać w końcu miejsce w jakimś domu dla takich. Dużo gorzej mają się sprawy z tym pięknym mężczyzną...

Znowu głosy!

Słyszał głosy gdzieś daleko, daleko, ale nie był w stanie odpowiedzieć. Czasami zdawało mu się, że odpowiada, ale nic nie wskazywało na to, by z jego ust wydobywał się jakiś dźwięk. Był taki zmęczony, taki zmęczony. Pragnął jedynie spać.

Ci ludzie, którzy co jakiś czas przychodzą i chcą zmusić jego wargi do... Irytowali go, ale nie potrafił się bronić. Coś, jakby zupa mleczna, spływało mu do ust, i musiał to przełykać. Było niesmaczne, mdłe i kleiste, nie chciał tego jeść, ale oni się upierali. Nie dawali za wygraną, dopóki nie wlali w niego trochę tego płynu. Najczęściej zupa wpadała nie tam, gdzie trzeba, i zaczynał się krztusić.

Co to się stało? Gdzie on teraz jest i dlaczego jego umysł nie chce pracować? Jak wielokrotnie przedtem, kiedy już, już świtała mu w głowie jakaś wyraźniejsza myśl, nagle ulatniała się jak strzęp mgły w podmuchu wiatru.

Nie pamiętał nawet, kim jest, i nie był w stanie sobie tego przypomnieć. Od czasu do czasu krążyły mu w głosie jakieś nazwiska i twarze, ale zanim zdążył cokolwiek zrozumieć, wszystko rozpływało się w tej mgle, która otulała jego mózg.

Jest ktoś, komu należy... przesłać wiadomość?

Nie. Nie, znowu się wszystko rozpłynęło.

Pewnego dnia pojawił się jakiś nowy głos. Władczy i stanowczy, nigdy przedtem go nie słyszał. Wciąż miał trudności ze zrozumieniem tego, co one mówią, te wszystkie głosy krążące w jakiejś pustej przestrzeni wokół niego. Potrafił wyłowić tylko niektóre proste słowa. Mówią tak szybko i niewyraźnie, tak to odbierał.

Ale ten nowy głos mówił głośno i wyraźnie, choć także posługiwał się owym dzwacznym językiem. Rozumiał go dużo lepiej.

Człowiek o władczym głosie mówił coś o błędnym leczeniu. Tu potrzebne jest bla-bla-bla, a jedzenie jest złe, od tej brei nikt chyba nie wyzdrowieje. Tak, tak, oczywiście, to dobry szpital, uspokajał donośny głos, ale czegóż można się spodziewać na takiej prowincji, oczywiście, że nie dostali bla-bla-bla.

Upłynęło znowu trochę czasu, nie wiedział ile. Ale nagle uświadomił sobie, że czuje się lepiej. Może dlatego, że jedzenie dostawał smaczniejsze? Nie był już teraz tak śmiertelnie zmęczony. I powieki też nie ciążyły jak z ołowiu. Pewnego dnia mógł nawet podnieść rękę. Ale odczuwał to jakoś dziwnie, jakby mu coś przeszkadzało, a może ręka nie jest cała?

Zaczynał sobie coś przypominać. Słabe, niewyraźne migawki. Bardziej wyraźne stawało się wspomnienie lęku przekraczającego wszelkie pojęcie. Lęk o kogoś innego, kogo kochał. I o kogoś jeszcze, kto powinien dostać wiadomość. Ktoś, kto poruszał jego serce, ktoś, o kim myśl była taka bolesna, tyle ciepła żywił dla tego małego... tego małego...? Nie, wspomnienia znowu się ulotniły.

Powieki...

Czyjś krzyk w pobliżu:

— Wezwijcie doktora! On otwiera oczy!

Szum i hałasy wokół.

I jakiś głos:

— Słyszysz mnie? Słyszysz, co mówię?

Głos brzmiał irytująco blisko, krzyczał tuż przy jego twarzy:

— Słyszysz mnie?

Próbował znowu otworzyć oczy, ale mu się nie udało. Próbował poruszyć palcem, ale palca chyba nie było na miejscu.

— Patrzcie, patrzcie, on porusza ustami! Chce coś powiedzieć!

— Siostro, proszę przynieść coś mocniejszego! Trochę wódki!

Szczypało go i piekło w wargi. Ale wywoływało też przyjemne uczucie. Dobrze znany smak. Cofnął się. Wykręcał głowę. Wiedział skądś, że tego mu nie wolno.

Kilka kropel jednak spłynęło do gardła. Zakrztusił się, z trudem chwytał dech. Dochodził do siebie.

Teraz jakoś łatwiej było otworzyć oczy.

Jaki straszny, brudny sufit. Widział go już przedtem, więc jednak od czasu do czasu musiał odzyskiwać przytomność. Pochylone nad nim twarze przyglądały mu się niespokojnie. Wszystkie całkiem obce. Zatrzymał wzrok na surowej, ale pełnej życzliwości twarzy kobiecej. Nie była już młoda, ale ona zrozumie, pomyślał. Wiedział to. Kobieta odnosiła się do niego z sympatią. Wszystkie kobiety miały na sobie fartuchy pielęgniarskie i czepki.

Próbował coś powiedzieć, ale zamiast głosu zdołał wydobyć z gardła jedynie jakieś skrzypienie. Nieustannie, uparcie, patrzył na tę jedną kobiecą twarz. W końcu udało mu się wykrztusić:

— Gdzie ja jestem?

Kobieta odpowiedziała zrozumiale:

— Jesteś w Thisted, w Danii. Czy ty jesteś Norwegiem?

Zastanowił się chwilę.

— Tak. Tak mi się wydaje.

Zgromadzeni przy łóżku popatrzyli po sobie.

— No tak, Norweg! Ale tamta mówi całkiem niezrozumiale.

Jaka tamta? chciał zapytać, ale jego siły się wyczerpały i leżał bez ruchu. Nie zauważał, co robią, jak nim potrząsają, żeby mu przywróclć świadomość i dowiedzieć się czegoś więcej.

Minęło kilka dni i nocy, zanim znowu zdołał podnieść powieki, tyle że tym razem na dłużej. Owa surowo spoglądająca, choć życzliwa pielęgniarka przychodziła do niego w równych odstępach czasu i próbowała nawiązać kontakt, ale był zbyt zmęczony, zbyt wyczerpany i wycieńczony.

Kiedy przyszła znowu pewnego ranka, doznał wrażenia, że te jego poszarpane strzępy wspomnień już nie są takie płynne, że jakby łatwiej je zatrzymać.

Było coś, o co musiał ją zapytać.

— Ta... druga? — wykrztusił ochryple.

— Jaka druga? — zapytała pielęgniarka.

Ale on już stracił wątek.

Z wolna obrazy powracały. I lęk. Nie o siebie, lecz o kogoś innego, kogo trzymał w ramionach. O kogoś, kto umierał. On musiał tego kogoś chronić. Dzień i noc starał się chronić...

Mróz, pragnienie...

Zmarzł tak straszliwie.

Przeniknęło go jakieś budzące trwogę wspomnienie. Woda! Woda, woda, wszędzie lodowato zimna słona woda. Nienawidził jej, bo chciała mu zabrać kogoś, kogo kochał.

Ale nienawiść nie była najsilniejszym uczuciem. Większa od niej była czułość dla tej, którą trzymał w ramionach.

— Belinda! — powiedział głośno.

Pielęgniarka stała przy łóżku. Pochyliła się nad nim natychmiast.

— Co powiedziałeś?

— Belinda. Ona ma na imię Belinda.

— Kto?

— Moja żona. Którą trzymałem w ramionach. Gdzie ona jest? Czy żyje? Ja muszę...

Był ogromnie wzburzony, to mogło mu zaszkodzić.

— No, no, spokojnie, spokojnie — mówiła pielęgniarka i trzymała go, żeby nie wstawał.

— Ta druga! Rozmawialiście o kimś drugim — wykrztusił, czując, że siły znowu go opuszczają, i wpadał w rozpacz, bo przecież musi się dowiedzieć, musi, zanim znowu straci przytomność.

Pielęgniarka usiadła na łóżku i powiedziała stanowczo:

— Posłuchaj mnie, młody człowieku...

Nie wydawało mu się, żeby był specjalnie młody, ale mimo to uspokoił się. Uznał, że tak jest dla niego najlepiej.

Pielęgniarka mówiła dalej:

— Przypłynąłeś tu w małej łódce. Właściwie w szalupie. Z kutra rybackiego dostrzeżono twoją łódź dryfującą wzdłuż wybrzeża. Było was tam czworo, ale dwoje już nie żyło. Zamarzli na śmierć. Przeżyłeś ty i jeszcze jedna kobieta.

— Czy ja ją trzymałem w ramionach? — przerwał jej niecierpliwie.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ale ona jest w naszym szpitalu, tylko że w głowie jej się pomieszało i niczego nie pamięta. I trudno się dziwić, po takich przejściach.

Belinda? Ta mała, cudowna istota nigdy nie miała szczególnie mocnej głowy. Ale było tak dlatego, że po prostu urodziła się nieco mniej niż inni uzdolniona. Nigdy jednak nie można było powiedzieć, że rozum jej się miesza.

— Muszę ją zobaczyć!

Pielęgniarka zawahała się na moment.

— Spróbuję to jakoś zorganizować. Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei! To może być ktoś inny, a poza tym jej stan umysłowy może cię przerazić.

Kiwał głową. Wszystko rozumie, ale najważniejsze jest, żeby wiedzieć. Czuł, że serce wali mu jak młotem, o mało nie wyskoczy z piersi, i wiedział, że to podniecenie nie jest dla niego dobre, lecz nie mógł na to nic poradzić. Żeby tylko znowu nie stracił przytomności, wszystko inne jest bez znaczenia.

Pielęgniarka rozejrzała się bezradnie po sali. I wtedy on po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie jest tu sam, że w pomieszczeniu stoi wiele łóżek z szarą, nędzną pościelą, że leżą na nich mężczyźni, przeważnie starzy, którzy utracili wszelki kontakt z rzeczywistością, lecz także tacy, którzy przyglądają mu się ciekawie. Gdzieś w kącie ktoś jęczał monotonnie. Cierpki odór przenikał wszystko, ale odczuwał go już tak długo, że zdążył się przyzwyczaić. W każdym razie — prawie się przyzwyczaił. Nawet zapach karbolu nie był w stanie tego odoru zdusić.

Pojmował, dlaczego pielęgniarka się waha. Czy można wprowadzić kobietę do takiej sali? Jeśli w ogóle to pomieszczenie można nazwać salą. On sam jednak nie był w stanie opuścić łóżka i dlatego tak błagał siostrę, żeby przyprowadziła nieznajomą z łodzi.

W końcu skinęła głową i wyszła. Powiedziała, że porozmawia o tym z doktorem.

Czekając, próbował jakoś określić sam siebie, próbował spojrzeć na siebie oczyma innych. Chciał wywrzeć jak najlepsze wrażenie. Teraz już wiedział, kim jest. Jest mianowicie Viljarem Lindem z Ludzi Lodu, a ten mały człowiek, którego wspomnienie rozgrzewa jego serce i który absolutnie powinien otrzymać wiadomość, to jego syn Henning, czekający w domu w Norwegii.

Wszystko do niego powróciło, wszystko teraz pamiętał. Zastanawiał się tylko, od jak dawna tak tu leży. Coś mu mówiło, że z pewnością długo. Dotknął ręką podbródka i stwierdził, że ma długą brodę, on, zawsze gładko ogolony. Stwierdził jednak także coś innego. Mianowicie ręka, którą dotykał podbródka, była okaleczona. Nie miał odwagi obejrzeć swoich rąk, ale kiedy to wreszeie zrobił, ogarnęło go uczucie głębokiego przygnębienia. Prawie nie miał palców. Jakbym utracił część samego siebie, pomyślał. Nigdy już nie zobaczy swoich palców, do których się w ciągu życia przyzwyczaił. Bardzo dziwne uczucie!

Ukrył ręce pod zniszczonym kocem.

Czas mijał. Czy one nigdy nie przyjdą? Był zmęczony i odczuwał patrzebę snu, lecz napięcie nie pozwalało mu zasnąć.

A jeśli to nie jest Belinda? Jeśli Belinda odeszła na zawsze?

Nie, nie! Tego by nie przeżył; po tym, przez co oboje przeszli, już nie!

A co będzie, jeśli go nie pozna? Był przecież tak nieprawdopodobnie chudy, sama skóra i kości. Włosy długie i potargane, oczy musiały wpaść głęboko. Mógł sobie wyobrazić, że podobny jest teraz do Jana Chrzciciela na pustyni, który żywił się jedynie szarańczą, włosy i broda rosły mu jak chciały, ubranie było w strzępach.

I to teraz, kiedy ze względu na Belindę chciał wyglądać jak najlepiej! Czuł się tak, jakby miał ją spotkać po raz pierwszy w życiu.

Jeśli to rzeczywiście ona...

Próbował sobie przypomnieć tamtych ludzi z szalupy. Na początku było ich sześcioro. Najpierw fala zmyła jedną parę. Dwoje zostało... ?

Wtedy on był już tak zmęczony zimnem i głodem, prawie zamroczony, nie był w stanie się ruszyć. Pamiętał tylko, że wciąż obejmował ramieniem nieprzytomną Belindę. Czy oprócz niej była w łodzi jeszcze jakaś kobieta? Tak, była.

I to ona mogła leżeć w tutejszym szpitalu.

Nie życzył nikomu śmierci, ale...

Drzwi otworzyły się. Weszła pielęgniarka. Trzymała za rękę jakąś kobietę.

— Belinda! — chciał zawołać, ale był tak wzruszony, że nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

— A zatem to jest twoja żona — ucieszyła się pielęgniarka i podprowadziła Belindę do łóżka. Jej wejście wywołało poruszenie na sali, lecz siostra uciszyła wszystkich.

— Spójrz, moja droga. To twój mąż! Nie poznajesz go?

Oczy Belindy... Mój Boże, co się z nią stało?

Przyglądała się leżącemu pustym, odrobinę zaciekawionym wzrokiem. Najwyraźniej trochę się bała. Ale mimo wszystko? Czyż w jej spojrzeniu nie dostrżegał też zdziwienia? Jak zawsze, kiedy się wie, że mamy przed sobą kogoś znajomego, ale nie potrafimy go ulokować w pamięci.

Coś w nim zwracało uwagę Belindy.

Miała na sobie prosty i ubogi szpitalny kitel, była chuda i wyniszczona, ale Viljar uważał, że ładna jest jak zawsze. Bo w jego oczach Belinda zawsze była pięknością, choć inni uważali ją raczej za osobę przeciętnej urody. Kochał ją tak szczerze, że wpadł w rozpacz widząc ją w tym stanie, niczego nie pojmującą. Chciał pogłaskać ją po policzku tak, jak to miał w zwyczaju, żeby poznała, że to on. Nie odważył się jednak pokazać jej swoich rąk, żeby jej nie przestraszyć jeszeze bardziej. Stała przecież przy nim przerażona, gotowa w każdej chwili uciekać od tej nieznajomej zjawy na łóżku.

W jej oczach krył się lęk. Była podobna do porzuconego dziecka.

A on ledwie ją widział, bo oczy miał pełne łez.

Wtem Belinda zaczęła mówić.

Viljar doznał szoku. On rozumiał jej bezsensowne słowa.

Zwracając się do pielęgniarki, powiedział:

— Słyszałem to już wiele lat temu. W taki sposób przemawiała do naszego malutkiego synka, kiedy był niemowlęciem. Ona teraz też mówi do niego.

Pielęgniarka nie odpowiedziała. Ta rozdzierająca scena odebrała jej mowę, zwłaszcza że nie do końca zrozumiała sytuację. Wydawało jej się mianowicie, że syn Viljara i Belindy również był w łodzi i że nieszczęsna kobieta straciła rozum po śmierci syna.

— Belindo, czy ty mnie nie poznajesz? — pytał błagalnym tonem. — To ja, Viljar, twój mąż. Tyle lat przeżyiiśmy razem.

W jej oczach poławił się jakby przelotny błysk, ale zaraz znów zrobiły się puste.

Serce mu się ściskało z rozpaczy. Szlochał bezradnie, wszystko się wokół niego zawaliło, nie był w stanie znieść tego straszliwego zawodu, że jego ukochana tak się zmieniła.

A tyle chciał jej powiedzieć! Nic nie mógł zrobić, żeby nie wiem jak walczył.

Mimo wszpstko jednak Belinda żyje. Siedzi obok niego na łóżku i gawarzy do niego jak do dziecka.

Pielęgniarka przyglądała się jej. Wszystkie ruchy Belindy, głos, wyraz twarzy wskazywały, że ta kobieta naprawdę straciła świadomość. Nie zdawała sobie sprawy, z kim ma do czynienia, wiedziała jedynie, że to jakaś istota, która potrzebuje jej pomocy tak jak małe dziecko.

Ten mężczyzna był teraz dia niej właśnie małym dzieckiem. Niemowlęciem. Kimś, kim mogła się zajmować, gaworzyć do niego. Pieięgniarka zastanawiała się, co też ta biedaczka sobie teraz myśli, co się kołacze w tej nieszczęsnej głowie. Nie sprawiała wrażenia, że boi się męża, wprost przeciwnie, uważała go za kogoś, kogo zna, chociaż słabo. Nie potrafiła tylko uporządkować swojego wyobrażenia ani o nim, ani o rzeczywistości, która ją otacza. To także było oczywiste.

Biedna kobieta! Straciła rozum i chyba nie ma dla niej ratunku.

Pielęgniarka próbowała zabrać ją z powrotem do sali kobiecej. Wtedy jednak Belinda wczepiła się palcami w krawędź łóżka, przerażona, że musiałaby opuścić tego człowieka, który jest od niej taki zależny.

Uzależniony od niej? Pielęgniarka była kobietą wychowaną w surowej wierze chrześcijańskiej, tu nie wchodził w grę żaden podstęp ani myśl o własnej wygodzie, ale uczepiła się właśnie tej jednej sprawy, tego, że Belinda czuje się odpowiedzialna za Viljara.

— Czy pomogłabyś mi go ostrzyc? — zapytała krótko. — I ogolić?

Ku swemu największemu zdumieniu tą drogą dotarła do Belindy. Nikt nigdy w tym szpitalu nie zdołał nawiązać kontaktu z Belindą, a teraz ona najwyraźniej rozumiała, o co chodzi.

To był ogromny krok naprzód.

Pielęgniarka pospiesznie przyniosła nożyczki i wszystko co potrzebne. Tu nie było chwili do stracenia.

Zdawało się, że zamroczone zmysły Belindy ocknęły się, kiedy znalazło się coś, czym mogła się zająć. Odnosiła się do nieprzytomnego Viljara tak delikatnie, z taką czułością, że pielęgniarka miała w oczach łzy ze wzruszenia. A kiedy już ostrzygły mu włosy i zgoliły długą brodę, zdawało się, że we wzroku Belindy pojawiło się jakieś nowe, jakby bardziej przytomne zdziwienie.

Prędzej czy później ona go pozna, myślała pielęgniarka. Ale czy to naprawdę dla niej najlepsze? Przecież wtedy wróci jej też pamięć syna, którego straciła. Czy nie lepiej jej żyć w tym stanie? We własnym świecie?

Pielęgniarka musiała wieczorem użyć podstępu, żeby w końcu odprowadzić Belindę na oddział kobiecy. Musiała jej obiecać, że następnego dnia będzie znowu mogła się zajmować chorym mężczyzną.

A następnego dnia, kiedy pielęgniarka przyszła do pracy, Belinda już siedziała na łóżku Viljara i karmiła go pożywną zupą, którą ostatnio dostawał i która miała na niego taki zbawienny wpływ. Nie miewał już teraz tych głębokich, długotrwałych omdleń, raczej popadał w zamroczenie, w przeciwnym razie przecież nie mógłby przyjmować jedzenia.

Inni chorzy byli bardzo poruszeni jej obecnością. Niektórzy złościli się, inni ją zaczepiali. Reszta po prostu nie wiedziała nic o świecie, straciła poczucie przynależności do ludzkiej wspólnoty i nie zwracała uwagi na to, co się wokół dzieje.

Belinda jednak ani nie słyszała, ani nie widziała nikogo oprócz Viljara.

Pieięgniarka musiała porozmawiać z lekarzem o rozwoju wypadków.

On natychmiast dostrzegł szansę.

— Jakby ich stąd wypisać, to mielibyśmy miejsce dla nowych chorych. Kolejka jest nieskończenie długa. Niech ona go pielęgnuje. On będzie stopniowo wracał do zdrowia i w końcu będzie się mógł zająć żoną.

— Ale przecież oni nie mają się gdzie podziać!

— Stary Jespen z Hvidemose musi koniecznie dostać tu jak najszybciej łóżko. Gdyby oni opuścili szpital, nioglibyśmy przyrąć Jespena. Niech się zamienią miejscami!

— Ale dom Jespena leży na takim odludziu! A poza tym to kompletna ruina.

Dyskutowali jeszcze jakiś czas, w końcu pielęgniarka ustąpiła. A ponieważ bardzo się przywiązała do tego nieszczęśliwego małżeństwa, zatroszczyła się osobiście, żeby zostali odwiezieni do domu Jespena. Dała im też na drogę jedzenia i opału, żeby wystarczyło przynajmniej na jakiś czas. Kiedy ich przywieziono do szpitala, Viljar miał pieniądze ukryte w woreczku na piersi. Pielęgniarka wzięła je wtedy na przechowanie i teraz oddała. Zawiesiła woreczek na szyi Viljara, tak jak to było przedtem.

— Niech Pan się wami opiekuje — szeptała, kiedy lokowano ich na furze; jego wciąż w tym półomdleniu, a kobietę uszczęśliwioną, że może go pielęgnować.

Fura odwiozła ich do domu Jespena, a wracająe zabrała chorego starca do szpitala.

Tak więc Belinda została sama ze swoim półprzytomnym podopiecznym.

Była oczywiście niezręczna i niepewna w swoich poczynaniach, ale starała się jak mogła.

Jej troskliwość nie miała granic. Nie wiedziała, kim jest ten człowiek, rozumiała tylko, że skądś go zna i że on jej potrzebuje. W tej brudnej ruinie, pełnej starych, śmierdzących szmat i zepsutego jedzenia, wśród myszy i pcheł, Belinda miała w głowie tylko jedną myśl: Że jej „małemu dziecku” niczego nie może brakować. O sprzątaniu nte miała pojęcia. Ale karmiła Viljara i pielęgnowała go, jakby był jakim księciem. On w końcu ocknął się z zamroczenia, ale wciąż był zbyt wyczerpany, żeby robić coś innego, niż tylko leżeć i pozwalać jej opiekować się sobą.

Viljar rozumiał dobrze, że czuje się tak źle nie tylko dlatego, że bardzo zmarzł, kiedy dryfowali nie wiadomo jak długo w otwartej łodzi. Było to niewątpliwie bardzo trudne do przeżycia, większość rozbitków przecież zmarła, z zimna albo z głodu, a prawdopadobnie z obu tych powodów naraz. Nie, Viljar był nie tylko zmęczony, on był poważnie chory i zdawał sobie sprawę, co to za choroba. Jak przez mgłę przypominał sobie ostre bóle w piersiach i strasziiwy kaszel w pierwszym okresie pobytu w szpitalu. Najgorsze niebezpieczeństwo zdaje się minęło, ale zosrał jakiś ślad w płucach. Czuł to wyraźnie, kiedy się poruszał albo kiedy głęboko oddychał. A pewnego razu gdy Belindy nie było w domu, dostał gwałtownego ataku kaszlu. Kaszlał długo, w końcu pojawiła się krew. Ukrył przed nią prawdę, bo przecież i tak nie umiałaby radzić sobie z taką chorobą.

Viljar bał się. Co Belinda pocznie, kiedy jego zabraknie?

Muszą wrócić do domu jak najszybciej, a on tu leży zupełnie bezradny. Nawet nie ma siły mówić.

Mimo wszystko nie miał wątpliwości, że to on jest za nią odpowiedzialny. Tacy byli wzruszający, kiedy się tak o siebie troszczyli.

Pielęgniarka także uważała, że są wzruszający i zasługują na pomoc. Często o nich myślała, zastanawiała się, jak im się powodzi, chciała ich odwiedzić. Ale zbyt wielu chorych w szpitalu potrzebowało jej opieki, po prostu nie miała nigdy wolnej chwili. Każdy nieszczęsny biedak przychodził tu z własną historią, z własnym losem i przeżywał własną, głęboką tragedię. Żądano od niej, by każdego wysłuchała i każdemu okazała serce. Musiała więc przestać myśleć o norweskiej parze, która zsesztą mieszkała zbyt daleko, żeby osoba tak zajgta jak ona mogła sobie pozwolić na odwiedziny.

Stary Jespen także nie powrócił do swego domu. Pobyt w szpitalu był dla niego takim wstrząsem, że umarł ze strachu. A może zresztą uznał, iż znalazł się w niebie i zasnął w pokoju? W każdym razie Viljar i Belinda nie dowiedzieli się niczego o jego losie, wiedzieli tylko, że mieszkają w cudzym domu, a to nigdy nie jest przyjemne uczucie.

W końcu któregoś dnia Viljar poczuł się na tyle silny, że mógł znowu rozmawiać. Od czasu gdy opuścili szpital, nie był w stanie tego robić.

— Belindo — wyszeptał ze świstem.

Ona podskoczyła na swoim krześle, zwróciła się ku niemu przerażona i powiedziała:

— Ciii!

Musiał zaniechać wszelkich wyjaśnień, że są mężem i żoną i podobnych spraw. Nie miał na to siły.

— Belindo, musisz napisać list do domu.

O, jakże ta myśl go dręczyła przez cały czas, gdy nie był w stanie nawet palcem poruszyć ani nawet jęknąć.

Belinda patrzyła na niego bez słowa, kompletnie zdezorientowana.

— Ja... Ja nie mam siły pisać, Belindo. A zresztą i tak bym nie mógł, bo nie mam czym trzymać pióra. To ty musisz napisać do Henninga, naszego małego chłopca. Żeby wiedział, że my żyjemy.

Belinda stanowczo potrząsała głową i zakryła uszy rękami, jakby nie mogła ścierpieć tego, co on mówi.

— Najdroższa, czy ty nie pamiętasz Henninga? — pytał z uporem.

Pamiętała, ale na swój sposób.

— Henning jest za mały, on nie umie czytać, rozumiesz chyba — odparła i to były pierwsze normalne słowa Belindy.

— Henning ma jedenaście lat!

Przestraszyło ją to okropnie.

— Nie, nie! — wyszeptała. — Nie wolno ci tak mówić. To małe dziecko. Niemowlę.

Viljar zamknął oczy.

— A kim ja jestem, Belindo?

— Małym dzieckiem.

— Nie, nie, przestań fantazlować! Ja jestem ojcem Henninga. A ty jesteś jego matką, Belindo. Dlaczego ty to robisz, czego ty się boisz? Co to jest to, czemu nie chcesz spojrzeć w oczy?

Nie odpowiadała. Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą.

— No dobrze, to napisz do Sagi — powiedział zmęczony. Wkrótce znowu nie będzie mógł nic powiedzieć.

Tym razem Belinda zdziwiła się szczerze.

— Do Sagi? A kto to jest Saga?

O mój Boże, jak do niej dotrzeć?

— Najdroższa moja, czy nie mogłabyś po prostu napisać listu i nie zadawać tylu pytań?

Najpierw stała przez chwilę ze zwieszoną głową. Zdziwiona, nie pojmując niczego, ale także urażona. Potem powiedziała coś, co mimo wszystko zabrzmiało rozsądnie:

— Ja nie mam papieru.

Viljar nie powinien był się złościć. Przecież to nie jej wina, że była taka. Ale otworzył usta, żeby wrzasnąć, że do diabła powinna się o papier postarać, gdy nagle coś pękło mu w płucach i chwycił go straszliwy kaszel.

Potem pamiętał już tylko okruchy wydarzeń. Przerażoną twarz Belindy. Krew na ręczniku, który trzymała w rękach, i ciemność, ciemność, w której się pogrążał.

Ostatnia myśl, jaka przyszła mu do głowy, była krzykiem rozpaczy:

Nigdy nie wrócimy do domu!

Pielęgniarka z radością witała księdza, który odwiedźił szpital.

— Wybiera się ksiądz do Norwegii, jak słyszałam. Czy to prawda?

Uśmiechnął się do niej. Znali się oboje od dawna.

— Tak się pani cieszy, że na jakiś czas się mnie pani pozbędzie?

— Nie, nie, oczywiście, że nie, ale chciałabym bardzo serdecznie prosić waszą wielebność o wielką, wielką przysługę...

— Oczywiście, siostro. Przecież pani wie, że zawsze chętnie wysłuchuję pani drobnych próśb.

Pielęgniarka składała i rozkładała ręce.

— Ale tym razem to wcale nie jest drobna prośba. Tylko że ta sprawa leży mi na sercu już od bardzo dawna i ciąży mi niezmiernie.

— Proszę powiedzieć, o co chodzi — rzekł pastor życzliwie.

I wtedy pielęgniarka opowiedziała mu o norweskim małżeństwie, które musiała wypisać ze szpitala i którego los tak bardzo ją martwi. Żadne z nich nie jest w stanie radzić sobie na własną rękę, ale co może zrobić zapracowana pielęgniarka? Więc może pastor byłby tak dobry i zabrał ich ze sobą do Norwegii? Mają trochę pieniędzy i to powinno wystarczyć na podróż.

Pastor zmarszczył czoło. Akurat czegoś takiego to się, szczerze mówiąc, nie spodziewał. Ale skoro powiedziało się A, to trzeba powiedzieć B.

Miał podróżować statkiem z Fredrikshavn do Christianii, stąd musiał więc wyruszyć powozem. Aie co z tymi dwojgiem chorych...? A później na pokładzie statku? Jeszeze gorzej! Na dodatek będzie się musiał przecież zatroszczyć, żeby już w Norwegii dotarli do domu, gdziekolwiek się on znajduje.

Cały starannie ułożony plan podróży wziął w łeb.

— Naturalnie, siostro, zajmę się nimi — powiedział z ledwo dosłyszalnym westchnieniem.

Kiedy jednak pastor przybył do domu Jespena, Przeraził się. To tych ludzi miał wieźć ze sobą? Umierającego suchotnika i obłąkaną kobietę? Co powie współpasażerom? A kapitanowi statku? Może go po prostu nie wpuszczą na pokład?

Ale słowo się rzekło. Pastor dotrzymywał obietnic. Był to człowiek prostolinijny i głębokiej wiary, przyjął więc tę podróż jako jeszcze jeden krzyż na drodze życia. Musiał przez to przejść, bowiem chciał zawsze służyć Bogu w pokorze.

Podróż powozem przez Jutlandię była bardzo trudna i zabrała wiele czasu. Viljar już od jakiegoś czasu nie miał krwotoków, ale był tak słaby, że nie mógł rozmawiać. Nawet szept wyczerpywał go w najwyższym stopniu, przeważnie więc milczał.

Pojął bowiem, co mówi ten życzliwy ksiądz: jadą do Norwegii! Czy ktoś mógł mu przynieść radośniejszą nowinę?

Musiał zrezygnować z przekonywania Belindy, żeby napisała list do domu. Nie miał odwagi rozmawiać z nią znowu na temat Henninga, ale widział, że ona jakby już więcej rozumiała. Poprawa była nieznaczna, ale przynajmniej teraz Belinda mówiła dużo bardziej normalnie.

Fakt, że jadą do Norwegii, nic jej nie mówił. Jej świat ograniczał się do tego, że Viljar jej potrzebuje, i w dalszym ciągu pielęgnowała go jak niemowlę, ale już nie gaworzyła jak dawniej. Viljar uważał to za znaczny postęp.

Pewnego wiosennego wieczora dotarli do Fredrikshavn i skierowali konie do portu, bo już i tak spóźniali się strasznie. Wciąż musieli się zatrzymywać po drodze ze względu na stan Viljara.

Kiedy znaleźli się na nabrzeżu, przeżyli kolejny szok. Statek gotów był do drogi i miał wyruszyć następnego ranka. Ale gdy Belinda zrozumiała, co będą musieli zrobić, zaczęła krzyczeć jak oszalała.

— Nie! Nie! Wszystko, tylko nie statek! Nigdy!

Tłumaczenia pastora, że skoro chcą dojechać do Norwegii, to muszą wsiąść na statek, nie przynosiły żadnego rezultatu.

— Nigdy! Nigdy w życiu! — wrzeszczała, aż ludzie zaczęli się koło nich gromadzić.

Viljar bardzo dobrze ją rozumiał. Belinda nie była zrobiona z równie solidnego materiału jak on, a przecież on także odczuwał skurcz serca i mdłości na widok statku. Także w nim budziło się uczucie gwałtownego protestu na myśl o tym, że będzie musiał wejść na pokład, a potem płynąć po tej zimnej, bezlitosnej wodzie.

Chciał jej wytłumaczyć, że teraz, kiedy zbliża się lato, minął już czas nałgorszych sztormów, ale przecież nie nógł mówić, jego płuca były zbyt słabe.

Bezsiiność, rozczarowanie przygniatały go, kiedy wnoszono go na koję.

Nigdy nie dojedziemy do domu, myśłał udręczony.

ROZDZIAŁ IV

Ulvar siedział skulony za bałustradą schodów i spoglądał w dół na to, co działo się w hallu domu w Lipowej Alei. Przyszedł tam jakiś obcy człowiek, który się Ulvaroui nie podobał.

Właściwie to o tej porze powinien już spać, ale on nie chciał. A sam decydował o tym, czego chce, a czego nie chce, i już!

Ten jakiś głupi człowiek rozmawiał z Malin, a Henning stał obok i słuchał. Wyglądał na przestraszonego. Ulvar nie rozumiał, o czym oni mówią, miał dopiero dwa lata, ale pojmował, że człowiek jest zły i mówi jakieś niedobre słowa.

— Ależ nie może nam pan zabrać krowy — protestowała Malin zrozpaczona. I to Ulvar rozumiał. Później jednak wrzucała z siebie masę dziwnych słów, których sensu nie znał, a które brzmiały mniej więcej tak: „Mój krewny, Viljar z Ludzi Lodu, ma środki, żeby zapłacić. Ale jego syn nie może niczego dostać, ponieważ ojciec nie został uznany za zmarłego, a Henning jest małoletni.”

To wszystko było dla Ulvara tylko pustymi dźwiękami.

Obcy powiedział wtedy, że on nie może czekać w nieskończoność, a zresztą,.. I tu padło całkiem niemożliwe słowo: „sekwestracja”, którego Ulvar nie byłby w stanie wymówić.

Głupi, głupi, głupi, powtarzał w duchu. Zadźgać go, zabić, pang, pang, pang!

Jak wtedy... trzask, światło, światło, światło, aż oczy bolały, i pang, pang, pang, aż złodzieje poprzewracali się na ziemię. Hurra!

Ale teraz mu się nie udawało.

Zrobił siusiu w pieluchę i to sprawiało mu przyjemność. Malin będzie się złościć i musi go przewinąć.

Głupi ten człowiek, głupi, głupi! Powiada, że teraz idzie do obory i zabiera krowę. Malin płacze, a Henning trzyma ją za rękę, krzyczy do tego człowieka, że nie wolno mu zabierać krowy, ale ten nie słucha. Poszedł.

Człowiek, który kupił kawałek ziemi w sąsiedztwie Lipowej Alei, zdecydowanie wyszedł na podwórze. Nikt mu już nie przeszkodzi wziąć tego, co sobie upatrzył! Viljar Lind z Ludzi Lodu nie chciał mu oddać kawałka ziemi należącej do Lipowej Alei, która była bardzo potrzebna, jemu, nowemu gospodarzowi, po części jako pole uprawne, a po części także dlatego, że chciał tamtędy wytyczyć nową drogę. Człowiek ten pochodził z przedmieść Christianii i zamierzał tu prowadzić duże gospodarstwo rolne. Zaczynał od małego, ale wciąż rozgłądał się pilnie, gdzie by tu można zdobyć jeszcze trochę ziemi.

Jego największym konkurentem w okolicy i cierniem w oku był właściciel Lipowej Alei. Teraz nareszcie miał szansę. Viljar Lind z Ludzi Lodu przepadł i w gospodarstwie zostały same dzieciaki. Było sprawą niezwykle prostą powiedzieć zwyczajnie, że Viljar był mu winien pieniądze. Te dzieciaki nie wpadną przecież na pomysł dokładnego zbadania sprawy. Zacznie od krowy, która bardzo by mu się przydała, a potem bez kłopotu zagarnie odpowiedni kawał ziemi...

Nagle drgnął. Zatrzymał się przed drzwiami obory.

— Co ty, dziecko, robisz tak późno na dworze? I to w nocnej koszuli? Natychmiast wracaj do domu!

Chłopiec patrzył na niego z uporem. Intruz machał rękami, chcąc przegonić dziecko, które nie miało więcej niż ze dwa lata. Jak ta dziewczyna tutaj wykonuje swoje obowiązki?

Malec czmychnął i pobiegł do domu. Przestraszony zając, pomyślał obcy ze złością i ujął klamkę.

W tym samym momencie usłyszał głuche warczenie, wydobgwające się z jakiejś wielkiej gardzieli. Obejrzał się i stanął jak wryty.

Trzy potwomie wielkie psy szły na niego z rozdziawionymi paszczami, z rozjarzonych żółtych ślepi sypały się skry. Nie, to nie psy, to wilki! Wilki? Tu, w tak gęsto zaludnionej okolicy? Wśród tych pięknych wiili?

Ale nie miał czasu dłużej się zastanawiać, bo bestie nie żartowały. Zbliżały się do niego wprawdzie bezszelestnie, ale ich zdecydowanie nie można było zrozumieć błędnie.

Jak oszalały rzucił się do ucieczki w stronę głównego domu Lipowej Alei, lecz wilki najwyraźniej sobie tego nie życzyły. Drogę do obory także mu odcinały i jedyne, co mógł zrobić, to uciekać na łeb, na szyję starą aleją wysadzaną lipami.

Próbował wzywać pomocy, ale chociaż natężał gardło, żaden głos się z niego nie wydobywał. Nigdy w życiu nie biegł tak szybko! W pobliżu nie bylo domów, w których mógłby szukać schronienia, musiał uciekać do własnej zagrody, ale to było daleko, a on słyszał za plecami kroki wielkich bestii, słyszał, jak stawiają łapy, ciężko, ale szybko, pewne swojej zdobyczy.

A on naprawdę nie był w formie, żeby podejmować takie wysiłki. Prowadził spokojne życie wraz ze swoją gospodynią, z którą w tajemnicy przed ludźmi dzielił też łoże i która wykonywała wszystkie najcięższe prace, bo on nie mógł się do niczego takiego zniżać, on tylko siedział i kalkulował, i prowadził interesy. Mniej lub bardziej pokrętne, ale czy ktoś kiedy dorobił się na uczciwości? Czy człowiek nie powinien przede wszystkim myśleć o sobie?

Wszystko to wirowało mu w głowie, gdy bez tchu, śmiertelnie przerażony pędził potykając się miedzą przez pola. Był już blisko celu, a bestie go jeszcze nie dopadły. Musi być wspaniałym biegaczem, mimo wszystko! Uciec takim ogromnym wilkom? Nikt chyba czegoś podobnego jeszcze nie widział!

Ale wilki? Skąd one się wzięły? W środku osady! Musiały przyjść zza wzgórz i wygłodniałe podeszły aż do zabudowań.

Wygłodniałe?

Wygłodniałe! Ratunku! Już widział potężne szczęki, miażdżące jego kości. Pierwsze kawałki ciała zostaną pożarte, kiedy on jeszcze będzie żył. Przerażenie narastało, gnał coraz szybciej, był to wyścig ze śmiercią.

Zaczął to jednak odczuwać w piersiach. Jakby mu się jakaś obręcz zaciskała wokół serca, czuł gwałtowny ból z tyłu głowy i brakowało mu powietrza. W ustach miał smak żelaza i krwi, był potwornie wyczerpany. Biegł już teraz wyłącznie dzięki sile woli, tylko instynkt samozachowawczy pchał go dalej.

Ale już widział schody swego domu. Próbował dostać się tam na czworakach w chwiłi, gdy gospodyni otworzyła drzwi.

— Jak też to pan wraca do domu? Dlaczego pędzi pan jak opętany?

— Wilki! Wilki! — zdołał wykrztusić i padł na schody. Chciał ostrzec, chciał wzywać pomocy, ale nle zdołał wydobyć już z siebie głosu.

— Co takiego? Wilki tutaj? Czy się panu w głowie pomieszało?

Przerażony pospiesznie odwrócił głowę. Podwórze było puste, pola także, nikogo na drodze.

Pojmował jednak, że ten szalony bieg skończył się dla niego źle. Ból w piersiach i z tyłu głowy stawał się nieznośny i po chwili mężczyzna pogrążył się w mroku.

— Panie gospodarzu, co pan robi? Jezu Chryste, nie chce pan tu chyba umrzeć?

Podniosła się śmienelnie blada.

— Matko Boska, to prawda! Umarł! O, święci pańscy, co robić? Co będzie teraz ze mną?

— On uciekł — powiedział zdumiony Henning, który wyglądał przez okno. Stał tam, mimo że bardzo nie chciał patrzeć, jak jego ukochana krowa opuszcza na zawsze podwórze. — Widziałem, jak biegł aleją, jakby go ktoś gonił. Ale krowy nie wziął... Nieee...

— Co się stało? — zapytała Malin.

— Nic, już go nie ma. Ale zdawało mi się, że widzę wyraźnie... jakieś wielkie psy, a może wilki... Goniły go. Nie, to tylko cienie drzew w alei. Ale on uciekał, jakby mu śmierć deptała po piętach.

— Co się stało? Może go brzuch rozbolał?

Henning wciąż wyglądał przez okno.

— Co to za nim biegło, na Boga? Nie zdążyłem zobaczyć.

— No, cokolwiek to było, to jednak nie mogę uwierzyć, żeby wilki... — wtrąciła Malin trzeźwo. — Było pewnie tak, jak mówisz, cienie pod drzewami. Zrobiło się już dosyć ciemno.

Henning nie odpowiadał. Wciąż wpatrywał się w tamtą stronę, ale drzewa przesłaniały mu widok, a poza tym mroczniało coraz bardziej.

Malin westchnęła.

— Tak czy inaczej, dla nas to tylko odroczenie sprawy. On z pewnością tu wróci, z jego strony nic dobrego nas nie czeka.

Patrzyła zmartwiona na chłopca, który sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Wciąż nie odrywał oczu od drogi, blady i przejęty.

Wilki? Ależ to czysty wymysł!

— Ja nie wierzę, że tata był mu winien pieniądze — powiedział w końcu Henning swoim dźwięcznym głosem, który ostatnio zaczynał się załamywać i czasami przechodził w donośny bas. — Ojciec zawsze bardzo się bał długów. Czy nie powinniśmy pójść do lensmana i zapytać, co mamy robić?

Malin nie bardzo wierzyła w pomoc ze strony władz. Ten nowy sąsiad był człowiekiem wpływowym. Przez dłuższy czas stali w milczeniu, bezradni.

Potem Malin weszła ciężkim krokiem na piętro i skierowała się do pokoju bliźniaków. Ulvar zdążył wślizgnąć się pod kołdrę, ale Malin widziała jego czerwone stopy. Bez wahania podniosła kołdrę i dotknęła nóg. Były lodowate.

— Ulvar, czy ty wychodziłeś na dwór? I znowu masz mokro w majtkach! Dlaczego ty nie mówisz, że ci się chce?

Poczuła, że zachowanie chłopca jest tą ostatnią kroplą, która przepełniła kielich goryczy. Śmiertelnie zmęczona ciężkim i denerwującym dniem poszła po suchą pieluchę.

Marco, ten cudownie piękny bliźniaczy brat Ulvara, leżał spokojnie w swoim łóżeczku i patrzył na nią. Z tym delikatnym, tajemniczym uśmiechem na kształtnych usteczkach.

Nieoczekiwanie Ulvar zaczął się śmiać. Ostrym, dzikim, niesamowitym śmiechem, od którego Malin przebiegł lodowaty dreszcz po plecach.

Dolina cieni śmierci...

Skąd pochodzą te słowa? Chyba z Biblii...

Jego wynędzniałe ciało wałczyło ze śmiercią, nie miał co do tego wątpliwości. Wszystko wokół było zamglone, słyszał ciężkie uderzenia serca, pulsowanie pod skórą. Płuca wciągały powietrze powoli, boleśnie, z długimi przerwami. Jeśli uda mi się jeszcze ten raz....

Nie, zdawało się to niewykonalne.

Do domu, muszę wracać do domu! Muszę się na to zdobyć!

Czuję kołysanie, słyszę chlupot koło siebie. Czy to ta łódź śmierci?

Nie, to statek. Wiezie nas do domu.

Belinda... Gdzie ona jest?

Wierzę, że jest na statku. Zdaje mi się, że pastor tak mówił, ale może mi się tylko śniło? Ten dobry pastor, co my byśmy bez niego zrobili?

Krzyk Belindy na nabrzeżu. Jej śmiertelny strach przed wejściem na pokład.

Dalej już niczego nie pamiętam.

Nic, prócz tego kaszlu, który tak mnie wyniszcza.

Mgła... Znowu powraca ta mgła, nie jestem już w stanie oddychać. Nie chcę. Nie mogę dać się pochłonąć tej mgle, bo to będzie ostatni raz. Potem...

Nic więcej.

Wieczna cisza.

Henning!

Mój mały synek, który o niczym nie wie. I gdzie jest Belinda? Ona nie poradzi sobie... beze... mnie...

Jakiś głos zza mgły.

„Viljarze!”

Jaki życzliwy głos! Czy ja już umarłem?

„Viljarze! Spróbuj jeszcze raz! Wytrzymaj! Oni nie mogą cię utracić, wiesz o tym.”

Ten głos! Ja go znam! Ale to nie może być ten. Przecież ja jeszcze nie umarłem!

„Nie, Viljarze, nie umarłeś. Jeszcze nie. Ale musisz walczyć ze śmiercią. Ze względu na twoją rodzinę.”

Dziadek! Dziadek Heike, który nie żyje od co najmniej piętnastu lat. Skąd on się tu wziął?

Dziadek siedzi na krawędzi mojej koi. Czuję to. A jego ręka spoczywa na moim czole, taka jest chłodna, uspokajająca.

„Prowadzisz najważniejszą walkę w swoim życiu, Viljarze. Postaraj się wytrwać, dopóki nie dojedziesz do Lipowej Alei. A kiedy już tam będziesz, poproś o eliksir ze skarbu Ludzi Lodu. Ten, który znajduje się w zielonej buteleczce na samym dole w prawym rzędzie. To ci może pomóc. Ale musisz wytrwać przy życiu, dopóki nie znajdziesz się w domu. Myśl o Henningu, myśl o Belindzie!”

— Belinda? Czy ona tu jest?

„Tak, Belinda jest na statku, dostała środek nasenny. Na pokładzie jest lekarz. Ale tobie pomóc nie może. Tylko ty sam możesz sobie pomóc.”

— Ja nie mam już sił.

„Człowiek potrafi czerpać siły nawet z wyschniętego źródła, jeśli trzeba. A jeśli dotrzesz do domu, to pamiętaj, nigdy nie wolno ci zgodzić się na to, żeby Ulvar dostał skarb Ludzi Lodu. Nigdy!”

— Kto to jest Uivar?

„Dowiesz się w swoim czasie. Teraz myśl tylko o tym, by wytrwać. Koncentruj na tym wszystkie siły.”

— Tak. Dziadku, przodkowie Ludzi Lodu nigdy nie ukazują się norrnalnym członkom rodu, takim, którzy nie są dotknięci ani nie zostali wybrani. Dlaczego przyszedłeś do mnie?

„Bo mój syn cię potrzebuje. A on jest ważny dla Ludzi Lodu. Dlatego tutaj jestem.”

— Rozumiem. Będę walczył z całych sił, choć już wcale ich nie mam.

Znowu zamykała się wokół niego ta mgła ze swoim zdradzieckim spokojem. Płuca już nie chciały wciągać powietrza. Ale Viljar zmuszał je do tego. Zauważył, że jest znowu sam. Dziadek go opuścił, ale jakby tchnął w niego jakąś nową moc. I przecież on sam wcale nie chciał umierać, mógł przeżyć jeszcze wiele pięknych lat ze swoją Belindą i tym małym synkiem, którego od tak dawna nie widział. A Belinda jest przecież całkowicie uzależniona od niego, od Viljara. Ona, ze swoim strasznym smutkiem i ze zmąconym umysłem. Co się z nią stanie, jeśli jego zabraknie?

Ach, te jego udręczone płuca! Dlaczego one już nie chcą walczyć? Jeszcze jeden oddech, nie możecie spróbować?

Malin pobiegła z jakimś interesem do Eikeby i zasiedziała się tam za długo. Zrobiło się już prawie ciemno. Ale to tak miło wyjść na chwilę z domu, odprężyć się i zapomnieć o zmartwieniach.

Nagła śmierć sąsiada stała się w ostatnim czasie powszechnym tematem rozmów w parafii. Atak serca, powiedział doktor. Nic dziwnego. Dla kogoś, kto przedkłada dobre jedzenie nad ruch, taki galop musi być brzemienny w skutki. Ciekawe tylko, co sprawiło, że ten podstarzały mężczyzna tak gnał jak opętany? Prawdopodobnie poczuł się źle i chciał jak najprędzej znaleźć się w domu.

Miesiąc już minął od pogrzebu, a w Lipowej Alei nie pojawił się nikt z żadnymi pretensjami, ani z domu zmarłego, ani od lensmana. Nikt nie domagał się spłaty długu w imieniu zmarłego i Malin zaczynała wierzyć, że Henning ma rację. Viljar nikomu nic nie był winien. Ale, mój Boże, jaka to podłość, wymyślić takie kłamstwo. Jak można po prostu przyjść i zabrać sąsiadom krowę, a potem ziemię, kawałek po kawałku? Całkiem bez powodu?

Malin i Henning nikomu nie powiedzieli o pretensjach sąsiada. Chcieli zobaczyć, jak sprawy się potoczą.

Dziewczyna pospiesznie szła w stronę domu w coraz większym mroku. Biedny Henning, teraz na niego spadła cała praca, nawet dzieci musi sam położyć spać i...

Wtem zamarła. Ktoś za nią szedł.

Przemknęła jej przez głowę szalona myśl, że może to duch sąsiada przyszedł, żeby się zemścić, a potem mnóstwo innych równie przerażających pomysłów. Może powinni jednak byli komuś powiedzieć? Wprawdzie zmarły nie miał spadkobierców, którzy ponieśliby szkodę z powodu nie zwróconego długu, ale jak to właściwie było z gospodynią? Może jej się coś należy? Ludzie gadają, że pod jej łóżkiem znaleziono ranne pantofle gospodarza...

W tym momencie Malin zobaczyła, że idzie za nią jakiś adorator. Była przecież młodą dziewczyną, miała niewiele ponad dwadzieścia lat i chociaż nie odznaczała się specjalną urodą, to przecież zawsze bardzo o siebie dbała i miło było na nią popatrzeć.

Idący dogonił ją szybko. Okazało się, że to młody chłopak z jednej z sąsiednich willi; nie cieszył się, niestety, zbyt dobrą opinią, był bardzo przystojny i wiele dziewcząt w parafii wodzilo za nim oczami, co on, zdaje się, dość skrzętnie wykorzystywał. Malin także posyłała mu czasem przeciągłe spojrzenie, bo ładni chłopcy nie rodzą się przecież na kamieniu.

Nigdy jednak nie marzyła o nim potajemnie! Nie przepadała za takimi, którzy wszędzie wzniecali płomienne zainteresowanie, ale przecież rozmowa z nim mogła być przyjemna.

Tyle że jemu raczej nie o rozmowę chodziło tym razem. Bez ogródek oświadczył, że widział ją wielokrotnie i że nareszcie zebrał się na odwagę, żeby ją zaczepić, czego mu ona, ma nadzieję, nie weźmie za złe.

Malin jednak nie dała się nabrać na słodkie słówka. Niedawno bowiem słyszała, że tak samo zagadywał jedną z panien z Eikeby, która teraz chodzi z zaczerwienionymi oczyma i smutnym spojrzeniem.

— Nie, nie wezmę za złe — odparła chłodno. — Ale muszę się spieszyć do domu, bo moi podopieczni już zbyt długo są sami. Jeśli więc pozwolisz...

Młody człowiek jednak nie zamierzał pozwalić jej odejść. Chwycił ją mocno za ramię i przyciągnął do siebie.

Chciał tylko nadal prawić jej uwodzicielskie słówka, żeby złamać jej opór, ale ścisnął ją za mocno i Malin krzyknęła. Chłopak usłyszał wściekłe warczenie, z krzaków wybiegło jakieś potwornie wielkie zwierzę i rzuciło się na niego.

Poezuł na ramionach ciężkie łapy i zatoczył się, przerażony, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Upadł na ziemię i leżał na plecach, a nad nim pochylała się rozwarta paszcza, tocząca ślinę i szczerząca wielkie, ostre kły.

Malin krzyknęła.

— Nie! Och, nie!

Jak na komendę ów wielki pies — a może to był wilk? — cofnął się w zarośla. Niefortunny adorator zerwał się na równe nogi i jak oparzony pognał do wsi.

Malin stała przerażona i patrzyła w ślad za bestią, która umknęła w krzaki z ostatnim warknięciem.

Dziewczyna także biegiem ruszyła w stronę domu. Przypomniała sobie wilki, które widział Henning. I jak bardzo trudno jej było w nie uwierzyć.

Teraz była równie przerażona jak on tamtego wieczora.

Nie wiedziała, czy odważy się zajrzeć do pokoju chłopców. Henning już ich położył, jak się domyślała. W domu panował spokój, a Henning zmywał w kuchni naczynia.

Musiała jednak pójść do bliźniaków. Ostrożnie uchyliła drzwi i na palcach podeszła do łóżeczka Ulvara.

Było tak ciemno, że nie widziała nic prócz tego, że chłopiec leży w łóżku. Czy jednak jej się tylko wydaje, czy naprawdę wyczuwa przy nim smugę chłodu? Oddech miał spokojny, jakby spał. Ale czy nie słychać w nim lekkiego drżenia, jakby przed chwilą biegł?

Dość tych fantazji! nakazała sobie. I nie dotykaj jego stóp! Wymknęła się równie cicho jak przyszła i bezszelestnie zamknęła drzwi. Niespokojnie zeszła na dół, gdzie czekał na nią zdziwiony Henning.

Zmężniał ostatnio ten mały Henning. Niedługo będzie miał czternaście lat. Silny i zręczny, ale spojrzenie miał zmęczone i jakby pozbawione iluzji. Jak u starego człowieka.

Tak strasznie było go jej żal. Zbyt wielki ciężar spadł na jego barki.

— Co się stało, Malin?

Jemu nie chciała kłamać. Musieli się z tym wszystkim zmagać razem. Mieli tylko siebie.

— Wilk znowu się pokazał — powiedziała zdławionym głosem. — Tym razem tylko jeden. Uwolnił mnie od nieprzyjemnego człowieka.

Henning zbladł.

— Zamordował go?

— Nie. I musisz pamiętać, że tamten też nie został zamordowany przez wilki. One go tylko goniły. Umarł ze strachu i ze względu na słabe serce.

Chłopiec potwierdził. Twarz mu stężała z nagłej trwogi.

— Czy oni śpią? — zapytała cicho.

Henning odpowiedział równie cicho zmartwiałymi wargami:

— Nie wiem. Położyłem ich i zabrałem się do sprzątania w kuchni.

— Och, Henning — szepnęła Malin. — Co my poczniemy?

Przeżyli oboje bezsenną noc. A oboje tak strasznie potrzebowali snu!

Przy śniadaniu oczy Ulvara jarzyły się, a ich zwykle złocista barwa przybrała odcień zieleni; nieustannie wybuchał tym swoim okropnym śmiechem, którego tak nienawidziła. Był dziś ponad wszelkie swoje zwyczaje złośliwy, wylewał powolutku kwaśne mleko na obrus, kopał Henninga pod stołem, ciskał kaszą na ścianę i bez przerwy bardzo wyraźnie powtarzał paskudne przekleństwo, którego się właśnie nauczył.

Henning i Malin nie mieli nad nim żadnej władzy, kiedy wpadał w ten piekielny humor. W końcu uspokoił go Marco kilkoma cichymi słowami w ich tajemniczym języku. Ulvar zsunął się z krzesła i umknął pod okno jak skarcony pies.

Henning był zmęczony, tak okropnie zmęczony. Miał iść do pracy w polu, ale jedyne, czego dziś naprawdę potrzebował, to położyć się do łóżka i spać. Zmęczenie i bezradność miały podłoże psychiczne, Malin rozumiała to bardzo dobrze, bo sama też to odczuwała.

Nagle usłyszeli zdradzające podniecenie okrzyki Ulvara, siedzącego na parapecie.

Mam nadzieję, że to nie są znowu jakieś wilki, pomyślała Malin. Więcej już tego nie zniosę.

— Jakiś powóz tu jedzie! — zawołał Henning, który też podbiegł do okna.

Malin zwróciła uwagę, z jaką serdecznością położył rękę na ramieniu Ulvara. Malec jednak uwotnił się od niego. Owa niesamowita istota demonstracyjnie unikała tega rodzaju poufałości.

Malin westchnęła.

— Wygląda to na... karawan — powiedział Henning zamierającym głosem.

— O mój Boże, co ty mówisz?

Marco przyłączył się do Ulvara, obaj klęczeli na parapecie, przytuleni do siebie, i wyglądali przez okno. Malin podeszła do nich.

Z alei lipowej na dziedziniec wjeżdżał długi powóz. Na przednim siedzeniu widzieli dwóch mężczyzn i panią. Z tyłu stało coś, co naprawdę mogło przypominać trumnę.

Cóż za straszny widok, pomyślała Malin. Karawan z trumną wjeźdża na podwórze! Pytanie tylko, czy to rzeczywistość, czy też jedno z przywidzeń Ludzi Lodu. Pochodzą przecież z Ludzi Lodu, wszyscy czworo zebrani przy tym oknie.

Ale powóz był prawdziwy.

— Trzeba wyjść i zobaczyć kto to — powiedziała bezdźwięcznie.

Malcy natychmiast zeskoczyli z parapetu i pomknęli do drzwi.

— Nie, wy nie! Musicie zaczekać w domu, przywitacie się później. Najpierw my zobaczymy, kto to przyjechał.

Ulvar posłał jej miażdżące spojrzenie i zdzielił ją pięścią w kolano. Malin tak była przyzwyczajona do jego agresji, że nie zwróciła na to uwagi. Już dawno odkryła, że Ulvara nie należy karać. Wtedy jego nienawiść jest podwójnie gwałtowna i naprawdę niebezpieczna.

Henning i Malin wyszli na schody. Powóz zatrzymał się i jakiś mężczyzna zeskoczył na ziemię. Miał na sobie ubranie duchownego.

Coraz gorzej, pomyślała. Cóż to za kondukt do nas przybył?

Siedząca obok stangreta pani nie poruszyła się. Trwała wciąż pochylona do przodu. Z całej jej postaci biła jakaś rezygnacja, bezradność, jakby nieobecność. Stangret także pozostał na swoim miejscu.

Duchowny szedł im na spotkanie. Malin zauważyła, że Henning aż drży ze zdenerwowania i napięcia.

Biedne dziecko, myślała Malin rozżalona. Czy ten ksiądz nie ma rozumu? Żeby przyjeżdżać tu z umarłym? Zaraz jednak stwierdziła, że Henning nie spuszcza oczu z kobiety.

Malin jej nie znała, ale przecież w ogóle znała w tej parafii niewielu ludzi.

Rzuciła niepewne spojrzenie w stronę okna za sobą. Zobaczyła tam jednak dwa dziecięce nosy przylepione do szyby, rozpłaszczone z ciekawości. Dobrze, przynajmniej nie psocą chociaż przez chwilę.

Chociaż Marco nie psocił nigdy. On był wzorowym dzieckiem.

Henning krzyknął zdławionym głosem i chciał się rzucić do powozu, ale pastor chwycił go błyskawicznie za ramię.

— Spokojnie, chłopcze — powiedział cicho. — Ty jesteś Henning, prawda?

Chłopiec był zdolny tylko skinąć głową. Jego przerażone oczy nie przestawały wpatrywać się w kobietę obok stangreta. Pastor ukucnął przy nim, widział tylko jego.

— Musisz się zachowyurać bardzo spokojnie, Henning. W przeciwnym razie mógłbyś narobić szkód. Tak, nie mylisz się. Tam siedzi twoja mama. Ale ona jest bardzo, bardzo chora...

Malin głośno wciągała powietrze. Ona także robiła co mogła, żeby uspokoić Henninga. Stała za nim, ręce położyła mu na ramionach.

— Pastor mówi po duńsku? — zwróciła się do gościa i sama czuła, że jest blada jak ściana.

— Tak. Przyjechałem z Thisted w Danii.

— A... jego ojciec? — zapytała, wskazując ruchem głowy powóz.

— On nie umarł — uspokoił ich pastor, a Henning drgnął gwałtownie. — Ale boję się, że bliski koniec jest nieunikniony.

Mały Henning stał jak posąg, jego opanowanie było nieprawdopodobne.

— Jestem już spokojny — zapewniał. — Czy mógłbym...?

— Powinniśmy działać bardzo ostrożnie — powiedział pastor. — Musimy wprowadzić twoją mamę do domu, to bgdziesz się mógł z nią przywitać. Najmniejsze wzruszenie mogłoby zabić twego ojca. I, Henning... Musisz być przygotowany na to, że mama może cię nie poznać!

— Może... nie poznać mnie?

— Od czasu katastrofy statku nie otrząsnęła się z szoku.

Biedny Henning! Jak on to zniesie, skoro jedyne, za czym tęsknił, to rzucić się w objęcia odnalezionym rodzicom i wypłakać swoją rozpacz i swoją radość!

Malin uświadomiła sobie teraz, że to nie trumna stoi na wozie, lecz jakaś wydłużona skrzynia, w której leży chory. Nie widziała go, bo skrzynia miała wysokie boki.

Woźnica pomagał kobiecie zejść z powozu. Malin nie znała Belindy, a teraz doznała wrażenia, że ma przed sobą bardzo zmęczoną, bardzo oszołomioną kobietę, nie rozumiejącą, co się dzieje, kobietę, której twarz zachowała jeszcze ślady dawnych ładnych rysów, a która jednak zestarzała się katastrofalnie i dużo za wcześnie.

— Trzymaj się z boku, Henning — szepnął pastor. — Dopóki nie wprowadzimy mamy do domu. Musimy pamiętać o twoim ojcu. Gdyby mama krzyknęła albo coś takiego, mogłoby to oznaczać dla niego koniec.

— Co mu jest? — zapytała Malin półgłosem.

— Gruźlica. Ostatnie stadium. Że on do tej pory żyje, to prawdziwy cud! Ale ja myślę, że on chciał...

— Oczywiście — rzekła krótko. — Dziękujemy za to!

Była tak zdenerwowana, że drżała. A jeszcze gorzej musiało być z Henningiem, który schował się za rogiem domu, kiedy pastor i Malin prowadzili niczego nie pojmującą Belindę.

Na schodach Belinda przystanęła i odwróciła się. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale pastor pospieszył z wyjaśnieniami:

— Tak, tak, on też tu przyjdzie. Jego też przyniesiemy.

Malin uświadomiła sobie, że płacze. Raz po raz musiała ocierać łzy, które ją oślepiały. Viljar i Belinda żyją! Ale radosna nowina przemieniła się w nową rozpacz.

— Ja z wykształcenia jestem pielęgniarką — powiedziała do pastora, otwierając drzwi.

— Pani też? — zapytał zdumiony, ale z radością. — Tych dwoje uratowała duńska pielęgniarka. To ona przywróciła ich życiu. Tylko co to za życie? O mój Boże! — wykrzyknął przestraszony. — Zdawało mi się, że zobaczyłem małe diablątko!

Malin zapomniała o chłopcach.

— Nie, nie — zaprotestowała. — To tylko maly Ulvar. Nieszczęsne dziecko, które przyniosło ze sobą na świat taki okropny wygląd.

Chłopcy ponownie zniknęli w kuchni, a dorośli wprowadzili Belindę do pokoju. Biedaczka szła coraz wolniej. wzrok bezradnie błądził po ścianach. Od czasu do czasu pojękiwała cicho.

— Ja myślę, że ona poznaje mieszkanie — szepnął pastor.

Posadzili ją w fotelu.

— Może lepiej, żeby przywitała się z synem teraz, kiedy jest sama — zaproponowała Malin.

— Tak. Tak będzie najlepiej. Poproszę woźnicę, żeby dopilnował jej męża, a ja przyprowadzę chłopca.

Henning wszedł do salonu razem z pastorem. Malin widziała, że Belinda przygląda się pokojowi. Zdumiona, zaciekawiona, przesuwała dłonią po obrusie na stole. I wtedy wszedł syn...

Twarz miał wykrzywioną od wstrzymywanego płaczu.

— Mamo — pisnął cieniutko, idąc ku niej niepewnie.

Jej pusty wzrok zawisł na chłopcu.

— Mamo, ja jestem Henning!

Powoli, powoli w jej oczach pojawiło się światło. Wargi drżały bezradnie, wyciągnęła rękę i dotknęła swetra chłopca.

Pastor i Malin nie odważyli się poruszyć.

Z piersi Belindy wydobyło się głębokie, drżące westchnienie. Zmęczona twarz ożywiła się iedwie dostrzegalnie, było oczywiste, że toczy ze sobą walkę — czy może uwierzyć w to, co widzi, czy nie. W końcu jęknęła, długo i przeciągle, Henning nie był już w stanie dłużej nad sobą panować, upadł na kolana, wtulił twarz w jej ubranie i wybuchnął rozpaczliwym płaczem. Belinda przygarnęła go do siebie, kołysała wolniutko, tam i z powrotem, z policzkiem przytulonym do jego włosów, a łzy płynęły strumieniem z dawno już wyschniętych źródeł.

Pastor zwrócił się do Malin:

— Nie wiemy, ile ona pojmuje — szepnął. — Ale poznała go i to jest ogromny krok naprzód. Proszę tu z nimi zostać, a my z woźnicą przeniesiemy chorego do domu.

Malin trwała bez ruchu. W kuchennych drzwiach stały dwie małe postaci i zaglądały ciekawie do salonu. Tamtych dwoje w fotelu nie było w stanie zajmować się nikim oprócz siebie nawzajem.

Tak oto Viljar z Ludzi Lodu wrócił do Lipowej Alei. Dzięki niezłomnej sile woli nie umarł i zdołał dotrzeć do domu.

ROZDZIAŁ V

Położono Viljara w jego dawnym łóżku. I w końcu Malin mogła go zobaczyć.

Była wstrząśnięta. Ciało potwornie wychudzone, oczy zapadnięte głęboko, bardzo głęboko, trupio blada skóra, perlisty pot na czole i prawie niewyczuwalny oddech. Spotkała już kiedyś Viljara, ale miała wtedy sześć czy siedem lat, i było to w czasie, zanim on poznał Belindę. Mgliste wspomnienie, jakie zachowała z tamtego spotkania, w niczym nie zgadzało się z tym... teraz widziała po prostu żywego trupa.

Poprosili Henninga, by został z matką, bo nie wiadomo było, ile wzruszenia Viljar jest w stanie znieść. Nie mieli też pojęcia, czy Belinda odzyskała zdolność myślenia, czy nie, ale pastor miał rację: nigdy nie zrobi krzywdy Henningowi. Przez cały ten okropny czas spędzony w Danii opiekowała się Viljarem z najszczerszym oddaniem, bo zdawało jej się, że to Henning i że jest niemowlęciem. Malin uważała to za niewiarygodne, lecz pastor zapewniał, że ona naprawdę nie widzi rzeczywistości i żyje w jakimś swoim urojonym świecie. Widywano przecież obłąkane kobiety, które utraciły dzieci, jak przytulają do siebie zwinięte w tobołek ubranka albo pieszczą motek włóczki. Ale to przecież różnica, myślała Malin. Można uważać tobołek za niemowlę, ale żeby dorosłego mężczyznę? Nie znała jednak wszystkich zakamarków duszy ludzkiej ani strasznej siły rozpaczy.

Pastor pochylił się nad łóżkiem.

— Viljar — rzekł ostrożnie. — Czy ty mnie słyszysz? Jesteś już w domu. W domu, w Lipowej Alei.

Oczy chorego były zamknięte. Ale czyż w kąciku warg nie pojawił się słabiutki uśmiech?

— Tak. Dokonałeś tego — mówił dalej pastor. — A skoro dotarłeś tutaj, to reszcie też dasz radę.

Och, przyjacielu drogi, myślała Malin zrozpaczona. Czy ty naprawdę w to wierzysz? Viljar z Ludzi Lodu przeszedł już na drugą stronę granicy między życiem a śmiercią, czy ty tego nie widzisz? A powrót do domu będzie wstrząsem zbyt silnym, żeby mógł mu sprostać...

Ale ku jej wiełkiemu zdziwieniu powieki chorego podniosły się wolno i oczy Viljara, kiedyś takie piękne, rozglądały się po pokoju. Odszukał wzrok pastora, wargi próbowały wypowiedzieć jakieś słowo, które pastor zrozumiał.

— Eliksir, oczywiście!

Wyjaśnił Malin, o co chodzi:

— Na pokładzie statku do Norvregii Viljar zdołał mi wytłumaczyć, że tu w domu macie jakieś lekarstwo, które może mu pomóc. — Malin dostrzegała sceptycyzm w oczach pastora, który jednak tłumaczył dalej: — Trudno było zrozumieć, co on mówi, ale to było coś o zielonej buteleczce. Na samym dole, w prawym rzędzie.

Patrzyła na niego nie rozumiejąc.

— I wymieniał też coś, co brzmiało jak: skarb!

— Tak, oczywiście, ależ jestem głupia! Zaraz przyniosę...

Wielki skarb z najcenniejszymi środkami znajdował się poza domem, w tajnej skrytce. Nie mogli go przechowywać w Lipowej Alei, to by było nierozsądne. W domu były tylko środki, które mogły się od czasu do czasu przydać. Po śmierci Sagi nie miał kto odziedziczyć skarbu — z wyjątkiem Ulvara, ale on był jeszcze dzieckiem, a poza tym...

Malin wyjęła zieloną buteleczkę. Nie wiedziała, że Viljar tak dobrze się zna na tych lekarstwach. Szczerze mówiąc, poważnie wątpiła w tę jego wiedzę. A zatem skąd wziął informację na temat eliksiru?

Zawartość buteleczki była gęsta niczym stara smoła i Malin nie mogła jej wydobyć nawet czubkiem noża. Ale na kuchni stało naczynie z gorącą wodą, wlała parę kropel do butelki i zanim lekarstwo się rozrzedziło, wróciła do sypialni.

Viljar skierował na nią swoje pozbawione blasku oczy.

— Saga? — zapytał.

Usiadła obok niego.

— Sagi nie ma — powiedziała łagodnie. — I już nie będzie. Ja jestem Malin. Witajcie w domu, oboje z Belindą.

Zamknął oczy. Zdawało się, że każde najdelikatniejsze nawet drgnienie jest dla niego udręką.

— Malin, córka Christera... Dziękuję.

Zrozumiała, co Viljar ma na myśli.

— Henning ma się dobrze — powiedziała. — jest teraz u swojej mamy i oboje płaczą ze szczęścia.

Vlljar uśmiechnął się blado.

— Ale ty się niczym nie denerwuj — powiedziała Malin. — Nie myśl o niczym, leż tylko spokojnie! Niedługo zobaczysz Henninga. Lekarstwo zaraz będzie gotowe.

— Dobrze... Heike prosił mnie, żebym tego spróbował...

Heike?

I Malin zrozumiała. Ludzie Lodu znowu interweniowali.

— Zaraz ci je przyniosę — powiedziała z szerokim uśmiechem.

Kiedy Viljar wmusił w siebie łyżkę dość cierpkiej mikstury i odpoczął z pół godziny, pozwolono Henningowi pójść do ojca. Belinda została położona do łóżka w innym pokoju, a tak była zmęczona podróżą i wzruszeniami, że poddała się temu chętnie. Zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, a oni wciąż nie wiedzieli, czy odzyskała pamięć, czy nadal żyje w urojonym świecie własnych marzeń. Bali się strasznie, że nigdy się z tego nie wydobędzie.

Henning stanął przy łóżku ojca i patrzył wielkimi, pełnymi rozpaczy oczyma, co choroba zrobiła z tym człowiekiem, który był pod każdym względem jego ideałem. Viljar starał się nie denerwować, żeby dodatkowo nie obciążać swego udręczonego organizmu, ale to nie było takie proste.

Głos miał cichutki jak tchnienie wiatru.

— Synku mój! Jaki ty jesteś duży!

— A jaki dzielny! — wtrąciła Malin.

Henning nie wiedział, co powiedzieć. Jego ukochany ojciec był teraz dla niego obcym człowiekiem. Żywił dla niego współczucie, ale przecież nie tego Viljar oczekiwał od swego syna. Potrzebował jego miłości. A Henning był jak sparaliżowany, nie mógł się poruszyć i czuł się, jakby mu mowę odjęło. Cierpiał strasznie z tego powodu — chciał dać tak wiele, a nie potrafił dać nic.

Na szczęście chłopiec nie musiał nic mówić, bo zapomniał zamknąć za sobą drzwi i do pokoju wbiegły dwa nieprzytomnie już ciekawe szkraby. Tak długo przebywali bez opieki w kuchni, że Malin nie miała odwagi tam wejść i zobaczyć, co po sobie zostawili.

Teraz już malcy nie chcieli siedzieć sami.

Ku jej przerażeniu Ulvar wdrapał się na oparcie łóżka i wystawił głowę ponad krawędź. Viljar zobaczył go. Przez moment Malin wydawało się, że cała jej ostrożność poszła na marne, bo teraz Viljar z pewnością przeżyje szok. Nawet pastor miał trudności z zaakceptowaniem niesamowitego wyglądu tego małego trolla z niewiarygodnie wysokimi kośćmi policzkowymi, wąskimi, żółtymi oczkami nieustannie zmrużonymi w bezgranicznej wrogości wobec świata, z ciemnymi, potarganymi włosami, sterczącymi na wszystkie strony, no i te jego usta! Szerokie jak wrota, z ostrymi wilczymi kłami, pod nosem równie krótkim jak szerokim. Do tego kanciasty, nieproporcjonalny korpus, jakby ktoś jego ciało rozebrał na części, a potem poskładał na chybił trafił. Naprawdę nietrudno było uwierzyć, że to dziecko diabła, nie wiadomo skąd wzięte i przez jakąś tragiczną pomyłkę umieszczone wśród ludzi.

Ulvar był obciążony najbardziej jak to możliwe. Dostał wszystko, co należy do tego strasznego dziedzictwa, całe zło, potworność i nieposłuszeństwo.

Jeśli nie...?

Do nikogo nie był podobny, co do tego Malin nie miała żadnych wątpliwości.

Ale ona i Henning zostali uratowani w niezwykły sposób. Już trzy razy...

Viljar zaskoczył wszystkich. Popatrzył na małego potworka wysuwającego głowę znad oparcia łóżka i szepnął niemal niesłyszalnie:

— Kim ty jesteś?

Nie było w jego pytaniu nawet cienia niechęci. Tylko zdziwienie.

— To Ulvar. Synek Sagi.

— Sagi? No, tak, oczywiście. Mówiłaś, że ona nie żyje. Tak, to zrozumiałe. Biedna mała Saga...

Marco stał i dyskretnie czekał przy łóżku. Teraz Malin położyła ręce na jego ramionach i powiedziała:

— A to jest bliźniaczy brat Ulvara. Podniosę go, żebyś mógł zobaczyć. On ma na imię Marco.

Trzymała ślicznego chłopczyka. Spojrzenie Viljara spoczywało na nim długo.

— Mój Boże, co to może znaczyć? — szepnął w końcu i zamknął oczy.

Malin zwróciła się do Ulvara:

— Widziałeś? Tata Henninga cię lubi!

Ulvar wyciągnął język, a potem pluł i parskał długo ze złością.

— Miałbym go nie lubić? — szepnął Viljar wciąż z zamkniętymi oczyma i ze smutnym uśmiechem na wargach. — Zapominasz, że mój dziadek, Heike, był dla mnie we wszystkim wzorem.

Och, ale jest między nimi różnica, chciała powiedzieć Malin. Lecz zmilczała. Ulvar potrzebuje tyle akceptacji i dobrej woli, ile tylko możliwe.

Viljar znowu zapadł w drzemkę, więc opuścili pokój. Wszyscy z wyjątkiem Henninga, który chciał czuwać przy ojcu. Czuł się winny, bo nie przywitał go tak serdecznie, jak by chciał.

Malin zamyśliła się głęboko, wracając z Markiem do salonu. Ulvar pobiegł przodem i zabawiał teraz pastora, demonstrując mu, jak umie skakać po kanapie. Nie była w stanie go uspokajać.

Reakcja Viljara zaskoczyła ją. To nie Ulvar wzbudził jego zainteresowanie, lecz Marco. Spojrzała na stojącego przy niej malca. Zawsze widziała w nim idealne dziecko, które nie sprawiało najmniejszych kłopotów. Marzenie każdej matki, a w dodatku śliczny jak bóstwo.

Teraz popatrzyła na niego oczyma Viljara, nowymi oczyma, można powiedzieć. Marco był marzeniem, to prawda, i właśnie na to zareagował Viljar. Marco nie był dzieckiem z tego świata. Człowiek nie może być taki piękny, łagodny ani taki dobry. Ulvar nosił w sobie przekleństwo Ludzi Lodu, lecz, o paradoksie, był w tym bardziej ludzki niż ten jego idealny brat. Marco był synem Lucyfera, w każdym razie jeśli chodzi o wygląd.

Malin pomyślała o Sadze. Jeśli ojciec chłopców, Lucyfer, był równie piękny, to doprawdy trudno mu się było oprzeć!

Zaczęła pojmować, że nie tylko Ulvara muszą chronić przed bezmyślnością otoczenia. Marca także. Ktoś tak doskonały nie może istnieć na pełnym ludzkich ułomności świecie. Nikt mu nie wybaczy jego odmienności.

Boże, dopomóż nam, modliła się Malin. Jak zdołamy wychować te dzieci? Ulvara tak, aby zaczął pojmować różnicę między dobrem a złem, sprawiedliwością i niesprawiedliwością. I Marca tak, by na tym złym świecie zdołał ochronić swoją szlachetną duszę. Nie wolno dopuścić, żeby tego chłopca coś okaleczyło. Nie wolno na to pozwolić.

Choć wszystko tego dnia było po prostu chaosem, Malin musiała myśleć o swoich normalnych obowiąz-kach. Porozmawiała z parobkiem, żeby zajął się inwentarzem, bo Henning nie może dziś pracować. Sama zabrała się do przygotowania jedzenia, bo pastor musiał jechać dalej.

Cóż to za wspaniały człowiek! Jak zdołają mu podziękować za to, co zrobił?

Westchnęła i zaczęła nakrywać do stołu.

W sypialni Viljar ocknął się z drzemki. Ostrożnie otworzył oczy i spojrzał na swego małego syna, który siedział na krześle przy łóżku, wyprostowany jak świeca, napięty i czujny, w każdej chwili gotów do pomocy.

Viljar uśmiechnął się żałośnie, nie wiedząc zresztą nawet, czy ten uśmiech ukaże się na wargach, taki był zmęczony. Swoją okaleczoną dłonią poszukał ręki syna, ale bał się, że ramię nie zareaguje na sygnał z mózgu.

Widocznie jednak zareagowało, bo Henning zauważył słaby ruch ojca i ujął jego rękę. Viljar mógł znowu zapaść w ten stan pół snu, pół jawy.

I tak trwali, trzymając się za ręce, ojciec i syn, dopóki zmrok nie zaczął zapadać nad Lipową Aleją.

Fakt, że wygląd pastora nie został jeszcze do tej poro opisany, złożyć trzeba na karb tego, że właściwie nie bardzo jest co opisywać. Był to człowiek ani stary, ani młody, ani blondyn, ani ciemny, oczy miał nijakie, ani szare, ani piwne. Gdyby nie duchowne szaty, ginąłby całkowicie w tłumie, taki był anonimowy.

Ale kiedy się go już zauważyło i lepiej poznało, ujawniały się jego liczne i wspaniałe zalety. Już samo to, że nadzwyczaj serdecznie i ofiarnie zajął się nieszczęsnym Viljarem i jego żoną, że nie zostawił ich własnemu losowi gdzieś po drodze, świadczy o nim jak najlepiej. On naprawdę rozumiał, czym jest kapłańskie powołanie. Z tego zresztą powodu narażał się często niektórym innym duchownym w Danii, bo nie zawsze stosował się do reguł Kościoła. A jak wszyscy wiedzą, istnieje spora przepaść między Kościołem a chrześcijaństwem. Wiele, bardzo wiele dziwnych skorup nałożono na to, co początkowo było religią chrześcijańską. Te pancerze zostały stworzone w toku dziejów przez niektórych ojców Kościoła, a pierwszym z nich był Paweł. On nałożył bardzo gruby pancerz na naukę Chrystusa i stworzył całą szkołę „poprawiaczy”.

Malin, która była osobą umiarkowanie rełigijną, od pierwszej chwili żywiła do pastora szczerą sympatię i postanowiła, że teraz będzie pilniej uczęszczała do kościoła.

Zdawała sobie jednak sprawę, że jej dobre chęci od początku są skazane na unicestwienie. Pastor w ich parafii swoimi pełnymi gróźb kazaniami był w stanie uśmiercić wszełką pobożność.

Usiedli do stołu, żeby nareszcie coś zjeść. Malin musiała nieustannie sadzać Ulvara z powrotem na krześle, on jednak wolał ciągnąć woźnicę za wąsy. Od początku był zafascynowany potężnymi wąsiskami gościa. Przed chwilą porwał zapałki i chciał mu te wspaniałe wiechcie podpalić. Dopiero spokojne upomnienia Marca zdołały go powstrzymać. Ulvar parskał i wykrzykiwał przekleństwa pod adresem brata, ale posłuchał. W tej parze Marco był osobowością dominującą, choć trzymał się zawsze spokojnie na uboczu.

Ten niezwykły dzień jakoś mijał. Nawet, zdaniem Malin, mijał zbyt szybko. Musiała biegać jak w ukropie od jednej pracy do drugiej, żeby podołać wszystkim domowym obowiązkom, jednocześnie rozmawiała z pastorem, zajmowała się dziećmi, zaglądała do Henninga, żeby daćmu coś do zjedzenia, krzyczała na Ulvara i sprzątała po nim, bo akurat dzisiaj malec był we wspaniałym humorze i psocił jak najęty, dbała o to, by gościom niczego nie brakowało, aż w końcu poczuła, że w głowie jej się kręci ze zmęczenia.

Pastor postanowił, że przenocuje w Lipowej Alei. Sama go zaprosiła i była mu wdzięczna, że zaproszenie przyjął, aie dla niej oznaczało to nowe obowiązki, przygotowanie dwóch pokoi, świeża pościel i wszystko co trzeba...

Kiedy nareszcie mogli usiąść do późnego obiadu, Malin odetchnęła na chwilę. Posadziła Ulvara na krześle i mogła spokojnym głosem zapraszać gości do jedzenia.

Nagle podskoczyła. Henning! Chłopiec musi coś zjeść. Cały dzień siedzi wiernie przy łóżku chorego. Mówiła „łóżko chorego”, choć w głębi duszy myślała: „łóżko umierającego”.

Zmrok już zapadł, więc wzięła ze sobą lampę.

Stanęła w progu i uśmiechnęła się smutno. Henning zasnął. Nadal siedział na krześle przy łóżku, a głowę położył na nogach ojca. Ojciec i syn wciąż trzymali się za ręce.

Malin wróciła do gości. Chłopiec zje później.

Wróciła w odpowiedniej chwili, bo znowu musiała interweniować. Rozdokazywany Ulvar bombardował gości ziemniakami. Malin była przepracowana i tym razem wybuchnęła gwałtowną złością. Złapała Ulvara za kark i syknęła przez zęby:

— Będziesz siedział spokojnie czy nie, ty moje nieszczęście?

I właśnie w tej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich zaspana Belinda.

Malin i pastor wstali natychmiast i uprzejmie zapraszali ją do stołu. W napięciu oczekiwali jej reakcji, wciąż nie wiedząc, w jakim stanie psychicznym się znajduje.

Belinda pocierała czoło i spoglądała bezradnie to na jedno, to na drugie. Zdawało się, że pastora poznaje, lecz pozostali budzili w niej lęk.

— Tlętna lownica — oświadczył Ulvar, co, rzecz jasna miało znaczyć: wstrętna czarownica.

Malin miała nadzieję, że Belinda nie rozumie jego dziecinnego bełkotu. Że wygląd dziecka przerażał Belindę, nie ulegało wątpliwości.

— To jest mamusia Henninga, dzieci — powiedziała Malin do bliźniaków.

Ulvar pokazał język i wydał z siebie przeciągły ryk.

— Czy ja spałam? — spytała Belinda, która jakby nie miała odwagi na nich spojrzeć.

— Tak. Przespałaś się chwilkę.

Ale Belinda zdaje się nie to miała na myśli.

— Nie wiedziałam, że mamy gości.

Pastor i Malin patrzyli po sobie.

— Gdzie jest Henning? — zapytała Belinda. — I mój mąż?

— Są w sypialni. Obaj — wyjaśnił pastor pospiesznie.

— Obaj? Obaj — powtarzała niepewnie, jakby nie mogła połączyć dwóch różnych wydarzeń.

Nagle spojrzała na swoje ręce i podniosła w górę rękaw.

— O Boże — szepnęła wstrząśnięta. — Jaka ja jestem chuda!

— Byłaś bardzo chora, Belindo — rzekł pastor przyjaźnie. — Ale teraz najgorsze już minęło.

— Byłam chora? Nie pamiętam.

— Ale byłaś też bardzo, bardzo dzielna — dodał pastor. — Bo twój mąż był jeszcze bardziej chory niż ty, a ty zdołałaś utrzymać go przy życiu.

Tego najwyraźniej nie mogła zrozumieć.

Zatrzymała na Ulvarze przerażone, badawcze spojrzenie, ale nie wyglądała na zaskoczoną.

Wychudzonymi palcami dotykała warg.

— Ja... To takie dziwne, ale ja... nic nie rozumiem.

— Wszystko jest w najlepszym porządku — zapewniała Malin. — Usiądź teraz do stołu, Belindo, i zjedz coś. A potem porozmawiamy.

Belinda rozejrzała się po pokoju, jakby kogoś szukała. — Saga? — zapytała.

— Sagi tu nie ma — wyjaśniła Malin pospiesznie. — Ja przyjechałam na jej miejsce. jestem Malin, córka Christera.

— Aha, Christer...

Opadła na krzesło. Z wielkim rozczarowaniem stwierdzili, że w jej wzroku wciąż przeważa ów pusty wyraz. Ale przeważa, a nie panuje.

Domyślali się, że uważa za rzecz dziwną, iż obcy ludzie traktują ją w jej własnym domu jak gościa, ale zbyt była niepewna, żeby protestować.

— Viljar? — zapytała znowu.

— On śpi w swoim łóżku — wyjaśnił znowu pastor. — Henning jest u niego.

— Henning — szepnęła z czułością w głosie.

I nagle się zaniepokoiła. Pocierała jedną rękę o drugą. Malin zauważyła, że są one sine, jakby zmarznięte, teraz w środku lata. I takie chude, że prawie przezroczyste. Musiała je odmrozić w tej łodzi, pomyślała Malin. Ale nie tak strasznie jak Viljar. Wzruszona myślała, jak on musiał osłaniać żonę przed lodowatą wodą i mrozem kosztem własnego zdrowia.

Belinda chciała coś powiedzieć, zdawało się, że nie weźmie nic do ust, dopóki tego nie powie.

— Kto... Kto to był u mnie przed chwilą?

— Nikt do ciebie nie wchodził — powiedziała Malin zdumiona. — Chcieliśmy, żebyś mogła spać spokojnie.

Belinda zaprzeczyła energicznie.

— Ale ktoś tam był. Ktoś powiedział do mnie: A teraz spróbujesz używać głowy, ty stara idiotko!

Halucynacje? Czy jest z nią aż tak źle?

— Co ty mówisz? — zapytała Malin zaszokowana. — Nikt by się do ciebie nie odezwał tak niegrzecznie!

— Nie, ale dziwne w tym wszystkim było... Szukała odpowiednich słów. — Dziwne było to, że potem było mi jakoś łatwiej myśleć. Mimo to wszystko jest takie... rozmazane, niejasne, nie wiem, gdzie jestem, to znaczy wiem, jestem w domu, ale wszystko jest takie dziwne i tylu rzeczy brakuje...

— Tak, porozmawiamy o tym później, Belindo. Ale jeśli naprawdę uważasz, że ktoś u ciebie był, to ja myślę, że to mogli być tylko przodkowie Ludzi Lodu. Viljar opowiadał mi właśnie, że Heike...

— Nie, to nie był Heike! ja go przecież znałam!

Malin zastanawiała się.

— Skoro ten ktoś zwrócił się do ciebie tak bez szacunku, to... myślę, że to mogła być Sol. Ona miała podobno taki niewyparzony język.

— Nie, nie, to był ktoś inny. Ktoś...

Zastanawiała się, marszcząc brwi.

— Nie, to nie był żaden duch. To była żywa istota. Z krwi i kości.

Z nieczystym sumieniem Malin spojrzała pastorowi w oczy. Dzieci nie umieją jeszcze mówić, pomyślała. Bogu dzięki!

Belinda zaczęła pić mleko.

— Co to za dzieci? — zapytała uprzejmie. — Czy to twoje, Malin?

Malin nie wiedziała, ile może powiedzieć. Ale zebrała się na odwagę i wyjaśniła:

— Nie. To są bliźniaki Sagi.

— Sagi? — zdziwiła się Belinda. — Ale one przecież... są takie duże!

— Ty byłaś bardzo długo chora, Belindo — rzekła Malin łagodnie. — musisz przyjąć to do wiadomości, a wszystko szybciej się ułoży. I będzie łatwiejsze.

Wtedy Belinda odłożyła sztućce i wstała od stołu.

— Idę do Viljara.

— Nie, nie rób tego! — zawołała Malin i ujęła jej rękę. — Viljar musi odpoczywać. On jest jeszcze bardziej chory niż ty.

— Ale on mnie potrzebuje. Ja muszę...

— Nie — powiedział pastor i próbował nakłonić ją, by usiadła. — Opiekowałaś się nim bardzo długo i robiłaś to wspaniale. A teraz jest u niego Henning. Viljar źle znosi ruch wokół siebie i teraz chodzi o ciebie, Belindo! Tym razem ty masz pierwszeństwo.

— Ale Viljar zawsze się mną opiekował. Teraz ja muszę...

Czy pamiętała, przez co razem przeszli, czy też myślała o dawniejszych czasach, spędzonych w Lipowej Alei?

Malin zapytała serdecznie:

— Nie chcesz się dowiedzieć, co się z wami działo przez te dwa lata? Pastor mógłby ci o tym opowiedzieć.

Wychudzone palce nerwowo ujęły nóż i widelec Belinda usiadła posłusznie przy stole. Malin szeptem poprosiła chłopców, żeby poszli się położyć, ale nie chcieli, a ona akurat teraz nie miała siły z nimi walczyć.

— W takim razie siedźcie cicho! — nakazała.

Nawet Ulvar kiwał energicznie głową na znak, że będzie grzeczny.

I wtedy pastor opowiedział Belindzie wszystko, co wiedział o ich przeżyciach. To znaczy o okresie, który spędzili w Danii. Niczego nie owijał w bawełnę, mówił szczerze, że jej rozum musiał zostać uszkodzony i trwał w zamroczeniu, ale że dzisiaj jest zupełnie inaczej, takiej przytomnej i świadomej jeszcze jej nie widział, zapewniał że to dla wszystkich wielka radość i nadzieja.

Belinda słuchała w milczeniu. Zdawała sobie sprawę, że jej umysł funkcjonuje nie tak jak trzeba.

— A czy ty sama coś pamiętasz? — zapytał w końcu pastor ostrożnie.

— Jakieś oderwane fragmenty — odparła przecierając oczy. — Pamiętam na przykład, że Viljar kaszlał krwią. Tak strasznie się wtedy bałam, że mnie opuści. Miałam tylko jego, rozumiecie.

Jakby oni tego nie wiedzieli!

— Pamiętam jeszcze różne drobiazgi. Na przykład poznaję głos pastora. I pamiętam szelest nakrochmalonego fartucha pielęgniarki. Plamy słonecznego światła na sufcie w szpitalu. Zapach tej okropnej koi na statku. A kiedy teraz pastor opowiada, wspomnienia wracają.

— Wiesz — pawiedziała Malin z uśmiechem — ty sama wracasz! Mówższ teraz dużo składniej niż jeszcze pół godziny temu, kiedy weszłaś do jadalni.

Belinda uśmiechnęła się boleśnie.

— A mimo to jest coś, co mnie zamyka — szepnęła jakby sama do siebie. — Jak doszło do tego, że rozum mi się zmącił? I jak znaleźliśmy się w Danii? Nie rozumiem tego!

Wtedy pastor, najostrożniej jak umiał, opowiedział jej o zatonięciu „Emmy”. Malin wyjaśniła, że Viljar i Belinda wracali do domu z odwiedzin u Jolina, przyrodniego brata Viljara, trafili na sztorm i statek poszedł na dno, a oni znaleźli się w szalupie ratunkowej, która, dryfując po morzu, zaniosła ich do duńskich wybrzeży.

Belinda patrzyła na nich blada jak ściana. Teraz jej umysł znowu pogrąży się w zamroczeniu, myśleli przerażeni.

— Nie! Nie! — zawodziła cicho Belinda. — Nie, ja nie chcę! To się nigdy nie stało! Ja nie mogę!

Malin spostrzegła, że Belindzie zbiera się na wymioty, i szybko wyprowadziła ją do kuchni, gdzie podstawiła jej wiadro.

— No, dobrze, dobrze — szeptała uspokajająco. — Musisz to z siebie wyrzucić. Musisz.

Miała na myśli, oczywiście, te bolesne przeżycia, których pamięć trwała w udręczonej duszy Belindy.

Zabawiły w kuchni dość długo, w końcu Belinda doszła do siebie, ogarnęła się i mogła wracać do jadalni. Chłopcy siedzieli zaciekawieni i zdumiewająco dobrze wychowani. Malin pogładziła ich po głowach.

Kiedy znowu usiadły przy stole, powiedziała do Belindy:

— Myślę, że byłoby najlepiej, gdybyś nam wszystko opowiedziała, niezależnie od tego, jakie to bolesne. Bo jest jeszcze coś więcej, prawda? Rozumiem, oczywiście, że to musiała być straszna udręka, tak dryfować po morzu i czekać na śmierć w lodowatych falach. Ale czuję, że było coś jeszcze, o czym za wszelką cenę chcesz zapomnieć, czyż nie?

— Tak. Och, ta podróż była przerażająca. Nie macie pojęcia, co to znaczy siedzieć w takiej malutkiej łódeczce...

— Możemy się tylko domyślać — westchnął pastor. — Żeby wiedzieć, człowiek musi coś takiego przeżyć.

— Tak. — Zamyśliła się na moment i zadrżała, jakby jej się nagle zrobiło bardzo zimno. — Nie, nie mogę tego opowiedzieć! To zbyt straszne!

— Musisz, Belindo! To nie o to chodzi, że my chcemy wiedzieć. Moglibyśmy przecież zapytać Viljara, ale tobie by to nie pomogło. To ty musisz podzielić się tym strasznym wspomnieniem z innymi. Tylko to przyniesie ci ulgę.

— Ale ja... — Milczała długo. A potem powiedziała, głęboko wstrząśnięta: — Tak. Tak będzie najlepiej.

Malin stwierdziła, że Belinda znalazła się już na właśctwej drodze. Będzie zdrowa. Jeśli tylko zmusi się, by opowiedzieć.

Powoli, jakby musiała walczyć ze sobą o każde słowo, Belinda zaczęła mówić:

— Było... nas sześcioro w łodzi na początku. Dryfowaliśmy długo, bardzo długo i zmarzliśmy nieludzko. Nie mieliśmy też nic do jedzenia. Na szczęście po kilku dniach morze się uspokoiło. Ja... byłam coraz bardziej otępiała, zdawałam sobie z tego sprawę. Jedyne, co miało dla mnie znaczenie na tym świecie, to głód, lodowate zimno i bliskość Viljara. Myślałam też o tym, że trzeba zawiadomić Henninga, że żyjemy. Choć przecież w każdej chwili mogliśmy stracić życie.

Głos jej zamarł i milczała, zamyślona. Pogrążona we wspomnieniach, które nie sprawiały jej radości, widzieli to. Nieustannie ocierała łzy.

Czekali. Ulvar zaczął się wiercić. Malin położyła mu rękę na ramieniu. Ugryzł ją, ale potem siedział już spokojnie.

Belinda podjęła przerwaną opowieść. Była skupiona, twarz jej stężała z przerażenia.

— Pewnego ranka jeden z ludzi w szalupie umarł. Viljar chciał wyrzucić zwłoki do morza, ale inny z rozbitków stanowczo zaprotestował. Powiedział, że musimy dowieźć zmarłego do domu. A potem... — Umilkła znowu, widać było, że toczy ze sobą trudną walkę. A potem ja się w którymś momencie obudziłam. My z Viljarem spaliśmy i czuwaliśmy na zmiany, ale wtedy zasnęliśmy oboje. Ja się obudziłam i...

Belinda głośno przełykała ślinę. Ręce drżały jej gwałtownie. Ale opanowała się.

— Wszyscy spali. Oprócz tego mężczyzny, który nie pozwolił wyrzucić zwłok do morza. Siedział teraz... odkrawał... odkrawał nożem... kawałki... i...

— Dziękujemy — powiedziała Malin. — Nie musisz mówić dalej. Rozumiemy.

— O mój Boże — szepnął pastor. — To przecież niemożliwe!

— Co my możemy wiedzieć na temat skrajnego głodu? — rzekła Malin zielona na twarzy. — I co było potem, Belindo?

— Zaczęłam krzyczeć — powiedziała drżącym głosem. — Wszyscy się pobudzili. Krzyczeli i krzyczeli. Ukryłam twarz na piersi Viljara, Viljar nie brał w tym udziału, musicie mi wierzyć, ale kiedy się ocknęłam, zobaczyłam, że jeden z tych ludzi trzyma w ręce nóż, a tamtych... to znaczy zmarłego... i tego, co... no wiecie, nie ma w łodzi. Wyrzucili ich do morza. A na nożu... zobaczyłam krew. Ten co go trzymał... rzucił go daleko... w morze, ta druga kobieta, bo byłyśmy w łodzi dwie, krzyczała histerycznie, a ja czułam, że tracę przytomność.

— A Viljar? Jak on to zniósł?

— Ostatnie, co widziałam, to że Viljar płacze. A przecież Viljar prawie nigdy tego nie robi. Obejmował mnie coraz mocniej, ale już więcej nic nie pamiętam. I to chyba właśnie wtedy wszystko wokół mnie stało się dziwne i niezrozumiałe. — Roześmiała się histerycznie. — Nie, powinnam spojrzeć prawdzie w oczy. To nie wokół mnie wszystko zrobiło się dziwne. To było we mnie. Milczeli długo. Z oczu Belindy niepnerwanie płynęły łzy.

— Lżej ci teraz? — zapytała Malin.

Belinda wyprostowała się.

— Chyba tak. Ale nigdy tego nie zapomnę.

— Wiemy o tym. Myślę zresztą, że my też nigdy nie zapomnimy tego, co nam opowiedziałaś. A co dopiero ktoś, kto przeżył! Nic dziwnego, że wolałaś żyć w świecie, który nie istnieye!

Malin była wdzięczna losowi, że dzieci nie rozumiały, o co w tym wszystkim chodzi. Zresztą Ulvar zasnął z głową opartą o stół.

Belinda siedziała zamyślona.

— Myśli o Henningu też były trudne do zniesienia — powiedziała. — Nie móc do niego wrócić, nie wiedzieć, co się z nim dzieje. Tęskniłam za nim tak strasznie.

Kompensacja, pomyślał pastor. Z rozpaczy wyobraziła sobie, że chory mąż jest dzieckiem, które utraciła. To jej dziecinne gaworzenie...

Malin podniosła się.

— Chyba powinnam położyć dzieci — powiedziała. — A biedny Henning śpi w nogach łóżka Viljara. Belindo, czy możesz dzisiejszej nocy spać w tym pokoju, w którym spałaś po południu?

Belinda podniosła się także.

— Ja... Tak bym chciała być z Viljarem. I z Henningiem.

Wahali się przez chwilę, a potem Malin skinęła przyzwalająco głową.

— Przecież i tak musimy obudzić Henninga, to narobimy zamieszania. W sypialni jest podwójne łóżko. Możesz tam spać. A Henning wróci do swojego pokoju... Tylko, Belindo... Musisz wiedzieć, że Viljar jest umierający!

— Wiem o tym — szepnęła zrozpaczona. — Wiesz, ja teraz pamiętam dużo więcej. Nie bój się, nie wpadnę w histerię.

Pogładziła główkę śpiącego Ulvara.

— Taki sam jak Heike — szepnęła. — Tacy są do siebie podobni. Chociaż, jeśli mówiono, że Heike wygląda groteskowo, to i tak ten mały jest jak jego karykatura. I — dodała zamyślona — zdaje się, że nie taki dobry jak Heike.

Niestety, Malin w pełni się z nią zgadzała!

Henning leżał dokładnie tak samo jak przedtem, kiedy Malin przychodziła tu z jedzeniem.

Belinda podeszła do łóżka i patrzyła na śpiących.

— Oni są moi — powiedziała z błyszczącymi oczyma. — Są moi, kocham ich. I teraz znowu jestem silna. Oni mnie potrzebują.

— Tak. Wiemy o tym — potwierdziła Malin.

Kiedy następnego dnia Malin weszła do sypialni ze śniadaniem, z depczącym jej po piętach Henningiem i malcami jako dodatkową asystą, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu stwierdziła, że Viljar nie śpi. Belinda wsparta na łokciu okrywała kołdrą jego piersi.

— Malin — szepnął z bladym uśmiechem. — I cała procesja! Wy nas rozpieszczacie!

— Jeszcze by tego brakowało! — rzekła Malin trzeźwo. Postawiła tacę na stoliku i wszyscy zaczęli pomagać leżącym.

Viljar popatrzył na nią.

— Wiesz, dzisiaj czuję się naprawdę dobrze.

— I wyglądasz też dużo lepiej. Myślisz, że to lekarstwo ci pomogło?

— To możliwe... Ale kto to przychodził do mnie dzisiaj w nocy?

— No, był tu Henning. I Belinda.

— Nie, nie, to był ktoś inny. I w bardzo niewyszukanych słowach zażądał, żebym przestał się nad sobą roztkliwiać. Powinienem teraz okazać trochę siły woli i charakteru, krzyczał na mnie.

Malin i Belinda wymieniły spojrzenia. Brzmiało to niemal dokładnie tak samo jak słowa skierowane do Belindy.

— Och, myślę, że to jeden z naszych przodków — oświadczyła Malin pozornie swobodnym tonem.

— Nie — zaprotestował Viljar. — To była żyjąca istota. I... ja myślę, że to mi pomogło. Naprawdę czuję się teraz silniejszy.

Malin nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Widziała przecież, że Viljar dotarł do domu umierający. I choć teraz nadal był skrainie wycieńczony, to przecież nikt, kto na niego spojrzał, nie myślał o śmierci. Tlił się w nim słaby płomyk życia, który nie zamierzał gasnąć. A Belinda? Nikt by przecież nie powiedział jeszcze wczoraj, że ta nieszczęsna istota, nie mająca pojęcia, na jakim świecie żyje, kiedykolwiek wypowie choćby jedno rozsądne słowo. A teraz! Przytomna i silna, zdecydowana walczyć o swoich bliskich.

Tutaj mogło być tylko jedno wytłumaczenie: Viljar i Belinda otrzymali pomoc.

Ale skąd?

Od kogo?

To była trudna do rozwiązania zagadka.

To oczywiście fantastyczne, że Viljar i Belinda wrócili do domu. Nie mogło się stać nic lepszego, choć i tak już przepracowanej Malin przybyło jeszcze zajęć. Viljar wciąż był bardzo słaby, ale iskra życia została w nim wzniecona i dzielnie walczył o jej utrzymanie. Belinda też była okropnie wyczerpana, wybuchała płaczem, jeśli tylko cokolwiek stawiało jej opór, gdy na przykład skarpetka upadła jej na podłogę albo grzebień zaplątał się we włosy. Żadne nie było zdolne do wysiłku, zdawało się, że lada podmuch wiatru może każde z nich przewrócić. Henning i Malin musieli nieustannie uciszać chłopców i to wszystko bardzo szarpało im nerwy.

Malin zastanawiała się, czy nie powinna wyprowadzić się gdzieś z bliźniakami Sagi, ale o tym mała rodzina w Lipowej Alei nawet słyszeć nie chciała.

— Oprócz twoich rodziców w Szwecji, Malin, jesteśmy ostatnimi z Ludzi Lodu — mówił Viljar, który teraz mógł już czasem posiedzieć trochę w łóżku. — Reprezentujemy wszystkie trzy odłamy rodu i musimy trzymać się razem. Jeszcze by tego brakowało, żebyś się gdzieś tułała z dziećmi! A poza tym co my byśmy zrobili bez ciebie? Prosimy cię, zostań, jeśli możesz!

To prawda, co Viljar mówił o rodzinie. On sam należał do linii Heikego, Malin do linii Arva Gripa, a chłopcy do linu Anny Marii Olsdotter. Ojciec Viljara, Eskil, łączył w sobie krew Paladinów i Lindów z Ludzi Lodu dzięki temu, że jego ojciec, Heike, ożenił się z Vingą. Rodzina Malin stanowiła dość izolowaną gałąź Ludzi Lodu; trzeba by się cofnąć prawie do Tengela Dobrego, żeby znaleźć pokrewieństwo z resztą rodu.

Mimo to Ludzie Lodu zawsze trzymali się razem. W ciągu trzystu lat nie zerwali kontaktów, zawsze gotowi nieść pomoc krewnym w potrzebie.

Teraz jednak Malin była taka zmęczona! Podwójne obciążenie opieką nad chorymi i pracą w domu, odpowiedzialność za malców, wszystko to wyczerpało nawet jej siły.

Pewnego wieczora, kiedy siedziała na łóżku i masowała swoje obolałe stopy, wyrwało jej się westchnienie:

— Czy ja kiedyś będę miała czas pomyśleć o sobie?

Ale przecież wybrała zawód pielęgniarki. A pielęgniarce takie myśli nie przystoją.

Wybrała ten zawód i gdyby miała wybierae jeszcze raz, zrobiłaby to samo!

ROZDZIAŁ VI

Była jesień roku 1870.

Dwudziestoletni Henning rąbał na podwórzu Lipowej Alei drzewo. Wyrósł na bardzo postawnego młodzieńca o szerokich ramionach i ciepłym, przyjaznym uśmiechu, który ujawniał się głównie w oczach, jakby wypływał gdzieś z głębi życzliwej ludziom duszy.

Ojciec, Viljar, poinagał mu układać drewno na zimę. jego okaleczone ręce nie wszystko mogły robić, dzielili więc z synem prace tak, żeby wszystko było zrobione na czas.

Viljar był zdrowy. Stał się cud, mówili doktorzy. Co prawda trzeba było kilku lat, by w pełni doszedł do siebie, ale jeśli ktoś znajdzie się już niemal u kresu, to niełatwo mu się wyrwać ze szponów śmierci. Dziwne też, że nikogo nie zaraził chorobą, nawet słabowitej Belindy.

Ona zresztą znajdowała się teraz w znakomitej formie i prowadziła dom bez zarzutu. Chociaż w tym pomagała jej Malin, która wciąż u nich mieszkała...

Malin musiała zostać w Lipowej Alei. Bez jej pomocy Belinda nie dałaby sobie rady z Ulvarem. Viljar i Henning mieli swoje zajęcia w gospodarstwie, nie mogli ciągle być pod ręką. Ulvar zupełnie się z Belindą nie liczył, żywił dla niej wyłącznie pogardę. Oczywiście parskał i robił miny także do Malin i większego szacunku też dla niej nie miał. Mimo to w jakiś sposób ją akceptował. To przecież ona i Henning zajmowali się osieroconymi chłopcami od chwili ich urodzenia.

Marco był, jak zwykle, w szkole. Gdzie podziewał się Ulvar, nigdy nie wiedzieli. Dwa lata temu z drżącym sercem posyłali braci po raz pierwszy do szkoły. Kariera szkolna Ulvara skończyła się po tygodniu, po czym nauczyciel zabronił mu wstępu nawet na dziedziniec. W ciągu tego tygodnia chłopiec zdążył powyuczać dzieci brzydkich słów, nazwał nauczyciela starym alfonsem, bił się z wszystkimi chłopcami po kolei i jak popadło, skaleczył kilku uczniów nożem, poszarpał ubranie na najładniejszej dziewczynce w klasie i ukradł skarbonkę, w której zbierano pieniądze na wsparcie zamorskich misji.

Zakaz pokazywania się w szkole go uszczęśliwił.

Lata poprzedzające rozpoczęcie nauki były dla rodziny koszmarem. Nigdy nie było wiadomo, co Ulvar kiedy wymyśli, i ciągle musieli być czujni. Jedynym, kto miał jakikolwiek wpływ na Ulvara, był Marco, ale co może osiągnąć jedno małe dziecko? Musieli ustalać dyżury, nigdy nie spuszczali Ulvara z oczu, bo wtedy zdarzyć się mogło wszystko.

Teraz chłopcy mieli po dziewięć lat i rodzina przestała w jakikolwiek sposób panować nad Ulvarem, kiedy Marco był w szkole. Ulvar przepadał zaraz po śniadaniu i mogli się jedynie domyślać, że spędza większość czasu w lasach i na wzgórzach. Dopóki nie docierały do nich wiadomości na temat zniszczeń albo nieszczęśliwych wypadków, musieli mu pozwolić chodzić własnymi drogami.

Nic innego zrobić nie mogli. Pewnego razu Malin chciała go zatrzymać, próbowała się dowiedzieć, gdzie on spędza całe dnie, ale nigdy więcej już tego nie powtórzyła.

Pobiegła za nim i prosiła, żeby się zatrzymał, chciała z nim porozmawiać, prosić, by był ostrożny w tym, co robi. Szła za nim aż do skraju lasu. Ulvar jednak w najmniejszym stopniu nie przejmował się jej prośbami, szedł po prostu dalej.

Wtedy Malin wpadła w złość. Nieczęsto jej się to zdarzało, była osobą niezwgkle opanowaną, ale jego nonszalancja, niereagowanie na żadne prośby, doprowadziło ją do ostateczności. Pnecież chciała dla niego wyłącznie dobra!

Wbiegła do lasu i krzyknęła za nim:

— Wracaj natychmiast, ty przeklęty bachorze! Teraz nareszcie będzie koniec z tymi twoimi wyprawami do lasu!

I wtedy stanął przed nią wielki wilk z wyszczerzonymi zębami. To na nią groźnie warczał tym razem!

Odskoczyła, przerażona, pojęcia nie miała, co robić.

Bestia podeszła bliżej, nos marszczył się, odsłaniając coraz mocniej kły.

Nie widzieli tych okropnych wilków już od wielu lat, dlatego teraz Malin przeżyła podwójny szok. Nie można już było dłużej wmawiać sobie, że to zwyczajne wilki. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że te bestie są nierozerwalnie związane z Ulvarem.

W ostatnich latach miało miejsce kilka budzących zdumienie wydarzeń. Pewnego razu robotnik, którego wynajmowali do pomocy, padł sparaliżowany na podwórzu, a kiedy przybiegli, żeby go ratować, okazało się, że ma przy sobie różne cenne przedmioty, które ukradł w Lipowej Alei. Gdy tylko je oddał, mógł znowu wstać i opowiadał przerażony o jakimś strasznym iskrzeniu i huku oraz że to piorun powalił go na ziemię. Rzecz działa się w zimie i naprawdę trudno było uwierzyć, że to mógł być piorun.

Nad dziedzińcem zaś rozbrzmiewał ohydny, złowrogi śmiech Ulvara. Ten śmiech budził w Malin śmiertelną trwogę.

Innym razem Viljarowi przydarzyło się nieszczęście. Poszedł nad rzekę, żeby zebrać przybory rybackie, które mogła uszkodzić wiosenna powódź. Towarzyszyli mu obaj chłopcy, którzy mieli wtedy po cztery czy pięć lat. Viljar surowo im przykazał, że mają spokojnie stać na brzegu.

Nagle Viljar poślizgnął się na mokrym kamieniu i wpadł do wzburzonej wody. Wartki nurt miotał nim we wszystkie strony, tonący opił się wody i choć walczył rozpaczliwie, nie mógł znaleźć oparcia dla stóp.

Później opowiadał Malin, Belindzie i Henningowi, co wtedy przeżywał. Kiedy raz udało mu się nareszcie wystawić głowę nad powierzchnię, usłyszał ten wariacki śmiech Ulvara, który przenikał go do szpiku kości. To, co stało się potem, było niewiarygodne. Zdawało mu się, że obejmuje go i wciąga w dół jakaś niesamowita wodna istota. Lepkie łapy ściskały go za gardło i dusiły, potwór stroił okropne grymasy i śmiał się szyderczo w twarz Viljarowi, któremu ciemniało w oczach. Był pewien, że jego ostatnia godzina nadeszła, ogarniała go rozpacz, prosił Boga o pomoc, która, jak zwykle, nie nadchodziła, a to, co półprzytomny dostrzegał przed sobą, było z pewnością jedną z tych istot ze świata cieni, które Saga przepędziła z Grastensholm. A zatem zemsta...

Jednak nad paskudną istotą z zaświatów najwyraźniej panowała inna, większa siła. Poczuł, że coś go unosi z wody, nielicznymi palcami, jakie miał, chwycił się czegoś rosnącego przy brzegu, jakiejś rośliny o silnych korzeniach, jak mu się zdawało, i na wpół uduszony, trzymał się mocno. Dyszał ciężko, lecz był uratowany.

Od tej pory pozwalali Ulvarowi robić, co chce. Nie mogli postępować inaczej.

Wracał zawsze do domu razem z Markiem, którego ubóstwiał. I wtedy rodzina mogła odetchnąć. Lepszego opiekuna niż Marco dla Ulvara nie było.

Nie musieii się bać tylko jednego, że mianowicie w czasie swoich wypraw w nieznanym kierunku Ulvar będzie dręczył zwierzęta. Jak wszyscy obciążeni dziedzictwem, i jak w ogóle wszyscy Ludzie Lodu, miał znakomity kantakt ze zwierzętami. Rozumiał je.

I to była chyba jego jedyna pozytywna cecha.

Ulvar był najbardziej podobny do Kolgrima. Do tego najbardziej niepoprawnego. Ulvar także był niepoprawny. Malin zastanawiała się często, jaki tragiczny jest los obu tych chłopców. Kolgrim żył zaledwie czternaście lat i zginął nagłą śmiercią, którą ściągnęła na niego żądza posiadania skarbu, a prawdopodobnie także ingerencja Tengela Złego.

Nie życzyła Ulvarowi takiego losu. Nie chciała, żeby umarł młodo, pragnęła, by miał czas się poprawić. Czyż Ulvhedin tego nie dokonał? A przecież był co najmniej tak samo zły, jak Ulvar lub Kolgrim. Tylko że Ulvhedin miał pomocników. Villemo, Dominika i Niklasa. Troje wybranych.

Teraz wśród Ludzi Lodu nie było wybranych. Co prawda czarne anioły powiedziały Henningowi, że po odejściu Sagi on musi zająć jej miejsce jako wybrany, i rzeczywiście, miał on wyjątkowe zdolności, lecz nad Ulvarem władzy nie posiadał. Henning nie miał żółtych oczu ani zdolności nadprzyrodzonych. Dysponował jedynie niewiarygodną siłą, która pomagała mu rozwiązywać praktyczne problemy, jakich im w ostatnich czasach nie brakowało.

Ulvar pozostawał jednak poza zasięgiem jego wpływu.

Spowodował on w ostatnich czasach wiele okropnych wydarzeń, które naraziły na szwank opinię Ludzi Lodu. Tak jak wtedy, kiedy próbował podpalić willę pewnej starszej pani, która go nie lubiła. Jedynie błyskawiczna interwencja Viljara i Henninga uratowała zarówno willę, jak i dobre imię rodziny. Kiedy indziej znowu Ulvar uwięził chłopca, który się źle wyraził o jego wyglądzie. Więzień został poddany regularnym torturom, nim krewni Ulvara nie usłyszeli rozpaczliwych wrzasków i nie pobiegli z odsieczą. Ojeiec pokrzywdzonego chłopca żądał odszkodowania i Viljar musiał zapłacić, żeby uniknąć procesu sądowego.

Dobrze wiedzieli, że Ulvar sieje postrach w okolicy i że ludzie go nienawidzą. Co jakiś czas docierały do nich opinie, że należy go oddać do jakiegoś zakładu i zamknąć na zawsze.

Rodzina jednak chciała uchronić syna Sagi przed takim losem. Dlatego, wciąż z duszą na ramieniu, pilnowali go jak mogli.

Nie protestoarali więc przeciwko jego wyprawom do lasu, bo przynajmniej wtedy nikomu nie robił nic złego.

Ale czym się tam zajmował, nie wiedział nikt.

A przecież powinni byli wiedzieć. Gdyby dokładniej postudiowali kroniki rodu, zrozumieiiby natychmiast.

Viljar wyprostował się i odłożył na miejsce kilka polan.

— Idzie Marco. Co tak wcześnie dzisiaj?

— On biegnie, a nie idzie — sprostował Henning. — I wygląda na bardzo wzburzonego.

— Mój Boźe, żeby to znowu nie było coś z Ulvarem — modlił się Viljar.

Belinda i Malin wyszły z domu. Marco przystanął zdyszany, a oni otoczyli go.

Chłopiec wciąż był jak zjawisko, śliczny, o niezwykle czystych rysach. Czarne loki okalały twarz, która mogłaby się stać natchnieniem dla niejednego artysty, a w przyszłości wiele dziewcząt miało cierpieć z powodu nieodwzajemnionej miłości.

— Co się stało, Marco? — zapytał Viijar. — Chyba nie znowu coś z...

— Nie, nie, Ulvar nie ma z tym nic wspólnego — wydyszał chłopiec. — Ale ja słyszałem... słyszałem, że chcą zniszczyć stare groby na cmentarzu. Bo nie ma już miejsca dla nowych.

Wszyscy poczuli zimny dreszcz na plecach, strach zaglądał im w oczy.

— Co ty mówisz, dziecko? — szepnął Viljar.

— Ależ nie wolno nikomu tego zrobić! — krzyknęła Malin zrozpaczona.

— Zrównać z ziemią groby Ludzi Lodu, Paladinów i Meidenów? Przecież one są... święte!

— Owszem, są — rzekł Viljar z goryczą. — Ale dla nas. Wszyscy w naszym rodzie zawsze czerpali siłę z tego, że mogli pójść na cmentarz i „porozmawiać” z przodkami. To jedna z tych spraw, która pomagała nam przetrwać, utrzymać jedność rodu. Mimo upływu tylu lat nie rozpadliśmy się.

Malin zwróciła się do Marca.

— Kto wpadł na ten głupi pomysł?

Marco, ten niemal nieznośnie piękny chłopczyk, spojrzał na nią swoimi łagodnymi, szarymi oczyma.

— Nie wiem, Malin. Ale ktoś przecież musi zajmować się tym, jak tu w okolicy mają różne rzeczy wyglądać.

Viljar i Malin popatrzyli na siebie.

— Władze gminne! Tam pewnie ktoś przekłada papiery przy biurku i wydaje takie decyzje.

— A może to rada parafialna? — zapytała Belinda. — Cmentarz należy przecież do kościoła.

— Możliwe — rzekł Viljar niepewnie.

We wzroku Malin zapłonęła wola walki.

— Pójdę i porozmawiam z tymi wandalami, z tymi duchowymi pierwotniakami. Nigdy nie pozwolimy na zniszczenie cmentarza!

Ta decyzja miała odmienić całe życie Malin.

Po porośniętym lasem wzgórzu pełzała dziwaczna istota. Dziwaczne stworzenie, całkiem nagie, chodziło na czworakach. Wietrząc jak zwierzę, szło do skał otaczających sporą polankę.

Teraz było widać całkiem wyraźnie, kim naprawdę jest Ulvar: potwór, bestia w ludzkim ciele.

Wydawał z siebie jakieś pochrząkujące i mlaszczące odgłosy, jak dzika świnia poszukująca jedzenia albo jak tropiący zdobycz tygrys. Nos jego wchłaniał podniecające zapachy ziemi. Towarzyszyła temu silna erekcja, ale akurat z tego nic nie wynikało, bo miał przecież dopiero dziewięć lat. On jednak uważał, że to bardzo przyjemne uczucie. Lubił to podniecające mrowienie. Ręce niespokojnie błądziły po skalnym podłożu i rosnącej to tu, to tam trawie, ale na próżno, nigdzie niczego nie było, wszystko do czysta wysprzątane.

Zostały tylko zapachy. Zapach spermy i śmierci, i wielu innych podniecających, magicznych rzeczy.

— Tu musiało coś być — jęczał bliski szaleństwa. — To mnie dotyczy, powinienem wiedzieć, co to: To potężne miejsce. Tu jest mój prawdziwy dom!

I tak w istocie było, nie mylił się. Po prawej stronie wznosiła się skała, na której wisiała alrauna tej nocy, kiedy przerażona Vinga uciekła pod jej ochronę, goniona przez istoty ze świata zmarłych. Nie zdając sobie z tego sprawy Ulvar usiadł w środku magicznego kręgu Heikego, na niewidzialnym cmentarzu, przez który szary ludek został przywołany na świat, co miało takie katastrofalne następstwa dla Grastensholm.

Dawniej bywał też tutaj Kolgrim, a także Ulvhedin i jeden jedyny raz Ingrid, kiedy wywoływała szary ludek. Wielokrotnie bywala w tym miejscu Sol, tu oddawała się swojemu Księciu Ciemności. Nic więc dziwnego, że Ulvar, jeden z najbardziej obciążonych w rodzie, odczuwał tutaj silne wibracje.

Siedział teraz, bawił się, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, swoim ogromnym członkiem, i myślał z nienawiścią o rodzinie z Lipowcj Alei. Oni coś przed nim ukrywają, był tego pewien. Po prostu wiedział. Kiedyś ktoś mówił zbyt głośno, nie przypuszczając, że Ulvar jestw pobliżu. „Nie, nie możemy wyjąć skarbu”, usłyszał. „Ulvar za nic nie może się dowiedzieć, że skarb istnieje.” „Ale to przecież jeszcze dziecko!” „Och, ty nie wiesz, co mogą zrobić obciążeni dziedzictwem, jeśli tylko się dowiedzą o istnieniu magicznego zbioru Ludzi Lodu. Wtedy ujawniają się wszystkie ich potężne złe siły.”

Tak... Wiedział o tym. Wiedział, że nosi w sobie wielką siłę, która nie znajduje ujścia tylko dlatego, że on błądzi po omacku, że czegoś mu brak. I to musi być ten skarb!

Ulvar niewiele słyszał z historii Ludzi Lodu. Opiekunowie bardzo się pilnowali, żeby nic przy nim nie powiedzieć. Kiedyś jednak wygadała się jakaś pani, która była u nich z wizytą. Ulvar sądził, że to krewna tej głupiej Belindy. Zaczęła mówić coś bardzo interesującego, ale gospodarze natychmiast zaczęli ją niemal histerycznie uciszać.

Co ona powiedziała? Nie przestawał się nad tym zastanawiać. Jakby coś o złym przodku. Który może pojawić się na świecie, jeśli nadejdzie dla niego odpowiedni czas?

Brzmiało to tak podniecająco, że bliski był ekstazy, kiedy o tym myślał, czuł rozkoszne mrowienie w dole brzucha, ale żeby nie wiem jak się koncentrował, nic nie mógł wymyślić. Po prostu czegoś brakowało, czegoś nie wiedział, nie umiał.

Zaniechał bezowocnych prób rozwiązania zagadki i znowu zaczął obwąchiwać ziemię.

Najwyraźniej łowił jakiś zapach, czy może należałoby to określić inaczej, w każdym razie wyczuwał coś, co miało wyraźny związek ze śmiercią. Zaczął nawet podejrzewać, że ktoś tutaj umarł...

Ulvar położył się płasko na ziemi i wdychał ten zapach całą piersią.

W jego mózgu powstawała jakaś wizja. Był strasznie podniecony, niczego podobnego nigdy przedtem nie przeżył! Widział coś! Jak gdyby wewnątrz, w środku głowy!

Jakiś duży, tłusty mężczyzna... I mnóstwo drobnych, paskudnych stworów, które go biły, szarpały, rozrywały na strzępy...

Wspaniale! Radość buzowała w ciele Ulvara. Oddychał ciężko i gwałtownie. Te istoty? To musiał być ten szary ludek, który kiedyś gnieździł się w Grastensholm, chłopaki w szkole o tym opowiadali. Jaka szkoda, że już nie ma tych istot! Oni i on rozumieliby się z pewnością nawzajem, bo one były równie złe jak on, był o tym przekonany.

Ech, tyle spraw jest przed nim ukrytych! Ale Ulvar sobie...

Drgnął. Jako dziecko natury, którym niewątpliwie był, miał instynktowne wyczucie czasu i teraz właśnie zdał sobie sprawę z tego, że pora wracać do domu. Marco zaraz przyjdzie z tej idiotycznej szkoły, która rozdzieliła go z nim. Pewnego dnia Ulvar podpali ten okropny dom! To będzie wspaniały ogień! Cieszył się na samą myśl. I miał nadzieję, że nauczyciel nie zdąży opuścić budynku. Smród spalonego ciała. Cudownie!

Jeśli chodzi o zło, nic nie było w stanie ograniczyć fantazji Ulvara.

Ubrał się i jak dzikie zwierzę popędził w dół przez las.

— Czy ty naprawdę zamierzasz tam iść, Malin? — pytał Viljar. Wciąż stali na dziedzińcu i rozmawiali na temat przyniesionej przez Marca wiadomości.

— Tak. Idę tam zaraz — odparła. — Dopóki mi złość nie przejdzie. Oni nie mają prawa ruszać naszej części cmentarza. Inni ludzie w parafii mogą sobie decydować, jak chcą, ale grobów Ludzi Lodu nikt nie będzie niszczył!

Malin drgnęła. Za budynkami gospodarskimi skradała się paskudna postać.

— Witaj, Ulvarze! — zawołała. — Jak zawsze wracasz, kiedy trzeba. Naprawdę masz wyczucie czasu, nikt cię w tym nie prześcignie.

Odpowiedział na tę pochwałę grymasem.

Belinda nigdy na widok Ulvara nie mogła opanować nieprzyjemnego dreszczu. Nigdy nie przywyknie do tego dziecka!

Ulvar był niższy od brata. Wyglądał tak, jakby mu w dzieciństwie coś spadło na plecy i na zawsze przygniotło. Malin zawsze, kiedy na niego patrzyła, odczuwała współczueie, ale zdaje się, że mogła sobie tego oszczędzić. On sam był zadowolony ze swojego wyglądu, a zwłaszcza z tego, że samą swoją obecnością wprawia ludzi w śmiertelne przerażenie.

Jeśli o wygląd zewnętrzny chodzi, to Ulvar był naprawdę istotą zupełnie wyjątkową. Gdyby go porów-nywać z którymś z obciążonych dziedzictwem Ludzi Lodu, to chyba tylko z Grimarem, garbatym monstrum z Lodowej Doliny. No i może z Hanną. Albo z dziewczynką, którą urodziła Gabriella, a której Liv i Are pozwolili umrzeć, zanim zdążyła choćby raz nabrać powietrza w płuca.

Tengel Dobry, Ulvhedin, Mar, Heike także wyglądali przerażająco, ale oni nueli w sobie coś takiego, co ludzie w nich lubili, co pociągało innych. Ulvar był wyłącznie odpychający i czuł się z tym dobrze. Nie chciał być ładny, miał to w nosie. Wyglądać jak jakiś maminsynek? O, nie, wdzięczny był losowi, że wygląda jak dziecko diabła albo leśna bestia! Taki wygląd daje człowiekowi siłę!

Głowa była jakby przyklejona do ramion, groteskowo szerokich i ostrych. Z tych ramion wyrastały ręce takie długie, że zwisały aż do kolan. Nogi miał krótkie a krzywe, klatkę piersiową ogromną, osadzoną bezpośrednio na biodrach, nie było nawet śladu talii. Włosy ciemne, jakiegoś bliżej nieokreślonego koloru, coś pomiędzy brązowym, szarym, popielatoblond i czarnym, zwisały, zawsze potargane, na spoglądające ponuro oczy o złocistym, złowieszczym połysku. Nikomu nie wolno było obciąć ani uczesać tych włosów. Wystarczało, że czasami pozwalał je sobie umyć. Kości policzkowe miał Ulvar mocno wystające, kanciaste, a usta robiły się niesamowicie szerokie, jeśli chłopiec pokazywał zęby.

Z tego wszystkiego Ulvar był niezmiernie dumny. Można by nawet powiedzieć, że jest wybrańcem losu, skoro tak go cieszy to, co otrzymał.

Przyglądał się rodzinie z zainteresowaniem. Pojmował, że coś się stało. Viljar opowiedział mu, że władze chcą zrównać z ziemią groby Ludzi Lodu.

Ulvar lubił cmentarz. Widział tam rzeczy, których inni znie dostrzegali, och, on wiedział dużo wspaniałych rzeczy o zmarłych!

Przodkowie Ludzi Lodu interesowali go natomiast mniej, żadne nigdy mu się nie ukazało, nie rozmawiało z nim. Nie miał zresztą pojęcia, że tak postępowali z innymi obciążonymi. Tego typu informacje utrzymywano przed nim w najgłębszej tajemnicy. Rodzina z Lipowej Alei uważała, że najlepiej, żeby Ulvar wiedział o tych sprawach jak najmniej.

Wiele przed nim ukrywano i chyba słusznie.

Zanim zdołał sobie uświadomić, co właściwie oznacza ta nowa informacja, Malin była już w lipowej alei, w drodze do gminy.

— Chodźcie jeść, chłopcy — powiedziała Belinda. — Jedzenie czeka na głodnych mężczyzn.

Jej ukochany Viljar i syn Henning weszli z nią do domu. Dziewięcioletni bliźniacy ruszyli za nimi.

Malin wkroczyła do budynku gminy i długo krążyła po korytarzu, szukając właściwych drzwi... Tam! Drogi i mosty... Nie, to chyba niemożliwe.

Ktoś jej wreszcie pokazał, dokąd powinna iść. Znalazła się w dużej sali, gdzie kroki jej dudniły o podłogę i odbijały się echem od ścian. Po kilku pytaniach znalazła w końcu odpowiedniego urzędnika, któremu mogła przedstawić swoją sprawę.

Był to starannie ubrany młody człowiek o bardzo surowym spojrzeniu. Spoglądając na nią marszczył brwi.

— Ależ te groby są bardzo stare, panno Christersdotter. Nikt się już nimi nie interesuje!

— My mamy... — zaczęła gorączkowo. — Tam spoczywają nasi przodkowie i my...

Sama sobie przerwała. Przecież nie mogła mu powiedzieć, że wciąż utrzymują z nimi swego rodzaju łączność, w każdym razie odwiedzanie tych grobów przynosi im ulgę i wytchnienie. Zmieniła jednak ton:

— My zawsze dbaliśmy o te groby. Opiekowaliśmy się nimi z największą starannością. To część naszej historii.

— Tak. Wiemy, że Ludzie Lodu byli kiedyś najpotężniejszym rodem w parafii — rzekł urzędnik powściągliwie. — Ale teraz przyszły inne czasy.

— Ach, tak? — zawołała Malin wojowniczo.

Młody człowiek był zbyt surowy, by wyglądać pociągająco. Gdyby się jednak uśmiechnął, z pewnością mógłby być sympatyczny. Unędniczy charakter pracy wywierał na nim widoczne piętno, najwytaźniej wciąż bardzo uważał, by nie narazić na szwank swojej powagi i godności.

— Jak pani pewnie zauważyła, w ostatnim czasie bardzo u nas wzrosło zaludnienie, można nawet mówić o eksplozji, a to musi mieć następstwa, również dla cmentarza.

— Cmentarz można by rozbudować.

— W którym kierunku? Jak pani wie, rzeka zamyka cmentarz z dwóch stron, dalej są skały, a z jednej strony pola.

— Pola...

— To bardzo dobra, urodzajna ziemia. Zresztą gospodarz nie chce się jej pozbyć.

Malin zacisnęła zęby. Zastanawiała się przez chwilę, a potem oświadczyła:

— Nic na to nie poradzę. Jeśli gmina nie zmieni zdania, zwrócimy się do wyższej instancji.

Nie miała pojęcia, jaka by to miała być instancja. Ale groźba chyba podziałała, bo w oczach urzędnika pojawił się wyraz, który zdawał się mówić: „A cóż to za uparta baba!” Wstał zza biurka i powiedział:

— Proszę ze mną!

Ponieważ Malin zachowała jeszcze trochę ze swego początkowego oburzenia, poszła za urzędnikiem do innego pokoju, o jeszcze bardziej godnym wyglądzie. Siedział tam wysoki pan, którego tytułu nie znała, ale to specjalnie jej to nie interesowało.

Jej młody przewodnik przedstawił półgłosem sprawę, z którą przyszła. Wysoki urzędnik spojrzał na nią spod krzaczastych brwi. Malin przyszło nieoczekiwanie do głowy, że pan ów musi mieć ciężkie życie w domu z małżonką i leczy swoje urazy w biurze, walcząc niemal desperacko o zachowanie autorytetu. Była pewna, że zażywa lekarstwa przeciwko zgadze.

— Zdaje mi się, że mój plan renowacji cmentarza nie powinien budzić niczyich zastrzeżeń — oświadczył sarkastycznie. — Z największym pietyzmem potraktowaliśmy wszystkie nowsze groby, nikt ich nie zamierza ruszyć, ograniczyliśmy się do likwidacji jedynie najstarszych. Tu obecny młody pan Volden sporządził nowy plan zgodnie z moimi instrukcjami.

Młody Volden skinął jej głową z wyrazem triumfu.

Malin jednak nie ustępowała.

— Ale czy panowie nie zdają sobie sprawy z tego, że ten plan nie może być zrealizowany? Parafia Grastensholm — tak, ja najchętniej używam starej nazwy — nie jest już wsią. To się zrobiła osada o zwartej zabudowie. To gmina zezwoliła na taką rozbudowę i teraz już nikt tego nie powstrzyma, domów wciąż będzie przybywać. Wkrótce i tak trzeba będzie powiększyć cmentarz. A wtedy ofiara naszego rodu, poświęcenie grobów Ludzi Lodu, będzie całkowicie niepotrzebna.

Twarz autorytetu zrobiła się jeszcze bardziej surowa. Tej miny jego małżonka z pewnością nigdy nie widywała.

Uff, skąd się Maiin bierze ta wizja żony — sekutnicy?

Urzędnikowi najwyraźniej nie podobała się krytyka jego życiowego dzieła, jakiego zamierzał dokonać w tej gminie, ale postanowił nie dyskutować na temat zabudowy, a skupić się jedynie na sprawie cmentarza.

— Czy pan Volden nie wyjaśnił pani, że nie ma możliwości poszerzenia?

Volden kiwał stanowczo głową.

Malin eksplodowała:

— Rany boskie, jest na pewno mnóstwo innych możliwości! Dlaczego nie założyć nowego cmentarza dalej od kociaoła, na terenie leśnym?

— Tak daleko od kościoła? — rzekł wyniosły urzędnik. — To niemożliwe.

— Jeszcze zobaczymy! — prychnęła Malin.

Surowy pan zastosował najgorszą taktykę, jaką posłużyć się może osoba urzędowa wobec interesanta. Wrócił mianowicie do swojej przerwanej jej wejściem pracy papierkowej, zaczął przekładać jakieś dokumenty na biurku, zwracając się jednocześnie do Voldena:

— Jeśli papiery dla dystryktu są gotowe, to proszę mi je przynieść.

— Tak jest, panie Johnsen.

Volden dał znak Malin, że audiencja skończona i że powinna wraz z nim opuścić gabinet. Malin jednak nie mogła powstrzymać się od złośliwości pod adresem Wielkiego:

— Małżonka była bardzo wściekła dziś rano?

Spojrzał na nią ze złością, lecz Malin nie uznała za stosowne niczego wyjaśniać. Nie była tylko pewna, czy gwałtowny rumieniec na twarzy pana urzędnika był wynikiem gniewu skierowanego przeciwko niej, czy raczej doznanego upokorzenia.

Ostatnie, co zobaczyła, to że pan Johnsen wyjmuje z biurka butelkę z lekarstwem przeciwko zgadze.

Młody Volden był głęboko oburzony, czemu dał wyraz, gdy znaleźli się w hallu.

— Panno Christersdotter. Zachowała się pani bardzo...

— Chciałabym zobaczyć ten plan, który pan sporządził. I proszę nie zaciskać warg w ten sposób. Bardza panu z tym nie do twarzy. A jeśli pan nie przestanie, to niedługo będzie pan wyglądał tak samo jak ten pański Johnsen.

Zdawało jej się przez sekundę, że ta myśl go przeraziła. Poza tym Volden się bał, że inni urzędnicy usłyszą, co Malin mówi.

— Ja tego planu nie mam — bąknął pod nosem.

Malin przyglądała mu się z przechyloną na bok głową.

— Pan naprawdę mógłby wyglądać interesująco — rzekła krytycznie. — Ale skupiona mina urzędnika pasowałaby raczej starej pannie, a pan przecież nie zamierza zostać nikim takim, prawda?

Nad głową młodego utzędnika pojawiła się gradowa chmura. Malin nie miała w zwyczaju obrażać ludzi, ale pogardliwe potraktowanie jej przez obu gminnych funkcjonariuszy sprawiło, że przestała liczyć się ze słowami.

Miała już dwadzieścia osiem lat i uważała, że ma prawo wygamąć takiemu zarozumiałemu smarkaczowi jak Volden, co o nim myśli. No, może niekoniecznie smarkaczowi... Musiał się i on zbliżać do trzydziestki, ale już teraz zachowywał się jak skostniały znawca paragrafów, dla którego nic poza tym się nie liczy.

— W porządku, skoro pan nie ma tych planów, to proszę mi pokazać na miejscu, co panowie postanowili z tym cmentarzem zrobić.

— Mamy iść na cmentarz? — zapytał przestraszony.

— Oczywiście, a gdzieżby? O ile się orientuję, to pański dzień pracy już się skończył. Może pan w drodze do domu wstąpić ze mną na cmentarz. Małżonka zaczeka ten kwadrans z obiadem.

— Ja nie mam małżonki — odparł przez zęby. — I nie zamierzam wysłuchiwać pani impertynencji.

Malin odwróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom.

— W porządku, w takim razie zwrócimy się do znajomego sędziego Sądu Naywyższego, który zazwyczaj pomaga nam w różnych kłopotach prawnych.

Było to jawne kłamstwo, bo w tych czasach Ludzie Lodu nie mieli żadnych ustosunkowanych przyjaciół.

Ale jej słowa zrobiły wrażenie.

— Dobrze, mogę pani pokazać ten cmentarz — syknął ze złością. — Tylko po to, by panią przekonać, że innego wyjścia nie ma.

— Wspaniale — powiedziała Malin.

I nie domyślała się nawet, do czego to wszystko doprowadzi.

ROZDZIAŁ VII

Odległość od siedziby gminy do cmentarza nie była duża, ale napięcie, jakie między idącymi panowało, dało im się we znaki.

Słów padło niewiele.

Prawdę powiedziawszy, nikt się nie odezwał.

Malin unikała patrzenia na Voldena. Skonstatowała jedynie, że jest wysoki i dość dobrze ubrany, choć niezbyt kosztownie. Ale urzędnik państwowy czy gminny nie jest na ogół człowiekiem szczególnie dobrze sytuowanym. Kurczowo ściskał rękawiczki w szczupłej i bardzo ładnej ręce i wyciągał nogi tak, że Malin robiła trzy kroki, gdy on stawiał tylko jeden. Niezbyt to uprzejme z jego strony, trzeba powiedzieć.

Volden był wzburzony i z trudem znosił towarzystwo tej upartej istoty, która tak bez ceregieli wtargnęła do urzędu. Jego piękny plan zmian na cmentarzu! No, plan był co prawda Johnsena, ale to Volden go tak pięknie wyrysował! Zawsze sporządzał bardzo ładne i staranne plany, przełożeni chwalili go za to.

Żeby się tak upierać przy zachowaniu jakichś prastarych grobów! Sentymentalny nonsens!

Mimo wszystko tłukła mu się po głowie nieprzyjemna myśl o ochronie zabytków kultury. Ale jakie znaczenie kulturowe mogą mieć jakieś stare groby na wiejskim cmentarzu? Chyba tylko dla najbliższej rodziny!

Cóż za głupstwa!

Spoglądał spod oka na idącą obok niego młodą kobietę. Nic szczególnego, takie osoby zapomina się zaraz, gdy tylko przestaje się na nie patrzeć. Była jednak niezwykle starannie i ładnie ubrana, prosto, ale ze smakiem. Zwrócił na to uwagę zaraz, gdy tylko weszła do urzędu. Ludzi Lodu znał tylko ze słyszenia. Podobno mają zupełnie wyjątkową historię, tak przynajmniej mówi się w okolicy, ale on nigdy nie próbował się dowiedzieć, na czym wyjątkowość ta miałaby polegać. Teraz mieszkają w Lipowej Alei, trzymają się na uboczu i bardzo rzadko spotykają z innymi ludźmi w parafii. Być może ze względu na dziecko, jakie się tam wychowuje, upośledzonego chłopca, którego prawdopodobnie należałaby oddać do zakładu zamkniętego, bo jest niebezpieczny dla otoczenia. Oni jednak ręczyli za niego, zobowiązali się dbać o malca tak, żeby nic się nie stało.

Volden słyszał jakieś opowieści o skandalicznym zachowaniu chłopca w szkole, do której parę lat temu chodził podobno przez tydzień. Od kiedy przestał szkołę odwiedzać, nie było już na niego skarg. Może trzymali go pod kluczem?

Pospieszne spojrzenie na pannę Christersdotter powiedziało mu, że w tym przypadku podobna ewentualność nie wchodzi w rachubę.

Słyszał, że ona jest pielęgniarką. Tak, to by się mogło zgadzać. Zwłaszcza jeśli chodzi o jej wygląd, jak i opiekę nad chłopcem. Zresztą nie bardzo miał pojęcie, jak powinna wyglądać pielęgniarka.

Tymczasem doszli do cmentarnego parkanu i Volden otworzył furtkę przed swoją towarzyszką.

Nie zdając sobie z tego sprawy, zwolnili kroku. Miejsce wymagało szacunku, święte miejsce.

— No więc? — zapytała Malin i były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała otl chwili, gdy wyszli z budynku gminy. — Gdzie zamierzacie poszaleć najbardziej?

Czy ona naprawdę musi go nieustannie drażnić?

Ale przecież powinien umieć się odciąć!

Nie odpowiedział na jej pytanie. W każdym razie nie zaraz, bo jeszcze nie doszli do celu.

Pożółkłe liście sypały im się pod stopy. Właściwie to jesień jest piękną porą roku. Zwłaszcza na starym cmentarzu, takim jak ten, otoczonym drzewami liściastymi, których nazw nie unuałby nawet wymienić. Ale jego zawód niewiele ma wspólnego z drzewami, po co więc miałby znać ich nazwy?

Malin drgnęła. Kątem oka spostrzegła nieduży cień ukrywający się za wysokimi nagrobkami, przeskakujący z miejsca na miejsce, w miarę jak ona i pan Volden posuwali się do najstarszej części cmentarza.

Starała się prowadzić swojego towarzysza w drugą stronę i zaczęła mu gorączkowo opowiadać:

— Kościół pochodzi z trzynastego wieku. Można to poznać po...

— To zdaje się nie kościół nas powinien interesować — przerwał jej niegrzecznie.

Malin bała się śmiertelnie, czy Ulvar nie wymyśli czegoś okropnego. Ale najgorsze, co mogła zrobić, to krzyknąć na niego. Nigdy by jej nie wybaczył, gdyby mu dowiodła, że go odkryła. Nie miał zupełnie poczucia humoru na własny temat. Na dodatek nie wiadomo, jakby się sprawy potoczyły, gdyby pan Volden to zobaczył.

Ulvar był zdolny do wszystkiego.

Volden przystanął.

— Zamierzamy zlikwidować te groby — powiedział wskazując ręką kwatery Ludzi Lodu.

— Tak właśnie myślałam — westchnęła Malin. — Ale nic z tego nie będzie.

— Czy mogłaby pani podać mi przynajmniej jeden powód, który nie ma wyłącznie emocjonalnego charakteru, a który by przemawiał za tym, że nie powinniśmy zrównać tych grobów z ziemią?

— Mogę przytoczyć wiele. Zacznijmy choćby od znajdującego się przy kościele grobowca Meidenów!

— On pozostanie nietknięty!

— Tak, ale historia od niego się właśIue zaczyna. Czy ma pan właściwy klucz?

— Mam wszystkie klucze od cmentarza.

Ruszył szybkim krokiem w kierunku wzniesionego na kształt kaplicy grobowca. Volden chyba zbyt wyraźnie demonstrował swoje niezadowołenie.

Zardzewiały zamek zgrzytnął przenikliwie, gdy urzędnik przekręcił w nim klucz. Malin nie miała odwagi się odwrócić, żeby zobaczyć, czy Ulvar stoi w pobliżu. Ale z pewnością stał.

To jakby ochrona dla Voidena, pomyślała mimo woli, gdy wchodzili do środka.

— Tu spoczywają Meidenowie — powiedziała cicho. — Meidenowie byli wlaścicielami Grastensholm, zanim my się tutaj sprowadziliśmy.

Drzwi były otwarte, żeby do wewnątrz mogło wpadać światło, i Malin zobaczyła, że Volden niechętnie kiwa głową.

Pokazała mu ciężką trumnę z żelaznymi okuciami i nazwiskiem na wieku. Była to bardzo, bardzo stara trumna, co można było stwierdzić nawet przy tym marnym świetle.

— Tutaj spoczywa stara batonowa Meiden, która podarowała Lipową Aleję naszemu przodkowi, Tengelowi Dobremu. Miało to miejsce w roku tysiąc pięćset osiemdziesiątyrn szóstym, panie Volden. Od tego rozpoczyna się historia Ludzi Lodu w parafii Grastensholm.

Młody urzędnik nie odpowiadał. Sprawiał wrażenie zniecierpliwionego i niezbyt zainteresowanego jej opowiadaniem. Chyba żałował, że pozwolił się wciągnąć w to ze wszech miar wątpliwe przedsięwzięcie.

— A tutaj leży kolejna ważna osoba — mówiła dalej Malin już przy innej trumnie. — Char1otta Meiden. Silje, która później została żoną Tengela Dobrego, zajęła się Dagiem, synkiem Charlotty, którego ta wyniosła do lasu i zostawiła, by umarł.

— Cóż za barbarzyństwo!

— Takie były wtedy czasy, panie Volden. Los niezamężnej matki był nie do pozazdroszczenia. Ale właśnie w dowód wdzięczności za uratowanie dziecka Meidenowie dali nam Lipową Aleję.

— Ale państwo byli przecież także właścicielami Grastensholm — wtrącił niemal agresywnie.

— Tak, byliśmy. Dlatego, że syn Charlotty Meiden poślubił Liv, córkę Tengela i Silje. Oni spoczywają tutaj — powiedziała i poszła w głąb mrocznej niszy.

Jakiś mały kamyk wpadł do środka z cmentarza Volden odwrócił się, ale niczego nie zauważył.

Malin jednak nie miała wątpliwości, że na zewnątrz skrada się Ulvar, z pewnością nadstawia uszu, żeby słyszeć, o czym oni tu rozmawiają. Malin musi bardzo uważać na to, co mówi. I musi uważać, żeby Volden nie przedstawił się jako ich wróg, zwłaszcza że to akurat prawda. Nigdy nie wiadomo, jak Ulvar zareaguje.

Mimo woli zaczęła się sama delikatniej odnosić, do Voldena.

— Tutaj na tabliczce jest nazwisko Jacob Skille — po wiedział Volden. — Kim on był i co tutaj robi?

Malin ukryła uśmiech.

— To był mąż Charlotty Meiden. Wyszła za niego pod koniec życia. To Sol zwabiła go do Grastensholm, ale już go nie chciała. Ja myślę, że Charlotta nigdy się nie domyślała, że Sol i Jacoba coś łączyło. W każdym razie taką mam nadzieję.

— Tarald Meiden — czytał Volden.

— Syn Liv i Daga. Najsłabsze ogniwo Ludzi Lodu. To znaczy jeśli nie liczyć obciążonych dziedzictwem. Oni nie są winni temu, że przypadł im właśnie taki los, a poza tym często są to bardzo silne osobowości.

Ciekawe, czy Ulvar to słyszy? On wie, że należy do obciążonych, ale o ich cechach wiele mu nie powiedzieli.

Mówiła dalej jakby nigdy nic:

— Tarald był człowiekiem bardzo słabym. Jego największym osiągnięciem życiowym było to, że żona Irja urodziła mu wspaniałego syna Mattiasa. Miał zresztą jeszcze jednego syna... Kolgrima, ale jego tu nie ma.

— Ach, tak?

— Kolgrim spoczywa w Trondelag, w Dolinie Ludzi Lodu. Kolgrim był jednym z naprawdę przeklętych.

Tę informację Volden pozostawił bez komentarza.

— A tu, jak widzę, mamy Irję Meiden, matkę Mattiasa...

— Tak, to wspaniała kobieta bardzo prostego pochodzenia. Z Eikeby.

— A Sunniva Meiden? Kto to taki?

— Córka Sol. Pierwsza żona Taralda, matka Kolgrima. Zmarła przy jego urodzeniu, podobnie jak wiele innych nieszczęsnych matek, które wydały na świat dzieci obciążone dziedzictwem Ludzi Lodu. Kolgrim przez całe swoje czternastoletnie życie był nieszczęściem dla rodziny.

Volden nie odpowiedział.

— A tu leży Mattias — powiedział, wskazując kolejną trumnę.

— Mattias był lekarzem. I miał takie wspaniałe oczy, w których odbijało się całe dobro świata. Tutaj spoczywa jego żona, Hilda. Córka miejscowego hycla.

— Dosyć mieszane towarzystwo, muszę powiedzieć.

— Hilda była niezwykłą osobą i bardzo dobrą żoną. Wraz z Mattiasem wymarł ród Meidenów, bo on i Hilda mieli tylko jedną córkę, Irmelin. Wyszła za mąż za innego z naszych przodków, Niklasa.

Wyszli na zewnątrz, odetchnęli czystym jesiennym powietrzem. Malin postarała się, żeby iść przodem, i zdążyła dostrzec pokraczną sylwetkę Ulvara, kryjącą się za narożnikiem kościoła.

— A cóż to za pompatyczne groby? — zapytał Volden kierując się do najbliżej położonych grobowców.

— Tu leżą Paladinowie — wyjaśniła Malin. — Margrabiowie, książęcego rodu. Większość członków tego rodu spoczywa w Danii. Tutaj najstarszy jest grób Cecylii. To siostra Taralda, obdarzona była niezwykle silnyn charakterem, można powiedzieć, że była równie silna jak brat słaby. Poślubiła Alexandra Paladina.

— A więc to w ten sposób państwo weszli w koligację z tym znakomitym rodem?

Malin była teraz napięta.

— Paladinowie byli rzeczywiście znakomitym rodem i mam tu na myśli przymioty ich serc i umysłów, a nie ich wysokie pochodzenie.

Volden nie lubił być tak bez ogródek osadzany w miejscu.

— A ten tutaj? Kim był Tristan Paladin?

— To nieszczęsny wnuk Cecylii. Dopiero tutaj, w tej parafii, odnalazł swoje szczęście. Był bratem mojej praprababki, Leny.

Volden spojrzał na nią z ukosa.

— To pani ma w sobie książęcą krew?

Malin roześmiała się głośno.

— Nie, moja książęca krew musiałaby być bardzo rozwodniona! Zmieszana z krwią panny kuchennej, kaprala i Bóg wie kogo jeszcze.

Poszli dalej.

— Ulvhedin Paladin z Ludzi Lodu...

— Oj, oj — westchnęła Malin. — To był bardzo skomplikowany człowiek!

— Małżonka Elisa Larsdatter. O, mezalians, jak widzę.

— W żadnym razie. Ulvhedin był obciążony. To Elisa sprawiła, że górę wzięła w nim jego ludzka natura. No, może nie ona sama, ale mimo wszystko!

Minęli groby kilkorga innych Paladinów i Malin ostrożnie, ale konsekwentnie prowadziła go w stronę bardzo starego kamienia nagrobnego.

Napis na kamieniu musiał być niedawno odnowiony. Volden czytał z łatwością:

— „Tengel Dobry z Ludzi Lodu. Urodzony w roku 1548. Zmarł w 1621. Małżonka Silje...” Aha, to tu leżą ci, o których pani wspominała.

— Tak. To jest samo jądro Ludzi Lodu — rzekła Malin. — Nasi przodkowie ochraniają swoich potomków, a najpierwszym z opiekunów jest właśnie Tengel Dobry.

Volden patrzył na nią tak, jakby uważał, że rozum jej się pomieszał. Malin zdawała się tego nie zauważać. Wskazała napis u dołu kamienia.

On odczytał w milczeniu, a potem skomentował:

— To tutaj leży owa Sol, o której pani tyle razy wspominała. Kim ona była?

— Bardzo ważną postacią w historii Ludzi Lodu... Miała zostać stracona przez ludzi króla. Została skazana na śmierć za czary. Chyba sprawiedliwie.

Volden patrzył na Malin.

— Miała zostać stracona, mówi pani?

— Tak, ale Ludzie Lodu sami ją zgładzili. Żeby uniknęła tortur i cietpienia z powodu nietolerancji...

— Ona również pochodziła z Ludzi Lodu?

— Była siostrzenicą Tengela. I przybraną córką.

— A zatem Tengel i Silje wychowali troje dzieci?

— Czworo. Tutaj leży czwarte. Ich rodzony syn, Are. Odziedziczył Lipową Aleję. To był bardzo dobry człowiek. Stał obiema nogami mocno na ziemi.

— Małżonka Meta.

— Córka wiejskiej ladacznicy.

— Boże, odpuść — mruknął Volden.

— Ludzie Lodu zawsze opiekowali się biednymi i opuszczonymi. Tutaj zostali pogrzebani dwaj z ich trzech synów. Trzeci poległ w czasie wojny trzydziestoletniej.

Volden poczuł zawrót głowy, słuchając opowieści z tak odległych czasów.

— Tarjei Lind z Ludzi Lodu — czytał.

— Tak. On był przeznaczony do wielkich rzeczy. większych, niż jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. To on miał podjąć walkę z Tengelem Złym. Lecz Kolgrim, narzędzie Złego, zabił go, zanim jego siła zdążyła się ujawnić.

— Zaraz, chwileczkę — zaprotestował Volden. — To wszystko zaczyna być zanadto skomplikowane. Kim był Tengel Zły?

Malin położyła palec na wargach.

— Nie tutaj — powiedziała pospiesznie, przestraszona, że Ulvar może to usłyszeć. — Nie na poświęconej ziemi — dodała wyjaśniająco.

Volden patrzył na nią zdezorientowany, lecz odwrócił się i rzekł:

— Tutaj mamy jeszcze jeden nagrobek, tuż obokTarjeja.

— To jego syn, Mikael. Na tym się zresztą tutaj kończy ta linia rodu, bo syn Mikaela, Dominik, wyprowadził się do Szwecji.

Poszli dalej, odczytywali napisy na grobach rodziny Lindów z Ludzi Lodu, aż doszli do wysokiego i bardzo pięknego nagrobka.

— Ten wygląda na stosunkowo nowy — powiedział Volden.

— Owszem — potwierdziła nieoczekiwanie wzburzona. — A jeśli ten grób zniszczycie, to nigdy wam tego nie darujemy! Nigdy!

Volden odczytał:

— „Heike Lind z Ludzi Lodu...” Tak, o nim to ja słyszałem! Czy on też nie był nieco... specjalny?

— O, można tak powiedzieć. On był jednym z największych wśród Ludzi Lodu. To jeden z tych, którym się naprawdę udało pokonać to, czym obciążyło ich przekleństwo. Nigdy nie przestaniemy mu dziękować za walkę, którą prowadził.

— Ale ja słyszałem jakąś okropną plotkę. Że mianowicie sprowadził na świat różne duchy i upiory, które później opanowały Grastensholm.

Uśmiechnął się krzywo, kiedy to mówił, jakby chciał podkreślić, że on sam zachowuje dystans wobec tego rodzaju bajek.

Ale Malin potwierdziła jego słowa skinieniem głowy i powiedziała:

— Tak, to prawda. Heike i jego ukochana Vinga sprowadzili na świat szary ludek, bo po prostu inaczej nie byli w stanie odzyskać Grastensholm. Gorzko tego potem żałowali. Szare stwory nie chciały opuścić Grastensholm, dopóki nie przyjechała tutaj Saga i nie przepędziła upiorów. Ale oznaczało to też koniec dla samego dworu. Nawiasem mówiąc Saga była matką naszych bliźniaków.

— Była, mówi pani?

— Tak. Saga urodziła obciążone dziecko. A kobiety, które rodzą takie dzieci, muszą to prawie zawsze przypłacić życiem.

Wiedziała, że Ulvar słyszy jej słowa. Ale nie sądziła, że to akurat jest specjalnie niebezpieczne. Istnienie skarbu i magiczne zdolności, to trzeba utrzymać w tajemnicy, o tym nie wolno jej wspomnieć.

Ach, jak niewiele Malin wiedziała o Ulvarze! Pojęcia nie miała o podejmowanych przez niego w lesie próbach odgadnięcia, co w nim jest szczególnego. Od czasu do czasu udawała mu się przez przypadek jakaś magiczna sztuczka, choć nie zdawał sobie sprawy, skąd mu się to bierze ani jak zdołał tego dokonać. Od czasu do czasu widywał też istoty niewidoczne dla innych albo wiedział o czymś, o czym nikt mu nie mówił. Nie potrafił jednak w żaden sposób uporządkować ani skoordynować tych obcych i przerażających zjawisk. I właśnie dlatego był podwójnie niebezpieczny! Uczeń czarnoksiężnika, który nie panuje nad swoją sztuką, może być śmiertelnie niebezpieczny dla innych.

Bardzo wielu rzeczy rodzina o Ulvarze nie wiedziała. A on nie zamierzał im niczego tłumaczyć!

Volden i Malin poszli wolno do bramy.

— Kogoś tu jednak brakuje — mruknęła Malin sama do siebie, ale on to usłyszał.

— Tak? A kogo?

Malin drgnęła.

— Nie, nic.

— Chciałbym wiedzieć, mimo wszystko!

Odpowiedziała jakby wbrew sobie:

— Ona miała na imię Tula. Zaginęła.

— Zaginęła? W jaki sposób?

— Nikt tego nie wie. Weszła do domu w Grastensholm i przepadła na zawsze. Minęło od tamtej pory już dwadzieścia dwa lata, a nikt nigdy nie natrafił na najmniejszy ślad po niej.

Powinna była jeszcze dodać: „I cztery demony zniknęły razem z nią”, ale tego nie zrobiła. Volden usłyszał już wszystko, co mógł znieść jednego dnia.

Po drugiej stronie parkanu zatrzymał się powóz. Wysiadł z niego przełożony Voldena, pan Johnsen. Spotkali się przy bramie.

— O, państwo tutaj — wymamrotał. — Strasznie dużo czasu wam to zabrało! Ale czy pan ją chociaż przekonał?

Volden odwrócił głowę i spojrzał na cmentarz. Malin zdążyła zauważyć, że Ulvar kryje się pod osłoną muru.

— Nie wiem — rzekł Volden z wolna. — Mam wrażenie, że nauczyłem się trochę szacunku dla tego, co nam zostało z dawnych czasów.

— Co takiego? Szacunek? Do czego? Co szacunek dla przeszłości ma wspólnego z tym tutaj?

— Bardzo wiele — odparł Volden, a Malin odczuła radość. Mogłaby uściskać tego młodego urzędnika. On zaś mówił dalej: — Uważam, że powinniśmy dokładniej rozważyć sprawę założenia nowego cmentarza na terenach leśnych.

Johnsen gapił się na niego spod groźnie ściągniętych brwi.

— Cmentarz na leśnych terenach? — warknął. — Tyle zachodu! Niepotrzebne wydatki! Ta stara ruina wymaga oczyszczenia. Mam gotowe plany, które zostały zaakceptowane przez władze gminne, i myśli pan, że z tego wszystkiego zrezygnuję? Że się przed panem ośmieszę? Naprawdę nie myślałem, że coś takiego przyjdzie panu do głowy!

Volden słuchał z poważną miną.

— Mam teraz inne spojrzenie na tę sprawę, panie Johnsen. Jeśli zlikwidujemy te groby, to naprawdę bardzo wiele ulegnie zagładzie, to są bezcenne sprawy.

— Co jest bezcenne? Stare kości?

— Nie. Historia, panie Johnsen. Historia kultury. Nieocenione pamiątki dawnych czasów, wszystkie mają za sobą niezwykły los.

— Niech no pan posłucha, panie Volden. Proszę uważać na to, co pan mówi! Pańska sytuacja zawodowa nie jest taka bardzo pewna, proszę o tym nie zapominać! Czy to ona tak pana przekabaciła?

— Panna Christersdotter pozwoliła mi zrozumieć tę sprawę. Proponuję, byśmy się najpierw porozumieli z Towarzystwem Ochrony Starożytności i zapytali, co oni o tym sądzą.

Pan Volden naprawdę jest odważnym człowiekiem! Podziw Malin dla młodego urzędnika wzrastał.

Johnsen wyglądał jak gotujący się do walki byk.

— A ja proponuję, żeby pan przyszedł do mnie dziś o godzinie siódmej, to będziemy mogli porozmawiać z panem sensowniej, opiekun kościoła i ja. Albo może należałoby podyskutować na temat, czy pan nie powinien przypadkiem zmienić zawodu? Proszę, żeby pani przyszła także, panno Christersdotter. To może zrozumie pani, jaką szkodę wyrządza pani działalność informacyjna i ile mnie to może kosztować! Nie mam czasu stać tu dłużej. Muszę się spotkać z przewodniczącym rady gminnej. A zatem: godzina siódma!

Zanim zdążyli zaprotestować, wsiadł do powozu i zaciął konia.

Pobladły Volden patrzył w ślad za nim.

— Mam nadzieję, że ta cała sprawa nie będzie pana kosztowała utraty posady — jęknęła Malin żałośnie.

— Nie sądzę — odparł dzielnie, ale nie brzmiało to zbyt przekonująco.

— No, bo w takim razie...

— Proszę decyzję zostawić mnie — uciął. Potem stał się bardzo oficjalny. — Czy pani wie, gdzie mieszka pan Johnsen?

— Nie.

— Wobec tego przyjdę po panią do Lipowej Alei za piętnaście siódma.

— Dziękuję, to bardzo uprzejme z pańskiej strony.

— Nie, wcale nie. To mój obowiązek.

Wciąż patrzył w ślad za powozem pana Johnsena. Chyba nie chciał, by Malin usłyszała, co ma do powiedzenia o szefie, ale ona usłyszała.

— Zarozumialec, zawsze musi postawić na swoim... — szepnął.

— No? — zapytał Viljar, gdy Malin weszła do kuchni w Lipowej Alei. — I jak poszło?

Policzki Malin płonęły. Odpowiedziała jednak pozornie obojętnie:

— Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że jednego udało mi się przekonać. Ale z drugim będzie trudniej. Mamy pójść do niego do domu dziś wieczorem, żeby przedyskutować sprawę. To znaczy, on zamierza roznieść nas w pył.

— Nas, powiadasz? — zapytała Belinda.

— Tak, mnie i jednego urzędnika, który nazywa się jakoś tak... jakby Volden czy coś.

— To jego udało ci się przekonać? — zapytał Viljar.

— Tak. Na początku on też był bardzo wyniosły, potem jednak spuścił z tonu. Stał się prawie ludzki. Ale tylko prawie.

Viljar i Belinda wymienili spojrzenia. Zachowanie Malin mówiło im więcej niż słowa, które wypowiadała.

— Ulvar był na cmentarzu, muszę was poinformować. Szpiegował. Ja, oczywiście, udawałam, że go nie dostrzegam.

— To dobrze. Ale czy usłyszał coś ważnego na temat Ludzi Lodu?

— Myślę, że nie. Byłam bardzo ostrożna. Ale, naturalnie, musiał słyszeć to i owo. O naszych przodkach, jak się nazywali, czego dokonali. Tego nie dało się uniknąć.

Henning, który wyglądał przez okno, widział bliźniaki przy studni.

— Ale o skarbie nie wspomniałaś?

— Ani słowem.

— To dobrze. Mnie się zdaje, że Ulvar próbuje od czasu do czasu czarów. Po omacku, jeśli tak można powiedzieć, i bezradnie, ale trawi go pragnienie, by móc to robić.

Nic na to nie odpowiedzieli. Lata spędzone z Ulvarem nie mijały spokojnie. I wszystkim się zdawało, że słyszą w izbie echo jego upiornego śmiechu...

— Powinnam się chyba jakoś ładnie ubrać na tę wizytę u Johnsena — powiedziała Malin ze sztuczną swobodą.

— Belindo, czy nie mogłabyś pożyczyć mi tego czerwonego kapelusika? Wszystkie moje ubrania są tak po pielęgniarsku surowe.

— Naturalnie, możesz wziąć kapelusz! A nie chciałabyś też tej mojej sukienki, którą uszyłam w zeszłym roku na wesele? Wisi nie używana w szafie.

— Och, dziękuję ci, jeśli naprawdę uważasz... — ucieszyła się Malin rozjaśniona jak poranek późnego lata.

Volden przyszedł punktualnie i Malin, która ostatnią godzinę spędziła przed lustrem, przyglądając się krytycznie swojemu odbiciu, powitała go onieśmielona. Ich dotychczasowa znajomość przebiegała dość burzliwie; dosyć trudno było jej się zdecydować, jak traktować kogoś, o kim myślała niedawno, że jest upartą kanalią.

Uznała, że Volden sprawia wrażenie zaskoczonego. Ale bo też ona bardzo gruntownie zmieniła swój wygląd. Sama czuła się dziwnie w kokieteryjnych strojach Belindy, ale jednocześnie było to bardzo przyjemne uczucie. Malin miała w swoim życiu bardzo niewiele takich chwil, kiedy czuła się tylko kobietą. Nieustannie musiała być dla kogoś wsparciem, opiekunką i pomocnicą.

Najchętniej zabrałaby ze sobą Viljara jako moralną podporę w walce z Johnsenem, ale jedna z ich krów miała się właśnie cielić i Viljar musiał zostać w domu. Nikt nie będzie bronił sprawy cmentarza lepiej niż ona, powiedział jej na odchodnym.

Malin jednak nie była tego taka pewna. W świecie Johnsena i Voldena kobiety za bardzo się nie liczyły.

Początkowo szli w milczeniu. Wszędzie były nowe drogi, wąskie, pełne zakrętów dróżki pomiędzy willami, które łączył jeden szerszy szlak, zasługujący pewnie na miano ulicy. Malin, która nigdy nie widziała starej wsi Grastensholm, nie umiała sobie wyobrazić, jak to było, kiedy mieszkali tu tylko chłopi, a zamiast willi były dośćrzadko rozrzucone wiejskie zagrody. Teraz jeszcze tam i ówdzie widziało się pola, lecz zabudowa willowa rozszerzała się nieustannie i już naprawdę nie można było mówić, że to wieś.

Domostwo Johnsena leżało trochę na uboczu. Trzeba było przejść przez nieduży zagajnik.

Nagle Malin przystanęła.

— Co się stało? — zapytał Volden.

— Nie... Nie wiem. Nagle zaczęłam się czegoś bać. Jakbym usłyszała jakiś dziwny dźwięk... Nie wiem.

Owszem, usłyszała dźwięk, który rozpoznawała. Nie słyszała go już od bardzo dawna i miała nadzieję, że może nigdy więcej nie usłyszy.

Ale nie! Znowu jest!

Zaszeleściło w krzakach i nagle stanął przed nimi ogromny zwierz z wyszczerzonymi zębami. Z gardzieli dobywało mu się głuche warczenie.

— O mój Boże — szepnął Volden i otoczył plecy Malin ramieniem, jakby chciał ją chronić. — To przecież jest...

— Wracajmy! — powiedziała Malin. — Nie! Proszę nie wyjmować noża! Uciekajmy! Jak najszybciej!

Volden jednak się nie ruszał, nie chciał pewnie mieć bestii za plecami. Widzieli wlepione w siebie żółtozielone ślepia.

Kiedy bestia wyraźnie gotowała się do skoku, Volden uznał nareszcie, że pozostaje im tylko jedno wyjście. Malin widziała, jaki jest przerażony, jak śmiertelnie się wystraszył, i podziwiała go, że mimo wszystko najpierw pomyślał o jej bezpieczeństwie. Stanął pomiędzy nią a wilkiem i wycofywali się powoli, a bestia równie wolno posuwała się za nimi.

Wydawało się teraz, że zwietzę nie chce atakować, że zamierza ich tylko zmusić do odwrotu, tak jakby to zrobił stróżujący pies, któremu ktoś niepowołany wszedł na jego teren.

— Nie przejdziemy koło niego. Nie przepuści nas — wyszeptał Volden pobladły.

Malin, która widywała takie bestie już przedtem i znała ich zwyczaje, powiedziała cicho:

— Jedyne, co możemy zrobić, to wycofać się z tego zagajnika.

— Ja nie mam ochoty uciekać.

— Ja także nie. Chciałabym zobaczyć, co się tam dalej dzieje.

— Nie sprawia pani wrażenia przestraszonej — szepnął.

— Panuję nad sobą — odparła również szeptem.

Znaleźli się poza terenem zagajnika. Wilk stał na ścieżce z groźnie wysuniętą do przodu głową. Po chwili odwrócił się i zniknął wśród pożółkłych zarośli.

Volden z trudem przełknął ślinę.

— Czy powinniśmy...?

— Nie, ja tamtędy już nie pójdę. Nigdy w życiu!

— Ale ja nie znam innej drogi do domu Johnsena. Powinniśmy obejść dookoła...

— Chyba w prawo — zaproponowała Malin, choć zdawała sobie sprawę, że to na nic.

— Spróbujmy. Uff, już i tak jesteśmy bardzo spóźnieni. Już powinniśmy być na miejscu.

Jego widoki na zwolnienie z pracy rosły. Malin współczuła mu.

Ruszyli w prawo; wyglądało na to, że będą musieli bardzo nadłożyć drogi, żeby dojść do willi. Zagajnik rozciągał się i w prawo, i w lewo, a oni nie mieli ochoty znaleźć się znowu w zaroślach.

— Kto to może hodować takie bestie? — zastanawiał się Volden wciąż szeptem, jakby nie miał odwagi mówić głośno.

— Ja myślę, że nikt.

— Myśli pani, że to jest wilk? Prawdziwy dziki wilk?

— Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Ale on jest potwornie wielki. A poza tym tutaj nie ma wilków! Zresztą samotny wilk nie zaatakowałby dwojga ludzi. Ja naprawdę nie rozumiem. To było przerażające!

— Najłagodniej mówiąc!

Głuchy grzmot wstrząsnął okolicą.

— Co to było? — zapytał Volden.

Przystanęli, żeby lepiej słyszeć.

— Jakiś straszny huk — rzekła Malin. — Proszę posłuchać, to nie milknie.

Volden zamarł.

— Słyszę trzaski i jakby skwierczenie.

— Dym! Niech pan popatrzy na niebo!

— To jest dom Johnsena! Coś eksplodowało i teraz się pali. A... A my mieliśmy tam być.

Patrzyli na siebie długo, zanim nareszcie byli w stanie coś zrobić. Te wszystkie dziwne wydarzenia, jakie się na ich oczach rozegrały, sparaliżowały ich.

To, co się stało, w jakiś sposób wiązało ich ze sobą. Jakby byli parą bezradnych ludzi wystawionych na działanie znanych i nieznanych sił natury.

Volden pierwszy się opanował i mógł coś powiedzieć:

— Jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, to ta bcstia uratowała nam życie!

Malin nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Była śmiertelnie przerażona, ale z zupełnie innych powodów, niż Volden mógł przypuszczać.

ROZDZIAŁ VIII

Od tamtego dnia na cmentarzu życie Ulvara uległo zmianie.

Dowiedział się! Och, dowiedział się tylu nowych i podniecających rzeczy! Ileż ta Malin wie! I nigdy mu nic nie mówiła. Cholerna, przeklęta Malin, dlaczego mu nic nie powiedziała? O przodkach Ludzi Lodu i o tym, co w życiu zrobili.

Przeważnie jednak dotarło do niego to wszystko we fragmentach, jako napomknienia, zdania na pół stłumione.

Ulvar od dawna zdawał sobie sprawę, że on także należy do obciążonych, i był z tego bardzo dumny. A teraz usłyszał też co nieco o innych dotkniętych dziedzictwem, o swoich poprzednikach.

Ale chciał wiedzieć więcej!

Nie mógł się jednak zwrócić do Malin ani do Viljara, wiedział bowiem z doświadczenia, że odpowiedzą mu wymijająco, będą go zbywać. Wątpił natomiast, czy Henning coś wie, w każdym razie nic na to nie wskazywało.

Belinda nie mogła mu nic powiedzieć, jest na to za głupia. A że Marco o niczym nie ma pojęcia, to móglby przysiąc. Marco i on złączeni byli więzami krwi. Ulvar często wiedział, co myśli Marco, i nawzajem.

Zastanawiał się nad tymi problemami dzień i noc.

Nikt nie może znać zbyt dokładnie losów swoich przodków, jeśli mu ktoś o tym nie opowie. Ale kto? Viljar? Niech to diabli!

W chwilach samotności, kiedy inni domownicy zajęci byli w gospodarstwie, a Marco w szkole, Ulvar przeszukiwał dom. Przetrząsnął Lipową Aleję od piwnic aż po dach.

Wiedział, że istnieje jakiś zbiór środków leczniczych, zamknięty na klucz w sypialni Viljara. Ale miał w nosie środki lecznicze, nie tego szukał.

Słyszał kiedyś, że istnieje coś więcej. Coś magicznego i tajemniczego, co rodzina ukrywa przed nim. Pewnego razu wpadło mu w ucho słowo „skarb”. Nigdy o tym nie zapomniał.

Cokolwiek jednak ten skarb zawierał, to nie przechowywano go w Lipowej Alei, tego był najzupełniej pewien.

Skarb, skarb, to było jak opętanie, ten skarb jest z nim związany, jest dla niego najważniejszy, mógłby przysiąc.

Niepewność gryzła go jak robak.

Ależ to było niesłychane przedstawienie wtedy, gdy płonął dom Johnsena wraz z właścicielem i wszystkim, co posiadał! Ulvar chichotał zadowolony. Umiał podkładać ogień pod domy, nie pierwszy raz się to wydarzyło. Ten Johnsen gadał, że trzeba zniszczyć groby Ludzi Lodu. Ulvar nie mógł mu na to pozwolić. Bo tamtego dnia na cmentarzu uświadomił sobie, jak ważni są dla niego ci, którzy tam spoczywają. Powinien nawiązać z nimi bezpośredni kontakt. On wielokrotnie już widywał duchy, tylko nie bardzo umiał kierować biegiem wydarzeń, wszystko działo się dość przypadkowo.

Czegoś w jego umiejętnościach brakowało. Och, niech to ogień piekielny pochłonie! Brak mu było jakichś umiejętności, które dałyby mu prawdziwą siłę!

A może właśnie to oni nazywają skarbem?

Jakim sposobem miał się dowiedzieć czegoś pewnego?

Jedno imię, które usłyszał na cmentarzu, nie schodziło mu z myśli:

Tengel Zły.

Słyszał je już wcześniej wymawiane szeptem i po kryjomu.

Było to dumne imię, dla Ulvara ogromnie wiele znaczyło.

Tengel Zły jest jego panem, tego był pewien. Przenikały go dreszcze, gdy tylko o nim pomyślał.

Kościelny też o mało nie spłonął w domu Johnsena, on też miał tam być.

Ale spóźnił się trochę i przyszedł, kiedy już wspaniałe płomienie buchały w górę.

Widział wszystko.

Na szczęście nie zobaczył Ulvara.

Ulvar miał szczęście!

Ale mało brakowało. Ledwo zdążył się schować w bezpiecznej odległości od ognia, kiedy ten głupi kościelny przylazł.

Potem opowiadał, że to był pożar spowodowany eksplozją. Przyjechali jacyś ludzie, eksperci czy jak tam ich nazywano, i oglądali wszystko dokładnie. Ale nikt nie umiał powiedzieć, co wywołało pożar. Nikt niczego nie znalazł. Gadali o gazach wydostających się z ziemi albo gdzieś w domu.

Mogli sobie gadać, ile chcieli. Nikt im nie broni.

A Malin powiedziała na cmentarzu tyle nowych i podniecających rzeczy!

Obciążeni dziedzictwem nie ponoszą winy za swój los. Phi, on się takimi sprawami nie przejmuje. To wielki honor być dotkniętym. Poza tym są to przeważnie bardzo silne osobowości, powiedziała Malin.

O, tak, wszyscy diabli wiedzą, że to prawda! Czy istnieje na ziemi większa osobowość niż on? No, może Marco, ale przecież on i Marco są bliźniakami.

Ale Tengel Zły... Żeby się tak móc z nim spotkać, kimkolwiek on jest!

Opowieść o Kolgrimie też brzmiała interesująco. Narzędzie Złego, jeden z tych naprawdę przeklętych, nieszczęście przez całe czternastoletnie życie. Ulvar, naturalnie, zamierzał żyć dłużej niż czternaście lat, ale poza tym uważał, że on i Kolgrim są do siebie bardzo podobni.

I jeszcze Ulvhedin. Jeden z dotkniętych, niebywale interesujący, w każdym razie na początku życia. Tylko że potem Elisa przemieniła go w istotę ludzką.

Ulvar powinien zniszczyć grób Elisy. Musi to zrobić.

I grób Heikego! Heikego, który pokonał przekleństwo! Nie zasługuje na to, by żyć, nie, bzdura, nie zasługuje na to, by mieć piękny grób!

Ulvar śmiał się złośliwie z własnych myśli. Ale ten nagrobek rozwali, nie odmówi sobie tej przyjemności, rozbije go, obsika!

Wśród tych, którzy go interesowali, był ktoś jeszcze: Sol, piękna wiedźma! Ona musiała być wspaniała! W Lipowej Alei wisi jej portret, bardzo stare i bardzo zniszczone malowidło. Ulvar nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby oglądać takie próchno, ale teraz zetrze starannie kurz z obrazu, żeby zobaczyć, czy Sol ma mu coś do powiedzenia.

Chciał też dowiedzieć się czegoś więcej o szarym ludku. Cholera, że też te stworki zostały przepędzone z Grastensholm! I to przez Sagę, jego matkę!

Phi, on niczego nie czuł do swojej matki. Nic zupełnie! To podobno jego wina, że umarła. Tak powiedziała kiedyś jakaś plotkująca baba. Myślała, że Ulvar będzie miał wyrzuty sumienia? To się bardzo pomyliła.

Marco tęsknił za matką, o tym Ulvar wiedział. Często o niej myślał, zastanawiał się, jaka była, pytał o to rodzinę. Ale Marco lubił ich, Malin i Belindę, a przecież oni wszyscy byli niczym, gówno, nic więcej. I Viljar też. Henning mógłby jeszcze ujść. On się nigdy nie puszy ani nie stawia. W gruncie rzeczy jednak on także był Ulvarowicałkowicie obojętny.

Wszyscy są po prostu gównem. Wszyscy, z wyjątkiem Marca.

Szaleństwo znowu ogarniało Ulvara. Bezsilność. Musi się dowiedzieć! Ale kto zgodzi się cokolwiek mu powiedzieć? Wszyscy udają głupich, zaczynają gadać o czym innym.

Ten cholerny głupek, który był wtedy z Malin na cmentarzu, dostał teraz posadę po Johnsenie. Akurat dla niego odpowiednie zajęcie. Chociaż Ulvar nie miał nic przeciwko Voldenomi, dopóki nie przyjdzie mu do głowy burzyć grobów. A on najwyraźniej zamierzał je zachować, gmina miała budować nowy cmentarz w lesie, u podnóża wzgórz. Ten głupi Volden prowadzał tam Malin, żeby sobie obejrzała teren. Chciał znać jej zdanie na temat planów. Cholerny idiota, przybiegał do Lipowej Alei parę razy na tydzień, żeby ją ze sobą zabrać.

A ta Malin! Ona chyba nie ma dobrze w głowie! Przestała się ubierać w te swoje pielęgniarskie suknie z białymi kołnierzykami i biega teraz w różnych kolorach. Do czego to wszystko doprowadzi? Ale wyglądała dużo młodziej i była dużo, dużo milsza. Nie krzyczała na jego różne pomysły. „Per przyjdzie dziś wieczorem”, mówiła i oczy jej lśniły jak dwa słońca. Wyglądała po prostu idiotycznie. Per to ten cały Volden.

Dopóki dzięki niemu Malin jest miła, Ulvar da mu spokój. Ale gdyby wymyślił coś głupiego, tak żeby Malin zapomniała o swoich obowiązkach w Lipowej Alei albo jeszcze gorzej, gdyby chciał ją stąd zabrać... o, to wtedy niech się ma na baczności! Nikt nie odbierze Ulvarowi służącej i niewolnicy, o, nie! Belinda nie poradzi sobie sama z pracą w domu, ona nie jest całkiem mądra. Zapomina, ile jajek należy ugotować Ulvarowi na śniadanie, podaje mu nie te co trzeba ubrania i zadaje mnóstwo głupich pytań, gdzie Ulvar idzie albo gdzie był.

Gówno!

Wszystko gówno!

W rok później Per Volden oświadczył się o Malin.

Domyślała się od dawna, że to nastąpi i była do tego dobrze przygotowana. Mimo to jąkała się całkowicie zbita z tropu, kiedy starała się wytłumaczyć mu, że to, niestety, na razie niemożliwe. Że rodzina w Lipowej Alei potrzebuje jej pomocy.

Do opieki nad tym małym diabelskim pomiotem, pomyślał Volden, lecz głośno tego nie powiedział. Wiedział, że Malin żywi szczególny szacunek, graniczący z pietyzmem, dla zmarłej matki bliźniaków. On sam zgadzał się z większością mieszkańców parafii, że tego chłopca należałoby zamknąć w klatce.

Po prostu w głowie się nie mieści, co on wymyślał w ostatnich latach. No, ale gdyby powiedzieć szczerą prawdę, to jednak najwięcej czasu spędzał w lesie na wzgórzach i nikomu krzywdy nie czynił. Oczywiście obwiniano go o wiele rzeczy, których w żaden sposób nie mógłhy zrobić. Ale to, co robił, też wystarczało, żeby opiekunom spędzać sen z powiek.

Parafia nienawidziła go. Rodzina z Lipowej Alei nie była już w stanie dłużej ukrywać, jak niebezpieczną istotą jest Ulvar. Wprawdzie nie zabił nikogo, człowieka ani tym bardziej zwierzgcia, ale przecież nigdy nie wiadomo. Uwielbiał drażnić i prześladować inne dzieci, które spotykał, wprawiał we wściekłość chłopów i urzędników, robiąc rzeczy, za które nie mógł być wprawdzie ukarany, które jednak były na granicy przyzwoitości i ludzkiej cierpliwości. Rozbierał się do naga przed statecznymi matronami, sypał ludziom sól do picia w gospodzie, wiązał razem sznurowadła siedzącym, tak że się potem przewracali i rozbijali sobie nosy, wpędzał krowy w szkodę, czynił bezwstydne propozycje małym dziewczynkom i robił na złość bawiącym się chłopcom.

Był udręką i plagą dla wszystkich, sąsiedzi wielokrotnie stawiali Viljarowi ultimatum. Przychodziły do Lipowej Alei delegacje, żeby chłopca siłą wziąć do zakładu. Przychodziła policja i przedstawiciele opieki społecznej, ale wszyscy musieli dać za wygraną. Z Ulvarem nie było żartów. Kiedy napotykał opór, stawał się naprawdę niebezpieczny. I czterech silnych mężczyzn nie było w stanie sobie z nim poradzić.

No i poza tym były te wilki, które mu pomagały. Cała parafia je już teraz znała. A większość szeptała, że to nie mogą być prawdziwe wilki, że to po prostu siła nieczysta.

Wilki zjawiały się różnie. Czasami było tylko jedno zwierzę, niekiedy dwa, nigdy jednak nie więcej niż trzy. Ludzie uważali więc, że są trzy bestie. Ponieważ mężczyźni zawsze znajdą powód, by zalegalizować polowanie, niezależnie od tego, jak bardzo ów powód bywa niekiedy wątpliwy, to oczywiście wielu chcialo polować na wilki z Grastensholm. Tutaj chodziło bowiem o naprawdę niebezpieczne bestie, to każdy pojmował. Myśliwi ze strzelbami i piórkami przy kapeluszach, w bryczesach i wysokich butach przyjeżdżali aż z Christianii, bo to była prawdziwa męska gra; miejscowi chłopi wyciągali zardzewiałe flinty, każdy, kto nosił spodnie i był w starue udźwignąć strzelbę, wyruszał na polowanie. Niektórzy zaopatrywali się nawet w srebrne kule, bo wiadomo, że gorszy metal Złego się nie ima. A przecież te gadziny pojmać w końcu trzeba. Inni, bardziej trzeźwo usposobieni, szykowali już w salonach miejsce, gdzie na ścianie rozwiesi się wilczą skórę. Nikt nie wątpił, że skórska będą ogromne, a futra przecież z czegoś takiego nikt nie uszyje. Tego rodzaju trofea wyprawia się i rozwiesza na widok publiczny.

Żaden wilk się jednak myśliwym nie pokazał. Nie natrafili nawet na ślad dzikiej bestii. Jakby nic takiego nigdy nie istniało.

Zresztą nikt nie został przez wilki pozbawiony życia, jeśli nie liczyć tego pierwszego mężczyzny, który przed nimi uciekał, lecz przecież on skończył na atak serca na schodach własnego domu, a to już rezultat jego złej kondycji. Nie, wilki pokazywały się zawsze w związku z Ulvarem z Lipowej Alei, nie wiadomo było tylko, z jakiego powodu to czynią. Ten nieszczęsny Ulvar [Ulv, w języku nonveskim: wilk; w liczbie mnogiej: ulver (przyp. tłum.).] nigdy nie został ochrzczony, mówiono. Ulvar — wilki, związek jest oczywisty.

Bardzo zły znak tak nazywać dziecko, to mogło się skończyć tylko w jeden sposób, Zwłaszcza że przecież od pierwszej chwili musieli zdawać sobie sprawę, że dziecko należy do diabła.

W każdym razie Malin musiała powiedzieć „nie” na oświadczyny Voldena, choć czyniła to z bólem serca. On zwracał jej uwagę na to, że przecież nie są już młodzi, żadne z nich, gdyby więc chcieli mieć dziecko, to nie ma co zwlekać. Bo dzieci to on bardzo chce mieć, mówił. Z Malin.

— Ja wiem, wiem — odpowiadała zmartwiona i skubała rękawiczki. — Ja sama niczego bardziej nie pragnę, ale co ja mam zrobić? Nie mogę rodziny w Lipowej Alei zostawić własnemu losowi, oni sobie nie dadzą rady beze mnie, wiem o tym aż nadto dobrze. Ile to razy biedna Belinda musiała płakać, bezradna wobec złośliwości Ulvara, co on uważa za zabawne, ile razy Viljar i Henning bezskutecznie starali się doprowadzić mu do świadomości, jak bardzo rani innych swoim zachowaniem! Ale on właśnie tego chce. Zadawać ból! Zadawać taki ból, że ledwo są w stanie go znieść. A chłopiec ma zaledwie dziesięć lat. Minie jeszcze dużo czasu, zanim można będzie przestać się nim opiekować, jeśli w ogóle kiedykolwiek do tego dojdzie.

— To może moglibyśmy wziąć go do siebie — zaproponował zdesperowany Per Volden.

— Nie! — zawołała Malin z gwałtownością, która ją samą przestraszyła. — Nie, nie mogę dopuścić, żebyś ty stał się ofiarą, nad którą on będzie się pastwił. On na pewno widziałby w tobie rywala jakkolwiek śmiesznie to brzmi, bo przecież on mnie nie lubi. On już teraz traktuje cię jak swego rodzaju konkurencję, to chyba zauważyłeś. A jeszcze gorzej by było, gdybyśmy mieli dziecko. Ja bym się nigdy nie odważyła. Per, on mógłby je zabić.

— W takim razie, skoro on jest taki niebezpieczny...

— Ja wiem. Powinniśmy się zgodzić, żeby został zamknięty. Ale ja nie byłabym w stanie zadać takiego bólu synowi Sagi. Poza tym nie ma człowieka obdarzonego taką siłą, żeby tego dokonać.

— A jego brat?

— Marco nigdy się nie zgodzi na zamknięcie Ulvara. Marco jest jedynym, który okazuje mu zrozumienie i cierpliwość. On odnosi się niezmiernie łagodnie do swego nieszczęśliwego brata. A poza tym powinniśmy brać pod uwagę jeszcze jedną sprawę. Otóż, choć jestem blisko dwadzieścia lat starsza od Ulvara, należymy do tego samego pokolenia. Równie dobrze mogę urodzić dziecko podobne do niego. Zniósłbyś taki cios?

Volden nie odpowiedział na jej pytanie, bo myślami błądził gdzie indziej.

— Ja nie jestem pewien, czy Ulvar mnie nienawidzi, Malin. Pamiętasz ten pożar przed rokiem? I wilka, który nas zawrócił z drogi? Przecież ten wilk uratował nam życie, wiesz o tym.

Malin poczuła ciepło w sercu.

— Więc i ty o tym pomyślałeś — szepnęła. — Nie miałam odwagi ci tego powiedzieć, bo wiem, że jesteś trzeźwym, realistycznie myślącym człowiekiem. O mój Boże, czy możemy się na coś takiego odważyć?

— A jakby tak zapytać Ulvara o radę?

Zapytać Ulvara? Taka myśl nigdy nie pnyszła jej do głowy. Ale też ona znała chłopca lepiej niż Per.

— W końcu możemy spróbować — odparła niepewnie.

Ulvar siedział na niskiej gałęzi dębu, który rósł na tyłach zabudowań Lipowej Alei. Wyglądał jak leśny troll albo jak mały złośliwy elf, siedział oparty plecami o pień drzewa, z podciągniętymi noganzi. Włosy sterczały na wszystkie strony, a szerokie usta wykrzywiał złośliwy grymas.

Spoglądał z obrzydzeniem na dwie ludzkie postaci na dole.

— Dlaczego, do jasnej cholery, miałbym przeprowadzić się do ciebie, ty głupia, wstrętna Malin, i do tej zdechłej ryby, którą uważasz za swojego chłopa? Czy ty myślisz, że ja nie wiem, czym wy się zajmujecie, kiedy jesteście sami? Per rozkoszuje się wtedy twoimi nędznymi wdziękami, co? Aha, Per, zdążyłeś jej już zrobić bachora, co? I musicie się żenić?

Malin zarumieniła się.

— Nic podobnego się nie stało, Ulvar. Dobrze wiesz, że nie robimy niczego, co nie przystoi. A teraz pytamy cię po przyjacielsku: Cheesz mieszkać u nas? Bo my chcemy cię wziąć do siebie i traktować jak syna.

— Mam być synem tego kastrowanego kozła? Nie, ja zostaję tutaj. I ja, i Marco zostajemy w Lipowej Alei.

— Marca jeszcze nie pytaliśmy. Chcieliśmy najpierw wiedzieć, co ty na to powiesz.

W nieprzyjemnie zmrużonych oczach chłopca pojawiła się podejrzliwość.

— Aha, postanowiłaś nas rozłączyć, ty stara dziwko!

— Słuchaj no, Ulvar — rzekł groźnie Per i podszedł do drzewa. — Nie będziesz się w ten sposób odzywał do...

Oczy Ulvara zalśniły zielono, a obok buta Pera zadrgał wbity w ziemię nóż. Nie trafił w stopę i zdaje się Ulvar nie miał takiego zamiaru.

— Bądź ostrożny — mruknęła Malin do Pera. — Ulvar, posłuchaj mnie. Czy jeśli Marco zgodzi się do nas przeprowadzić, to ty pójdziesz z nim?

Mierzył ich wzrokiem, wrogi, podejrzliwy.

— Zobaczę — odparł i zamknął oczy jakby na znak, że audiencja skończona.

— Proszę, to twój nóż — powiedział Per i podał chłopcu ostre narzędzie.

Ulvar złapał je gwałtownie, a Malin, która znała jego twarz, spostrzegła, że Per mu zaimponował. Wszyscy inni na jego miejscu skonfiskowaliby nóż, a on oddał.

Poszli do domu. Per ujął dłoń Malin i uścisnął uspokajająco.

— Będzie dobrze, zobaczysz — powiedział. — A jeśli chodzi o sprawę, o którą mnie pytałaś przedtem: Nie mam żadnych wątpliwości. Chcę mieć z tobą dzieci, dotknięte czy nie, to nieważne.

— Dziękuję ci — szepnęła. — To najlepsze, co mnie mogło spotkać.

Ulvar zmrużył swoje złośliwe oczy i patrzył za nimi dopóki nie zniknęli za narożnikiem domu.

Cholerni idioci, myślał ze złością. Jak wy niczego nie rozumiecie! Jak, do cholery, możecie być tacy głupi, żeby mnie wpuszczać do swojego nowego gniazdka szczęścia? Ale zróbcie to, zróbcie! I zacznijcie płodzić dzieci, to zobaczycie cyrk! Jezu, pilnujcie się! Te wasze szczeniaki nie będą miały ani chwili spokoju. Będę sypał na nie wszy, będę łe przypalał rozżarzonymi węglami, będę je tłukł i wydłubię im oczy! O, cholera, ale będę miał zabawę!

Czyjś łagodny głos wyrwał go z marzeń o słodkiej przyszłości.

Pod drzewem stał Henning, duży i silny, o miłym spojrzeniu.

— Ulvar, byłbyś tals dobry i pomógł mi przenieść kamień, którym muszę obciążyć pług, bo mi się wyślizguje z bruzdy?

Ulvar zlazł z drzewa jak wielki, pokraczny pająk.

— Dlaczego, do cholery, mam ci pomagać, ty lalusiu? — mamrotał, ale szedł za Henningiem, robiąc złośliwe miny.

Henning nie przejmował się jego gadaniem, bo obaj rozumieli się w jakiś dziwny sposób, chociaż prawie wszystkie sprawy pojmowali odmiennie.

Może ta cicha akceptacja brała się stąd, że kiedyś w zimowy wieczór, przed kominkiem w Lipowej Alei, Ulvar i Marco usłyszeli opowieść o tej nocy, kiedy przyszli na świat? Rzecz jasna Viljar nie wspomniał nawet słowem o czarnych aniołach ani o tym, kim jest ich ojciec, poza tym jednak opowiedział im wszystko, a Henning uzupełniał, jeśli chodzi o detale. Dowiedzieli się o tym, jak bardzo Saga rozpaczała, że musi opuścić swoje nowo narodzone dzieci, i o tym, że Henning przyrzekł jej, iż będzie się nimi opiekował. „I to wcale nie było trudne” powiedział z promiennym uśmiechem do dwóch zasłuchanych chłopców. „Obaj znaczycie dla mnie tak wiele!”

Może więc dlatego Ulvar tylko wygadywał różne brzydkie rzeczy, ale zawsze zachowywał się wobec niegowyjątkowo grzecznie?

Oczywiście obaj chłopcy dowiedzieli sig też więcej o Sadze. O tym, że przyjechała ze Szwecji i że ta gałąź rodu była od początku siedemnastego wieku związana z rodziną Oxenstiernów, ale że teraz ta więź uległa zerwaniu.

Hrabina Lotten Oxenstierna napisała list, w którym pytała, czy Saga nie mogłaby wrócić i zostać guwernantką czworga dzieci hrabiny. Malin musiała, niestety, poinformować o tym, że Saga zmarła tragicznie i że zostawiła dwóch małych synków. Hrabina przysłała w odpowiedzi list pełen współczucia, a chłopców Sagi zaprosiła do Szwecji. Malin podziękowała, obiecała, że może w przyszłości, ale że teraz dzieci mają się dobrze pod opieką krewnych.

Wiedziała jednak, że Ulvara nigdy nie będzie można do Szwecji wysłać. Nie mogli tego zrobić rodzinie hrabiny, która zawsze okazywała Ludziom Lodu przyjaźń.

Sama Malin utrzymywała ścisły kontakt ze swymi rodzicami, Christerem i Magdaleną. Oni wciąż przyjaźnili się z rodziną Posse, byli ich zaufanymi i służyli im jak zawsze. Z tą tylko różnicą, że po ślubie córki Arvida Mauritza Posse, Charlotty, z panem Adamem Didrikiem Reuterskiold, Ludzie Lodu związani byli teraz z nazwiskiem Reuterskiold.

Rodzice Malin pragnęli, by wróciła do Szwecji. Ona jednak była zakochana i chciała zostać tam, gdzie mieszkał Per Volden.

Marca nie trzeba było długo przekonywać, żeby się przeprowadził do nowego domu Malin. Rozumiał, na czym polega problem. Że dla Viljara i Belindy opieka nad Ulvarem będzie zbyt uciążliwa, mimo że Henning umiał sobie dawać z nim radę, Marco rozumiał też kłopot Malin i obiecał nie spuszczać oczu z brata. Tylko że Marco chodził do szkoły...

Tak jak Ulvar był znienawidzony przez wszystkich, tak Marco był kochany. Już teraz dostawał milosne liściki od nieznanych wielbicielek, byl ulubieńcem nauczycieli i nawet chłopcy go podziwiali. On zaś zachowywał się tak samo wobec wszystkich. Spokojny, życzliwy, obdarzony prawdziwym autorytetem, rzecz prawie niewiarygodna u dziesięcioletniego chłopca. A wszystko to osiągał, mimo że trzymał się zawsze trochę na uboczu, nigdy się nad innymi nie wywyższał. „Ten chłopiec nie jest przeznaczony dla tego świata” — wzdychały różne panie i w pewnym sensie nie myliły się.

Henning miał swój pogląd, jeśli chodzi o tego kuzyna. „Marco oczekuje swego czasu”, mawiał często. Wiedział bowiem, że obaj chłopcy zostali do czegoś przeznaczeni. Każdy ma do spełnienia swoje zadanie. Henning wiele się nad tym zastanawiał. Nie umiał tylko znaleźć odpowiedzi na pytanie, w czym to Ulvar mógłby odegrać pozytywną rolę.

Ale w życiu Henninga pojawiły się wkrótce inne sprawy, bardziej osobistego charakteru, nad którymi musiał się zastanawiać.

ROZDZIAŁ IX

Przy sianokosach tego roku pomagali im jak zwykle sąsieazi i przyjaciele. Rodzina przeżyła kilka tragicznych lat, gdy nikt nie chciał okazać im pomocy, wtedy gdy szary ludek panoszył się w Grastensholm, ale teraz znowu było dobrze. W każdym razie dopóki Ulvar trzymał się z dala. Kiedy się tylko pokazywał, pomocnicy zabierali się do domu, nauczeni doświadczeniem.

W tym roku, 1871, wśród pomagających znałazła się też pewna młoda dziewczyna. Mieszkała niedaleko, w willi, i taki miała kaprys, żeby popracować w polu. Po-stanowiła, że przyjdzie pomagać. „Praca w polu jest taka malownicza, mamo, a poza tym mogę się przydać.”

Wieczorem wróciła do domu z rozmarzonym wzrokiem.

Och, czyż zawód rolnika nie jest wspaniały? Ach, pracować na roli, uprawiać ją! Spać na sianie, karmić małe, nieporadne jagnięta...

Matka była dużo bardziej trzeźwa:

— Siedzieć w oborze przez całą zimową noc i czekać na cielę. Prać ciężkie, śmierdzące gnojem ubrania w lodowatej wodzie. Wstawać przed świtem i wiedzieć, że wszystko, absolutnie wszystko i wszyscy w obejściu czekają, że przyjdziesz, nakarmisz, posprzątasz, przygotujesz co trzeba.

— Tak, ale to przecież fantastyczne! Dokładnie za czymś takim zawsze tęskniłam!

— Ach, tak? W ubiegłym tygodniu prawdziwe życie polegało na tym, by móc studiować na uniwersytecie, tylko dlatego, że ty, jako dziewczyna, nie masz do tego prawa. A jeszcze tydzień przedtem najbardziej interesowały cię bale w Christianii.

Córka nie słuchała. Z oczyma utkwionymi w dal myślała o przystojnym, budzącym zaufanie synu gospodarza z Lipowej Alei. Zwoził siano. Przyjeżdżał tylko od czasu do czasu, by załadować wóz. Zamienił z nią ledwie kilka słów, ale, och, jaki on pociągający! Trochę skrępowany, ale wysoki i silny, o głębokim głosie i prawdopodobnie absolutnie niedoświadczony, jeśli chodzi o kobiety. Następnego dnia znowu musi tam pójść.

Henning ją, oczywiście, zauważył, trudno było tego uniknąć. Błyszczała niczym gwiazda pośród ubranych na ciemno kobiet i dziewcząt wiejskich. Obcy ptak, który wcale nie pasował do tego środowiska.

Ma chyba około dwudziestu lat, myślał Henning. Włosy blond, z drobnymi loczkami nad czołem i grubym warkoczem upiętym wokół głowy. Ubrana w białą bluzkę i w spódnicę na szelkach z materiału w kwiatki. Inne kobiety nosiły przeważnie praktyczne suknie w brązową albo szarą kratę, a nadchodziła moda jeszcze bardziej suroara: czerń, bluzki zapięte wysoko pod szyję.

Dziewczyna miała na imię Anneli i Henning wiedział, gdzie mieszka. Ojciec był przedsiębiorcą, spekulował na giełdzie, pewien siebie. Rodzina miała wiele dzieci.

Anneli spoglądała na Henninga tak promiennie i radośnie, że naprawdę go to onieśmielało. Na jego poważną uwagę, że powinna widły trzymać pod sianem, jeśli chce je podnieść, odpowiedziała prawie frywolnie i Henning spłonął rumieńcem. Ale to chyba tylko on tak źle zrozumiał jej słowa.

Następnego ranka, od chwili gdy tylko otworzył oczy, dręczył go niepokój. Czy Anneli dzisiaj też przyjdzie? Z pewnością tylko przelotny kaprys sprawił, że chciała pomagać na łące.

Ale była. Gdy wypatrujące oczy Henninga dojrzały ją już z daleka, serce jego przepełniła spokojna radość.

Anneli oczywiście przybiegła. Kiedy wczoraj wieczorem rozchichotana opowiadała swoim dwóm przyjaciółkom o niebywale męskim młodym gospodarzu z Lipowej Alei, jedna z nich zawołała: „Ach, Boże, on! Od dawna strzelam do niego oczami, ale on nie patrzy na dziewczyny! Ludzie mówią, że mężczyźni z Ludzi Lodu są podobno fantastyczni w łóżku. Bo mają jakoby...” Dalsze słowa rozpłynęły się w niepohamowanych chichotach. „Ale czy to nie tylko ci przeklęci? Tacy jak Ulvar?” zapytała druga z przyjaciółek. Wszystkie trzy zgodziły się w końcu, że czegoś takiego nigdy na pewno nie wiadomo.

Przyjaciółki były chyba dużo bardziej doświadczone, niż Anneli myślała. Były też starsze. Ale ogarnęła ją ochota, by sprawdzić, jak to jest z tymi mężczyznami z Ludzi Lodu, to znaczy z Henningiem, oczywiście! Jej zainteresowanie nieustannie rosło. Niebezpieczne, to jest bardzo niebezpieczne, zdawał się szeptać jakiś wewnętrzny głos. Ale ona nie zamierzała przecież pszekraczać granic! Panna z dobrej rodziny tak nie robi! Chociaż jaj dwie przyjaciółki...?

Na łące Henning nie miał odwagi rozmawiać z Anneli. Bał się, że ona go natychmiast przejrzy na wylot. Postanowił czekać do przerwy na posiłek.

Znalazł się jednak po tej samej stronie długiego kuchennego stołu, co ona. W dodatku daleko od niej. Nawet jej nie widział.

Jedyne, co uzyskał tego dnia, to kilka nieśmiałych uśmiechów na łące. Na nic więcej nie mógł się odważyć.

Został tylko jeszcze jeden dzień...

Henning cierpiał. Nie umiał rozmawiać z dziewczynami. Czuł się zawsze w ich obecności okropnie niezdarny. Ta jednak wznieciła niepokój w jego sercu, niepokój, który groził, że przerodzi się w poważną udrękę.

Przez cały wieczór był nieswój, miejsca nie umiał sobie znaleźć, rodzice przyglądali mu się z troską. Ich zawsze zrównoważony syn, dwudziestoletni teraz. Co się z nim stało?

Tylko Malin wiedziała, co się święci. Widziała dziewczynę i natychmiast się zorientowała, jak bardzo Henning jest nią zainteresowany. Rzeczywiście dziewczyna jest ładna, ale czy to odpowiednia osoba dla niego? Oj, chyba nie!

Parobcy żartowali z nią dosyć niewyszukanie, a ona odpowiadała im tym samym. Chociaż, trzeba powiedzieć, umiała ich osadzić w miejscu. Pochodzę z lepszego domu i trzymajcie swoje brudne łapy przy sobie, zdawała się mówić całą swoją postawą.

Henning jednak znalazł łaskę w jej oczach, Malin to widziała i wcale jej to nie zdziwiło. Chłopiec zrobił się taki przystojny w ostatnich latach. Spod szerokiego czoła spoglądały czyste oczy, w których w ogóle nie było fałszu. Henning miał takie ciepłe, sympatyczne spojrzenie, że aż wzruszające. Jak niewiele trzeba, żeby zranić kogoś takiego! Był szeroki w ramionach, a wąski w biodrach, miał duże dłonie, które mogły z niezwykłą czułością pieścić dziewczynę.

O, tak, Malin rozumiała oboje.

Tylko że tak bardzo do siebie nie pasują! Czy oni tego nie widzą?

Trzeciego i ostatniego dnia Henning miał szczęście. To znaczy Anneli wykazała inicjatywę i po pracy Henning oprowadzał ją po gospodarstwie. Z wielką czułością i dumą mówił o zwierzętach i budynkach, a ona szczebiotała kokieteryjnie, jak to dziewczęta w pewnym wieku mają w zwyczaju, przez cały czas uważnie kontrolując, jak się zachowuje i jak wygląda.

— Och, jaki ty musisz być szczęśliwy — szeptała, przytulając wdzięcznie do siebie małego kotka, z czym było jej bardzo do twarzy. — Zawsze marzyłam o tym, żeby mieszkać na prawdziwej wsi. Móc pracować ze zwierzętami...

Z lekkim grymasem wytarła rękę, którą przed chwilą powąchała świnia.

— Naprawdę o tym marzyłaś? — naiwnie pytał Henning z uszczęśliwioną miną. — A ja myślałem, że jesteś na to za elegancka. Taka panna z miasta, która się boi, że pobrudzi sukienkę.

— Och, nie! Coś ty, ja wcale taka nie jestem!

Jej powieki opadały i podnosiły się obiecująco. Potwornie skrępowany tym, że się nieustannie rumieni, Henning z bijącym sercem szedł do drzwi.

— Musisz się przywitać z koniem — powiedział głosem lekko drżącym, bo nie umiał powstrzymać uśmiechu szczęścia.

Belinda zaprosiła panienkę na kolację, ale przy stole Henning siedział jak niemowa. Nie byłby w stanie rozmawiać z nią, kiedy wszyscy słuchali, mowy nie ma! Poza tym przy stołe był też Ulvar, który wcale nie ukrywał swoich poglądów i wciąż komentował zachowanie Anneli. Wszystkie próby uciszenia go lub wysłania do jego pokoju były daremne. Na tego typu upomnienia Ulvar był kompletnie głuchy. Nie poddał się nawet wtedy, gdy Viljar złapał go za ucho i chciał wyprowadzić z jadalni. Wrzeszczał, jak wielekroć przedtem:

— Podnosisz rękę na swojego wychowanka? Chcesz, żebym zameldował o tym na policji?

Wszyscy dobrze wiedzieli, że stać go na głośne żale i zawodzenie na temat, jaka mu się tu dzieje krzywda. Jemu, bezdomnej sierocie! Pozostawało więc tylko prosić Anneli, by nie zwracała uwagi na jego brzydkie słowa i wszelkie szykany.

Tak więc krótki romans Henninga dobiegł końca. Co jeszcze pozostało teraz, kiedy zbiory były pod dachem? Tęsknił rozpaczliwie, przez całe dnie i wieczory wystawał przy oknie i patrzył w stronę jej domu. Trwało tak, dopóki Ulvar nie zapytał, czy Henning zamierza ryczeć niczym jeleń na rykowisku. Wtedy się zaczerwienił, oczy napełniły mu się łzami i uciekł do swego pokoju.

Anneli była odważniejsza i robiła, co mogła. Wystawała wieczorami na rynku i rozmawiała z rówieśnikami, ale jednym okiem wciąż spoglądała w kierunku Lipowej Alei. Henning nigdy jednak nie przychodził, bo po prostu nie wiedział, że młodzi się tam zbierają. Nie znał miejscowych obyczajów.

W końcu sprawę wziął w swoje ręce Ulvar.

Oczy mu błyszczały złośliwie, gdy pewnego wieczora szedł w stronę rynku. Obecna tam młodzież śledziła go niespokojnym wzrokiem. Bardzo wielu zachowało mało przyjemne wspomnienia z czasów dzieciństwa, gdy podstępny Ulvar pastwił się nad nimi. Mimo że było ich teraz wielu, woleli z nim nie zadzierać. Ulvar, który się mścił, był tysiąc razy groźniejszy.

Przeszedł obojętnie koło Anneli.

— Henning chce się z tobą spotkać dziś wieczorem w stodole w Lipowej Alei — szepnął półgębkiem. — O ósmej.

Anneli z niesmakiem popatrzyła na wstrętną figurę, ale jego słowa bardzo jej się spodobały.

— Jak będę chciała — odparła zaczepnie.

Będziesz, będziesz, pomyślał Ulvar i posłał jej złośliwe spojrzenie swoich zielonożółtych oczu. Potem wrócił do domu.

Henningowi powiedział to samo. Że Anneli chce z nim rozmawiać. Czy może wyjść do stodoły o godzinie ósmej?

Henning stał jak słup soli. Policzki zrobiły mu się czerwone. Nie mógł wykrztusić ani słowa, skinął tylko głową.

Och, jak ładnie się ubrał tego wieczora! Przyczesane na mokro włosy gładko przylegały do głowy i wcale mu nie dodawały urody, podkradł też ojcu trochę wody po goleniu, która pachniała niebiańsko.

O godzinie ósmej Ulvar siedział skulony w swojej kryjówce pod dachem stodoły i spoglądał w dół. Teraz się zabawi! Nareszcie zobaczy kochającą się parę w akcji. To dopiero będzie coś!

Potem, kiedy tamci zapomną o bożym świeeie, zeskoczy na dół prosto na nich i będzie śmiał im się w twarz, kiedy w popłochu będą się próbowali ubrać i uciec ze stodoły. Czuł, że ogarnia go podniecenie, i chichotał cicho w oczekiwaniu.

Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak myślał.

Tamci przyszli oboje, lecz już pierwsze słowa, jakie wymienili, niemal jednocześnie wypowiedziane zdanie:„Podobno chcesz ze mną rozmawiać”, ujawniły intrygę Ulvara.

— To znaczy, że on się tu gdzieś chowa — mruknął Henning. — Wyjdźmy stąd!

I poszli. Ulvar ze złością patrzył, że spacerują po świeżo skoszonej łące, na otwartej przestrzeni, i on nie będzie mógł podejść do nich niezauważony. Był wściekły.

Zamiast zabawić się ich kosztem, doprowadził po prostu do spotkania. I Henning, ów prostoduszny młodzieniec, wierzył Anneli, kiedy go zapewniała, że niczego bardziej nie pragnie, jak pracować w gospodarstwie. Może ona sama też w to wierzyła?

W miesiąc po pierwszym spotkaniu uczucia obojga osiągnęły bardzo wysoką temperaturę. Przyjaciółki Anneli, które otrzymywały codzienne rapony, zaczynały się niecierpliwić.

— Jeszcze go nie doprowadziłaś do szaleństwa, Anneli?

— Ech, on jest taki nieśmiały, taki rycerski! Nigdy nie dotknie kobiety przed ślubem, to jego zasada.

— Przecież nie musicie czekać aż tak długo — podżegała jedna z przyjaciółek. — A zresztą to jest właśnie najbardziejzabawne. Podniecić mężczyznę tak, żeby nie był w stanie nad sobą panować.

Druga z zapałem kiwała głową. Żadna z nich nie odważyła się jeszcze na nic podobnego, ale teraz dostawały sprawozdania z pierwszej ręki o tym, co się przeżywa z mężczyzną, i przesadzały trochę na temat własnych doświadczeń. Najwyraźniej popychały Anneli do czynu.

Ona zatem robiła co mogła, by doprowadzić Henninga do takiego napięcia, że przestanie nad sobą panować, bo przecież jej uwodzicielskie talenty nie mogły się okazać gorsze niż zdolności przyjaciółek! To nie może być!

Poza tym sama też była nieznośnie ciekawa, jak to jest w miłości, a już zwłaszcza jak to jest z Henningiem. Uwodziła go więc jak tylko umiała. I w końcu pewnego wieczora w lesie stało się to, co było nieuchronne. Na szczęście Ulvar ich tego dnia nie podglądał. Był już wtedy w domu i dawno spał. Obecność Anneli sprawiała, że Henningowi zaczęło wirować w głowie; on, który przez cały czas starał się zachowywać rozsądek i walczyć z narastającą namiętnością, teraz był całkowicie oszołomiony. Anneli zaś nie robiła nic, by powstrzymać jego niecierpliwe ręce, poddawała się chętnie jego pieszczotom i ostatnie wyrzuty sumienia Henninga musiały utonąć w podnieceniu, pokonane przez tęsknotę, która go od dawna trawiła.

Po wszystkim był zrozpaczony i błagał ją o przebaczenie, ona jednak uśmiechała się zadowolona. W końcu osiągnęła to upragnione. Och, z jakim triumfem będzie mogła jutro opowiedzieć przyjaciółkom! Jakie to wszystko wspaniałe, podniecające!

Znacznie mniej podniecające okazały się sprawy w parę tygodni później, kiedy z płaczem trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy. Henning przyjął wyznanie ze spokojem, po prostu będą musieli wziąć ślub wcześniej niż sądzili. Gorzej było z przyjaciółkami.

Utraciła je już tego samego dnia, kiedy z taką dumą opowiedziała im o podboju. Wyszło wtedy na jaw, że nie zamierzają się z nią dłużej zadawać. Wysłuchały jej szczegółowych opowiadań o pierwszym prawdziwym miłosnym spotkaniu, potem popatrzyły na nią wyniośle i odeszły. Panny z porządnych domów nie chciały mieć nic wspólnego z kobietą upadłą.

Najgorsze jednak było przyznanie się do wszystkiego rodzicom!

Odbył się cichy ślub. Ojciec panny wyglądał jak gradowa chmura, matka pochlipywała. Viljar i Belinda twarze mieli blade ze wstydu, Malin nie ukrywała zmartwienia. Nikt więcej na ślub nie przyszedł.

Anneli wprowadziła się do Lipowej Alei i teraz już nie uważała, że życie na wsi jest takie interesujące. Wciąż miała mdłości, prawie nie wstawała z łóżka, o żadnej pomocy z jej strony nie można było nawet myśleć, całymi dniami obnosiła ponurą i nieszczęśliwą minę.

Straciła śliczną dziewczęcą figurę i musiała słuchać złośliwych komentarzy Ulvara na temat, jak doszła do stanu, w którym się właśnie znalazła. Tłumaczył jej to drobiazgowo ze wszystkimi detałami i nieustannie wypominał, że urodzi bękarta. Gotowa była krzyczeć na sam widok Ulvara.

Malin, która miała zamiar wyjść tej jesieni za Pera, odłożyła ślub na jakiś czas, bo teraz w Lipowej Alei sytuacja wcale się nie poprawiła. Wprost przeciwnie, Malin była potrzebna, żeby łagodzić sytuację i stosunki pomiędzy poszczególnymi członkami rodziny.

Pewnego dnia Anneli uciekła do rodzicielskiego domu, ale nie znalazła tam zrozumienia. „Jak sobie kto pościeli, tak się wyśpi” — oświadczyli rodzice i pokazali jej drzwi. Pokój Anneli zajęli już dwaj jej bracia i dla dziewczyny po prostu nie było miejsca.

W Lipowej Alei wszyscy naprawdę starali się robić dla niej co tylko mogli. I teściowie, Viljar i Belinda, i oczywiście Henning, i Malin. Nawet Marco starał się jej ułatwiać życie.

Lecz Anneli nie dostrzegała ich życzliwości. Widziała tylko złośliwość Ulvara i uważała, że specjalnie się na nią uwziął. Akurat w tym było sporo racji. Nareszcie znalazł sobie ofiarę, którą mógł dręczyć i otwarcie, i po kryjomu, bo Anneli dawała się prowokować. Inni domownicy już dawno nauczyli się nie zwracać uwagi na jego zachowanie. Anneli jednak skarżyła się nie tylko na Ulvara. Ona skarżyła się na wszystko.

— To minie, Henning — tłumaczyła Belinda synowi. — Kobiety często są nieznośne, kiedy oczekują dziecka. Potem wszystko będzie dobrze.

— Mam nadzieję — odpowiadał Henning zmęczony. Zadręczał się, że tak się wszystko źle ułożyło. Całą winą obarczał siebie.

Rodzina zdołała jakoś przekonać Malin, że dadzą sobie radę sami w Lipowej Alei, a ona mogła w końcu zdecydować się na ślub z Perem. Należały im się też prawdziwe miodowe dni, mieli przez jakiś czas pomieszkać sami w swoim nowym domu, a chłopcy zostaną jeszcze trochę w Lipowej Alei.

Po długich wahaniach Malin przyjęła propozycję. Przecież bardzo chciała tego małżeństwa, a lata płyną nieubłaganie.

Malin i Per wzięli ślub wiosną roku 1872 w starym kościele Grastensholm, który teraz nazywał się inaczej, ale nadal był bardzo ładny. Przynajmniej połowa mieszkańców parafii przyszła na ten ślub, część zaproszono, a inni zjawili się sami z siebie, żeby popatrzeć. Większość zebranych chciała też obejrzeć jedenastoletniego chłopca siedzącego na chórze. Ktoś tak urodziwy po prostu nie może istnieć, szeptano. Ale przecież on był, siedział na chórze, śpiewał, widzieli go! Siedział u boku swego kuzyna, Henninga Linda z Ludzi Lodu, który niebawem miał przejąć Lipową Aleję. Rodzice chcieli już usunąć się w cień, synowi zostawić zarządzanie, bo, chociaż młody, udowodnił, że potrafi to robić. Miał też żonę, choć ona na ślub nie przyszła. Za miesiąc spodziewa się rozwiązania i nie czuje się dobrze. W ogóle często choruje.

Przyjechali rodzice Malin ze Szwecji. Niebywale wytworni i bardzo bogaci. Ale wrażenie sprawiali sympatyczne.

Christer i Magdalena doznali szoku, kiedy zobaczyli Ulvara. Znali go z opisów, ale nigdy by nie pomyśleli, że... Odnosili się jednak do niego przyjaźnie, traktowali chłopca dokładnie tak samo yak ślicznego Marca. Nic nie wskazywało na to, by Ulvar jakoś specjalnie sobie cenił ich obecność, ale przynajmniej zostawiał ich w spokoju.

Viljar Lind z Ludzi Lodu przyszedł, oczywiście, do kościoła wraz z żoną Belindą. Ona wyglądała na zdenerwowaną, ale przecież nigdy nie lubiła dużych zgromadzeń. Była jednak bardzo elegancka, wszyscy tak uważali, skromna, lecz prawdziwa dama.

Młoda para prezentowała się znakomicie! Oboje w najlepszym gatunku, można by powiedzieć. Malin udało się złagodzić surowe zachowanie gminnego urzędnika, pana Voldena. I bardzo dobrze! Panna młoda promieniała tego dnia jak słoneczko. Dobrze zbudowana, choć w żadnym razie nie tęga, może niezhyt ładna, ale naprawdę pociągająca. Tak, pociągająca, to najodpowiedniejsze słowo.

Kogoś jednak w kościele brakowało.

Bogu dzięki, myślała większość zgromadzonych. Z początku wszyscy lękliwe rozglądali się za Ulvarem z Ludzi Lodu. Ale, oczywiście, takie diabelskie nasienie nie przestąpi progu świątyni.

Tak więc w kościele panował spokój i szczęście. Tylko Marco czasami niespokojnie spoglądał na Henninga. Jakby miał nadzieję, że ceremonia rychło dobiegnie końca.

Niepokój Marca był tak niezwykły, że Henning zaczął się bać. Bardzo dobrze wiedział, o czym myśli chłopiec u jego boku.

Ulvar absolutnie odmówił pójścia do kościoła, choć Malin prosiła go szczególnie serdecznie i obiecywała, że będzie mógł wraz z innymi chłopcami siedzieć na chórze. Ale nie! On ma ważniejsze sprawy na głowie niż latać po kościołach nie wiadomo po co. W końcu musieli dać za wygraną, a bardzo ładny nowy garnitur został w szafie.

On zaś siedział skulony na wzgónu i patrzył w dół na idących do kościoła ludzi.

Cholerni idioci! zżymał się. Do diabła, co za cholerni idioci! Zgwałciłbym ich wszystkich, małych i dużych, nawet stare baby.

Że też Malin mogła się połakomić na tego zarozumialca, tego cholernego zadufka! Ale ona musi mieć cholernie źle w tym swoim łbie. Ona sama też jest głupia jak stołowa noga. Nie ma czego żałować!

To małżeństwo nie ma żadnej przyszłości. Ja powinienem...

Nagle oczy mu rozbłysły. Ja wam tu zaraz... Poczekajcie...

— Tak jest! To powinienem zrobić!

Zerwał się i pognał w dół przez las. Przeleciał jak strzała przez osadę, nie przejmując się krzyczącymi za nim ludźmi ani złymi psami.

Kiedy dotarł do kościelnego parkanu, wokół panowała cisza. Wszyscy znajdowali się wewnątrz, ceremonia ślubna była w toku.

Ulvar podszedł do otwartych bocznych drzwi...

W tym momencie gdy Per i Malin zostali sobie poślubieni, a proboszcz zakończył swoje piękne przemówienie, zaczął bić żałobny dzwon. Ciężkie, ponure zawodzenie niosło się nad okolicą i odbijało echem w kościele.

Malin i Per spoglądali na siebie, on blady jak ściana. Zebrani zamarli w szoku. Rodziny państwa młodych także. Jedynym, kto się poruszył, był Marco. W szalonym pędzie zbiegł z chóru.

Po chwili także Malin odzyskała zdolność działania.

— To Ulvar — powiedziała. — Chodźmy!

Ale Henning zatrzymał ją, tam gdzie stała w swoim pięknym ślubnym stroju.

— My się tym zajmiemy, Marco i ja. Wy zostańcie tutaj!

Viljar i Christer pobiegli także, a po chwili wahania również pastor i kilku innych gości weselnych.

Żałobny dzwon ciągnął swoją złowieszczą pieśń.

W drodze na dzwonnicę znaleźli leżącego dzwonnika. Trzymał się za głowę i zawodził żałośnie.

— To sam diabeł — jęczał.

— Niemożliwe — rzekł Viljar. — Diabeł w kościele?

— W każdym razie coś potwornego. Jakaś bestia!

Henning i Marco wbiegli już na górę. Henning wyrwał linę z rąk Ulvara i zatrzymał dzwon. Echo uderzeń jeszcze drżało mu w uszach.

— Ty chyba zwariowałeś, chłopcze? — zawołał do Ulvara ze złością. — Żeby zrobić coś takiego Malin, która zawsze okazywała ci tylko dobro! Naprawdę musisz zniszczyć nawet ten najpiękniejszy dzień w jej życiu?

Ulvar wykrzywił się w okropnym grymasie i chciał powiedzieć coś paskudnego, ale napotkał spojrzenie brata.

W oczach Marca nie było ani gniewu, ani nawet wymówki, mimo to Ulvar skulił się i syknąwszy: „Kompletni idioci!” do stojących przy nim, ruszył w dół popychając wszystkich po drodze tak, że musieli się trzymać poręczy, żeby nie spaść ze schodów. Zaraz potem roztrącił ludzi zgromadzonych w kruchcie, wybiegł z kościoła na cmentarz, przeskoczył przez mur i zniknął.

W kościele Malin stała z podniesianą głową.

— Nie zamierzam płakać w dniu mojego ślubu — powiedziała stanowczo. — I ty też nie płacz, Belindo! Musimy pamiętać, że chłopiec nic nie może na to poradzić.

A ojciec Malin dodał:

— Moja matka, Tula, także była dotknięta. Ale była to osoba czarująca. W młodości zawsze pragnąłem też być taki. Teraz jednak wdzięczny jestem losowi, że mi tego oszczędził. Ulvar musi mieć w sobie potwornie dużo zła. Malin ma rację, musimy być wgrozumiali.

Jego słowa podziałały uspokajająco. Ceremonia została zakończona godnie, a wkrótce zapomniano o całym epizodzie.

W sercach jednak zachowali pamięć tej makabrycznej chwili, kiedy podczas ślubu Malin zaczęły bić żałobne dzwony.

ROZDZIAŁ X

Zbyt wielu miodowych dni Malin i Per nie mieli. Zaledwie tydzień, ale za to bardzo przyjemny, przeżyli w swoim nowym domu, niewielkiej willi w pobliżu Lipowej Alei. Byli całkiem sami i mogli cieszyć się wzajemną bliskością.

Któregoś dnia, właśnie w tydzień od ślubu, Malin wybrała się z krótką wizytą do Lipowej Alei. Chciała zobaczyć, jak się czuje Anneli, która przecież wkrótce spodziewała się rozwiązania.

Na dziedzińcu spotkała Belindę.

Dowiedziała się, że Anneli miała niedawno przypływ niezwykłej energii i urządzała pokój dziecinny. Wszystko nagle zaczęło jej się wydawać cudownie podniecające i zabawne, koronki i riuszki, malutkie dziecięce kołderki, cieniutkie materłały i delikatne kolory. Anneli rozkwitła i pracowała radośnie. Henning promieniał i uważał, że życie znowu odzyskało wartość, bo przecież on przez cały czas darzył Anneli szczerym uczuciem.

Po kilku dniach jednak pokój był gotowy i Anneli na powrót zgasła, na powrót pogrążyła się w bolesnym w półczuciu dla swojego stanu, wciąż ją coś bolało, wszystko było męczące, nudne, złe, domownicy złośliwi, dręczyli ją i denerwowali.

Belinda była tozżalona, Malin wyczuwała to wyraźnie w jej głosie, choć robiła wszystko, żeby ukryć gorycz. Malin rozumiała ją aż za dobrze. Belinda miała jedno jedyne ukochane dziecko, i ten jej Henning był takim wspaniałym młodym człowiekiem. Jak to się stało, że synowa jest taka rozkapryszona i tak niczego nie rozumie? Belinda z niepokojem patrzyła w przyszłość.

— Nie denerwuj się — uspokajała ją Malin. — Anneli jest młoda. Kiedy przybędzie jej lat, z pewnością stanie się rozsądniejsza. Zobaczysz, że jeszcze będzie wzorową żoną i gospodynią!

Obie kuzynki weszły do domu.

Malin miała ochotę zobaczyć ów słynny dziecinny pokój. Wiedziała, gdzie się znajduje, więc skierowała się prosto tam.

Na schodach położono niedawno gruby dywan, który tłumił kroki. Nikt nie mógł słyszeć, kiedy wchodziła na górę.

Otworzyła drzwi do dziecinnego pokoju i zatrzymała się zdumiona, niczego nie rozumiejąc.

Pośrodku stał Ulvar. Był odwrócony tyłem, więc nie widział, że weszła.

W centrum pokoju znajdowało się paradnie przystrojone dziecinne łóżeczko. Cały pokój tonął w istnej orgii słodkich kolorów, kokardek, koronek i tiulu. Taka słodycz, że mogło zemdlić. I w tym wszystkim zachowanie Ulvara, w którym naprawdę nie było słodyczy. Trzymał w ręku dużą igłę do cerowania i jak wściekły nakłuwał łóżeczko. Z jakąś trudną do pojęcia nienawiścią, jak mały diabeł. Wbijał i wbijał igłę w wyimaginowane niemowlę...

Malin musiała na moment zamknąć oczy, żeby się opanować. Z obrzydzenia i przerażenia żołądek podchodził jej do gardła, czuła, że za chwilę zwymiotuje.

— Ulvar — powiedziała bezbarwnym głosem.

Podskoczył jak oparzony i wlepił w nią oczy. Przez moment wydawało jej się, że położył uszy po sobie, choć przecież nie widziała uszu pod tymi jego potarganymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami.

— Dlaczego, do cholery, mnie straszysz? — syknął. — Zwariowałaś, czy co?

— Nie, to nie ja zwariowałam — odparła spokojnie. — Ale nadszedł właśnie czas, byś przeprowadził się do nas, do Pera i do mnie. Natychmiast!

— Marco też!

— Oczywiście, Marco też.

Za nic na świecie nie odważyłaby się wziąć samego Ulvara do swojego domu bez łagodzącego jego wybryki brata. Dzięki ci, Boże, za Marca!

Choć może w tym przypadku nie akurat Bogu należała się wdzięczność?

Odnalazła Belindę w kuchni i, z trudem zachowując spokój, poinformowała ją, że zabiera chłopców. Nie mogła nie zauważyć ulgi w zmęczonym wzroku przyjaciółki.

— Jest tak, jak mówię, Belindo — rzekła łagodnie. — Kiedy już Anneli urodzi dziecko, wszystko będzie prostsze. Później będziecie mogli nareszcie mieć trochę spakoju, wszyscy w Lipowej Alei, i Bóg świadkiem, że się wam to należy!

Ale nie było żadnego później, w każdym razie dla Anneli.

Anneii bowiem wydała na świat obciążoną dziewczynkę i zmarła zaledwie kilka minut później.

I znowu Henning musiał przeżyć tragedię. Jedenaście lat po śmierci Sagi Anneli, jego żona, oddała ducha w ramionach męża; obie zmarły w następstwie przekleństwa ciążącego na Ludziach Lodu.

Viljar i Belinda nie znajdowali słów pociechy, byli tak samo sparaliżowani szokiem, tak samo oniemiali jak on. Jak długo czarne chmury wisieć będą nad Ludźmi Lodu? Viljar był jednym z tych, którym dane były zaledwie krótkie momenty szczęścia. Raz po raz los uderzał boleśnie w niego i jego bliskich. Jakiż to ból patrzeć na ukochanego syna, wdowca w tak młodym wieku, z tym kanciastym niemowlęciem w ramionach! Ból większy niż człowiek jest w stanie znieść.

Malin i Per także byli porażeni kolejną tragedią. Czy nie wystarczy, że muszą się zmagać z Ulvarem? Muszą mieć jeszcze jedną istotę tego samego rodzaju?

Wyglądało jednak na to, że maleństwo jest inne. Kiedy dokładnie się przyjrzeli córeczce Henninga, której dano na imię Benedikte, uznali, że, Bogu dzięki, ma ona niewiele wspólnego z Ulvarem!

Miała żółte oczy, wystające kości policzkowe i sterczące włosy, czarne jak noc. Kanciaste, niezdarne kształty również. Na tym jednak kończyły się podobieństwa. Benedikte była dziewczynką niezwykle mocnej budowy. W jej dziecięcej buzi wyczytać można było ogromną siłę i wielki spokój. Ładna nigdy chyba nie będzie, lecz nie było niczego złego w jej oczach, takich typowych dla Ludzi Lodu, które już po kilku miesiącach patrzyły spokojnie i stanowczo na świat.

Dodatkowym obciążeniem dla Henninga było to, że rodzice Anneli nie chcieli uznać Benedikte jako wnuczki. Widzieli dziewczynkę tylko raz i odwrócili się od niej z niesmakiem. Przyczyną ich powściągliwości był też w znacznej mierze fakt, że Anneli umarła przy porodzie. Rodzina z Lipowej Alei usłyszała bez żadnych ogródek, do jakich to satanistycznych kręgów należy. Jakby Ludzie Lodu byli kiedykolwiek satanistami! Nigdy, z wyjątkiem może niektórych obciążonych dziedzictwem, nikt z nich nie służył Złemu, w każdym razie nie w taki sposób, w jaki czynią to sataniści. Może Sol była temu najbliższa, lecz przecież i ona spotykała swego Księcia Ciemności jedynie w stanie narkotycznego odurzenia. Jej kochanek nigdy nie był rzeczywistą istotą. Dla Ludzi Lodu bowiem istniała tylko jedna zła siła. A był nią Tengel Zły. I był on dla nich dużo gorszy i dużo bardziej rzeczywisty niż jakikolwiek wymyślony władca piekieł.

W Lipowej Alei maleńka istotka otrzymywała tyle miłości, ile dziecko potrzebuje. Wszyscy tak delikatnie pielęgnowali jej zniekształcone ciałko, przemawiali tak łagodnie. Belinda kochała ją czule i dbała o nią z jastrzębią wprost czujnością. A miłość będzie Benedikte w życiu potrzebna, to rozumieli wszyscy. Bo wiele wskazywało na to, że nie będzie jej lekko, nie trzeba było żadnej magicznej wiedzy, żeby sobie to uświadomić.

Henning mógł godzinami stać z córeczką w ramionach i kołysać ją z policzkiem przytulonym do dziecięcej buzi; odczuwał wtedy niewiarygodne oddanie, a także dojmujący smutek. Kochał Anneli do ostatniej chwili jej życia mimo okropnych humorów żony i coraz większej do niego niechęci. Teraz zdecydowany był zrobić wszystko, co tylko możliwe, by jego i Anneli córka mogła jak najgodniej przejść przez życie.

Ale odczuwał lęk. W skrytości ducha śmiertelnie się bał. Benedikte teraz zdawała się nikomu nie zagrażać, w żaden sposób nie była niebezpieczna. Ale to przecież jeszcze niemowlę. Nie wiadomo było, w jakim kierunku pójdzie jej rozwój, mogła w duszy nosić więcej zła niż Ulvar lub na przykład Solve, który przecież z początku był dzieckiem tak obiecującym, a dopiero potem ujawnił się w nim charakter potwora. Henning modlił się żariiwie, by jego córka uniknęła podobnego losu.

Na szczęście rodzina Anneli przeprowadziła się na powrót do Christianii. Wielką ulgą był fakt, że nie rozsiewali już po parafii głupich plotek o rodzinie z Lipowej Alei i o diabelskich sztuczkach, jakimi się rzekomo Ludzie Lodu zajmują.

W pewnym sensie Viljar i jego rodzina żyli nareszcie w spokoju. Nieposłuszny Ulvar już z nimi nie mieszkał, choć zaglądał do Lipowej Alei w każdej wolnej chwili. Wtedy wszyscy bardzo uważali, by ani na moment nie został sam z Benedikte. Nic też nie wskazywało, by on się w ogóle dzieckiem interesował. Coś innego zajmowało teraz jego wyobraźnię, to było widoczne, lecz nikt nie domyślał się nawet, co to takiego.

Marco także tu zaglądał po szkole prawie każdego dnia. Bo on i Henning byli najlepszymi przyjaciółmi na świecie, poza tym Marco chętnie odwiedzał malutką. I ona była do niego przywiązana, rozpromieniała się i śmiała bezzębną buzią, gdy tylko wchodził.

Gospodarstwo także rozwijało się nieźle i właściwie wszystko by było dobrze, gdyby tylko Henning nie był taki przygnębiony, jakby stale nieobecny, taki samotny. Jakby coś w nim zgasło, a stało się to jeszcze za życia Anneli. Viljar i Belinda zdawali sobie sprawę z tego, że ciągłe narzekania i kłótnie młodej żony bardziej szarpie mu nerwy, niż chciałby pokazać. Anneli go nie akceptowała i to był zbyt bolesny cios. Chyba nie ma na tym świecie dobra, życzliwości i przyjaźni, myślał przygnębiony. Ale gdzie popełnił błąd?

Dramat polegał na tym, że akurat on żadnego błędu nie popełnił. Zakochał się po prostu w niewłaściwej kobiecie. Bo prawdą jest, że ładna twarz to nie wszystko. I to Anneli nie dorosła do swojej roli, lecz Henning całą winę brał na siebie.

W roku 1874 urodził się syn Malin i Pera, Christoffer Volden z Ludzi Lodu. Bo w Norwegii rodzina nadal mogła używać nazwiska Ludzie Lodu. Imię malec otrzymał po dziadku Christerze i wszyscy byli z niego niezmiernie dumni.

Dwa ostatnie lata, kiedy Malin i Per mieli u siebie Marca i Ulvara, upłynęły nadspodziewanie spokojnie. Rodzina mieszkała w swojej małej willi i pod względem ekonomicznym także powodziło im się nieźle. Per miał solidną posadę w gminie, Malin także nie była bez własnych środków. Rzadko zdarzał się dzień, by ktoś z rodziny nie odwiedzał Lipowej Alei. Przyjaźnili się ze sobą serdecznie, Marco był świetnym uczniem w szkole, a Ulvar...

No właśnie, Ulvar! Malin nie bardzo rozumiała tego chłopca. Nadal był złośliwy i dokuczliwy, wybuchał tym swoim potwornym śmiechem, kiedy mógł komuś zrobić na złość, ale mimo to był dużo bardziej powściągliwy w swoim nowym domu. Przeważnie jego wybryki kończgły się na pogróżkach, których od dawna już nikt się nie bał.

Początkowo Malin myślała, że to Marco trzyma brata w cuglach. Wkrótce jednak zaczęła się domyślać, że to coś innego, coś, co tkwi w nim samym, w jego duszy.

On coś knuje. Ma jakieś tajemnice.

I dlatego dom i rodzina przestały mieć dla niego znaczenie. Wszyscy oni są mu obojętni, więc pozwala im żyć w spokoju.

Kiedy urodził się mały Christoffer, Malin zaczęła się śmiertelnie bać. Per także, wiedziała o tym. Gdy miała po raz pierwszy pokazać Ulvarowi dziecko, ręce trzęsły jej się tak, że musiała oddać synka Perowi.

Ulvar popatrzył na noworodka bez zainteresowania.

— Paskudztwo — powiedział tylko. — Zwyczajne gówno, nie ma się nad czym roztkliwiać!

I poszedł sobie.

Bardzo dużo przebywał poza domem. Często chodził do Lipowej Alei, gdzie Henning natychmiast zaganiał go do jakiejś pracy. Ulvar stroił grymasy, pyskował, ale słuchał. Robił, co do niego należało, i natychmiast potem szedł swoją drogą, w górę do lasu. I tam spędzał niemal całe dnle.

Ostatnio jednak zdumiewająco dużo czasu spędzał w Lipowej Alei. Znikał gdzieś po zajęciach w gospodarstwie i nikt nie wiedział, co rabi. Bo da lasu przestał chodzić. Po południu skądś się znowu wyłaniał, jakby tu był przez cały czas, i wlókł się do domu. Miał wtedy na ogół ohydny uśmiech na wargach.

Malin przez pierwsze miesiące po urodzeniu synka nie odważyła się ani na chwilę spuścić z niego oka. Zarówno wtedy, gdy Ulvar był w domu, jak i wtedy, gdy znikał, nieustannie pilnowała maleństwa, bo nie dowierzała swemu wychowankowi.

Aż do dnia, kiedy musiała pobiec do sklepu, a Christoffer akurat zasnął. Nie chciała go budzuć, przecież za chwileczkę wróci.

Per był w gminie, Marco w szkole, a Ulvara nigdzie nie widziała od kilku godzin.

Malin pobiegła, choć serce podchodziło jej do gardła. Nie pokonała jeszcze nawet poławy drogi, gdy strach okazał się silniejszy i zawróciła. Trudno, to nie upiecze chleba, niech tam, ale nie będzie narażać życia dziecka.

Chłopczyk miał wtedy jakieś pół roku i nigdy do tej pory Malin nie zostawiła go samego ani na moment. I teraz także nie powinna była tego robić.

Dom pogrążony był w ciszy, gdy wróciła. Na palcach poszła do sypialni. Przy drzwiach usłyszała jakieś ciche warczenie. Serce zatrzepotało jej w piersiach. O mój Boże, myślała, o mój Boże, co ja zrobiłam?

Nie miała odwagi zajrzeć do środka, musiała sobie to nakazać całą siłą woli. Czuła w piersi nieznośny ból.

Uchyliła drzwi. Warczenie przybrało na sile.

Malin czuła, że zaraz zemdleje.

W pokoju znajdował się szary wilk. Ale siedział przydziecinnym łóżeczku, a warczał w stronę drzwi i skradającej się Malin.

Kiedy zobaczył, że to ona wróciła, cofnął się w stronę otwartego okna i wyskoczył na dwór.

Malin na uginających się nogach podeszła do łóżeczka i ostrożnie pochyliła się nad posłaniem. Christoffer spał spokojnie, oddychał równo, nie zauważył niczego.

Długo stała przy nim zatopiona w myślach, a kiedy ciało odzyskało już spokój, podeszła do okna i szepnęła:

— Wróć! Ja teraz wyjdę. Czy mógłbyś popilnować mojego najdroższego skarbu?

Wyszła z pokoju i przez dłuższy czas czekała w kuchni. Zanim wyruszyła do sklepu, zajrzała jeszcze przez szparę w drzwiach.

Potężna bestia była na miejscu.

Tego popałudnia upiekła wielki placek dla męża i chłopców. A kiedy Ulvar wcócił do domu, uściskała go serdecznie.

— Dziękuję — szepnęła. — Dziękuję ci, kochany.

Szarpnął się i zaczął wykrzykiwać jakieś obraźliwe słowa, coś w rodzaju: „Odczep się ode mnie, babo! Co, taka jesteś spragnioraa chłopa, że na mnie się rzucasz?” Ale placka zjadł prawie połowę.

Malin uważała, że zasłużył na to.

Mały Christoffer rozwijał się bardzo dobrze i wkrótce zaczął chodzić. Dla Malin była to znaczna ulga, bo mogła go mieć przez cały czas przy sobie, choć, rzecz jasna, opiekowanie się takim żywym dzieckiem wymagało stałej uwagi.

Pewnego popołudnia przerwała na chwilę domową pracę i zaczęła nasłuchiwać. Wprost nie mogła uwierzyć własnym uszom. Ale to była prawda. Szemrzące cicho głosy z pokoju chłopców mogły oznaczać tylko jedno: Marco uczył Ulvara czytać!

Ulvara, który konsekwentnie odmawiał uczenia się czegoś tak niemęskiego! Teraz siedział skupiony i wchłaniał przekazywaną mu przez Marca wiedzę.

Od tej pory lekcje trwały regularnie. Każdego wieczora siedzieli w swoim pokoju i pracowali. Marco z anielską cierpliwością, Ulvar w diabelskim napięciu.

Na Boga, co to może znaczyć? Czy ten dzikus postanowił się ucywilizować?

Nie, tak dobrze nie było. Ulvar co innego miał na myśli, kiedy tak się trudził nad książkami, niż to, żeby stać się człowiekiem cywilizowanym. Ulvar dokonał mianowicie pewnego odkrycia. Uświadomił sobie, że był potwornie głupi, kiedy nie chciał chodzić do szkoły. Z tego powodu przez wiele lat nie dostrzegał czegoś całkiem oczywistego i tracił fantastyczną okazję. Panie Boże, jakim on był idiotą! Nie znajdował dość ostrych słów dla określenia własnej głupoty. Bowiem on, który przez cały czas wiedział, że istnieje jakiś skarb Ludzi Lodu, on, który słyszał, jak Malin opowiadała tyle wspaniałych rzeczy o przodkach rodu wtedy na cmentarzu, on nigdy nie wpadł na oczywisty przecież pomysł, że historia Ludzi Lodu musiała zostać spisana! Że spisywano ją, by następne pokolenia mogły poznać dzieje przodków.

A taka właśnie historia była, znajdowała się przez cały czas w zasięgu ręki.

No, może to akurat przesada, nie tak znowu łatwo było ją po prostu wziąć. Ale on przekopał przecież dom w Lipowej Alei od fundamentów po dach i wielokrotnie widywał grube księgi pełne bezsensownych, jego zdaniem, znaków, zamknięte na klucz w sypialni Viljara i Belindy. Zamknięcie na klucz nie stanowiło dla Ulvara przeszkody. Pojąć po prostu nie mógł, dlaczego zamyka się w szafie te szpargały, w których zbiera się tyle kurzu.

Dopiero stosunkowo niedawno przyszło mu do głowy, co to może być. Wtedy wyniósł po kryjomu jedno opasłe tomisko i ukrył się z nim w piwnicy, przy okienku, przez które wpadało światło, i próbował coś z tego zrozumieć. Jakkolwiek jednak natężał umysł, niczego, oczywiście, nie pojmował. Próbował się domyślać, co poszczególne litery oznaczają, porównywał je ze sobą, ale jedyną literą, jakiej się kiedykolwiek nauczył, było „U”, pierwsza litera imienia Ulvar. Zresztą też nie doszedł do tego z własnej inicjatywy, po prostu Marco mu pokazał.

Długo się z tym wszystkim szamotał. To właśnie w tym czasie tyle przesiadywał w Lipowej Alei. W końcu jednak dał za wygraną. Uznał, że musi szukać pomocy.

No i, oczywiście, Marco pomógł mu bardzo chętnie, uradowany, że brat wykazuje zainteresowanie dla szkolnej pracy. Dziwiło go tylko, że Ulvar bardziej interesuje się pismem ręcznym niż drukiem, ale w końcu co to ma za znaczenie, a przy okazji nauczy się też pisać, więc właściwie będzie dodatkowa korzyść.

Ulvar starał się bardzo. Mozolnie wypisywał literkę po literce, kurczowo trzymał pióro w niezdarnych palcach i robił mnóstwo kleksów. Przeklinał i wymyślał, co chwila tracił cierpliwość i rzucał wszystko w kąt, ale wracał następnego dnia, zdecydowany zaczynać od początku.

W jakiś czas potem znowu zdumiał Marca. Bo te litery, których się nauczył, nie wystarczały mu. To znaczy, oczywiście, uważał je za potrzebne, ale było mu tego za mało. Dlaczego? zastanawiał się Marco.

Ulvar nie zamierzał powiedzieć otwarcie, o co mu chodzi, ale po długich i denerwujących dyskusjach Marco domyślił się nareszcie, czego bratu potrzeba. Oprócz nowoczesnego alfabetu istniało przecież stare pismo gotyckie.

Wtedy Marco powinien był zrozumieć, do czego to wszystko zmierza. Ale Marco był chłopcem zbyt prostolinijnym i ufnym. On się po prostu tylko cieszył, że brat wykazuje takie intelektualne zainteresowania. Jeśli o to chodzi, nigdy specjalnie swoich bliskich nie rozpieszczał. Zatem Marco uczył, a Ulvar pobierał nauki. Powoli i mozolnie. Zabrało to dużo czasu, ale czytać się nauczył. Zawsze trudniej jest nadrabiać zaległości komuś, kto wyrósł już z wieku szkolnego.

Ulvar był zadowolony. Teraz jest gotów! Nauczył się czytać i zdobędzie potrzebną mu wiedzę. Czas nadszedł.

Wymknął się z domu wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze spali. Co prawda z sypialni Malin dochodziło gaworzenie jej synka, ale dziecko miało zaledwie rok i było całkowicie nieszkodliwe. Ulvar szedł zdecydowanym krokiem dalej, do Lipowej Alei.

Również tam panował spokój. Nawet trzyletnia córeczka Henninga jeszcze się nie obudziła. Ulvar nie interesował się takimi smarkaczami, nigdy się do nich nie odzywał, udawał, że ich w ogóle nie dostrzega. Nie, czekają na niego ważniejsze sprawy.

Znał dom w Lipowej Alei jak własną kieszeń, bez kłopotów więc otworzył drzwi do piwnicy. Ukrył się w swoim tajemniczym kącie przy okienku i wyjął ukrytą tam wcześniej najstarszą księgę. Nie odważył się przynieść ich tu więcej niż jedną. W końcu nie wiadomo, czy Viljarowi albo Belindzie nie przyjdzie do głowy zajrzeć do zamykanej na klucz szafy.

Otworzył księgę. Napisał ją Mikael Lind z Ludzi Lodu, ale o tym Ulvar nie wiedział. Pismo było stare i teraz bardzo już niewyraźne, zaczęto przecież te księgi spisywać w siedemnastym wieku. Ulvar nie miał, rzecz jasna, pojęcia o najstarszej ze wszystkich, o dzienniku Silje. Był to tak drogocenny zabytek, że przechowywano go razem ze skarbem.

Niczym najczystszy ton płynący ze strun harfy dotarła do moich uszu opowieść o Ludziach Lodu — czytał Ulvar.

Potem uniósł głowę.

— Ja umiem! — szepnął triumfalnie. — Potrafię czytać! Teraz dowiem się wszystkiego!

Nie szło to, niestety, tak szybko. A cierpliwość nigdy nie była cnotą Ulvara. Teraz jednak przechodził samego siebie, nie odkładał księgi, dopóki nie wyjaśnił sobie znaczenia każdego słowa, każdej literki. Pierwszego dnia zdołał odczytać zaledwie kilka stron. Mimo to nie zamierzał dać za wygraną, mowy nie było, żeby zrezygnować!

Nigdy w życiu! Odmówili mu prawa do poznania historii Ludzi Lodu, bali się, by nie wiedział za dużo. Ale Ulvar zawsze wygrywa, myślał sam o sobie. Teraz dostaną za swoje!

Wiele, wiele miesięcy później Malin siedziała przy stolew swojej jadalni i nalewała niedzielną zupę domownikom. Coś ją wyraźnie trapiło.

— Czym on się zajmuje, Per? Doszło już do tego, że nawet w niedzielę znika z domu. Tak dłużej nie można. Przez większość dni w tygodniu wychodzi wcześnie rano i wraca dopiero na obiad. Co on robi?

— Na razie nikt nam nie donosi, że dzieje się coś złego — odpowiedział jej mąż, pomagając pokroić mięso swemu czteroletniemu synkowi. — Myślę, że dopóki tak jest, możemy go zostawić w spokoju.

Malin nie była zadowolona.

— W te dni, kiedy Henning nie ma dla niego żadnego zajęcia, znika i nie pokazuje się całymi godzinami. I nikt go nie widzi. A jak go czasem ktoś z Lipowej Alei zobaczy, to na ogół wtedy, kiedy wraca do domu.

— Może jak dawniej chodzi do lasu? A o ile wiemy, zwierzętom krzywdy nie robi, więc nie przejmuj się nim, Malin. Dla ciebie to w końcu lepiej, kiedy go nie ma w domu.

— Tak, tak, pewnie masz rację... Śledzić go nie można. Ja kiedyś próbowałam, ale wściekał się okropnie, gdy mnie odkrył. Poważnie się wtedy wystraszyłam. Wiesz, ja myślę, że powinniśmy pojechać z wizytą do Szwecji. Moi rodzice zaczynają się już starzeć, a dla Ulvara byłoby dobrze, gdyby na jakiś czas stąd wyjechał.

— Dobrze, pojedziemy na wiosnę — obiecal Per. — Ale nie mogę twierdzić, że cieszy mnie perspektywa podróży z Ulvarem. To będzie chyba bardzo męcząca wyprawa.

Umilkli, bo wszedł Marco. Kiedy ten chłopiec się pojawiał, pokój jakby napełniał się blaskiem. Był teraz w wieku przejściowym od dziecka do młodzieńca i Malin uświadomiła sobie nagle, że bardzo się cieszy, iż jest szczęśliwą małżonką i należy do innego pokolenia niż Marco. Być teraz młodą dziewczyną w jego wieku to chyba beznadziejna sprawa. Było w nim coś tak promiennego i pociągającego, że dziewczęta chciały pewnie żyć tylko po to, by go jeszcze raz zobaczyć. A coś takiego bardzo działa na nerwy i okropnie męczy.

Nie zapytała Marca o Ulvara. Wiedziała, że to bez sensu. Odpowiedź zawsze byla taka sama, uprzejmie wymijająca: „Nie wiem. Czyż jestem stróżem brata mego?”

Nie rozumiała tego. Pod wieloma względami bracia byli sobie tak bliscy, że wiedzieli wszystko o sobie. Niedawno jednak Marco powiedział coś, co mogło stanowić wyjaśnienie tej sprawy. „On spuścił zasłonę” — powiedział tylko. Nic więcej. Malin pojmowała to w ten sposób, że chłopców dzieli teraz jakaś przepaść i że obaj starają się wykorzystać możliwość uwolnienia się od siebie nawzajem. Zasunęli zasłony, tak by ten drugi nie mógł wszystkiego wiedzieć. Być może to było głupie tłumaczenie, ale nie umiała wymyślić nic innego.

Podróż do Szwecji rzeczywiście była męcząca. Ulvar od początku był wściekły, że musi jechać, i wyszukiwał tysiące powodów, by zostać w domu. Ale właśnie ten upór przekonywał ich, że powinni go stąd zabrać przynajmniej na jakiś czas.

To Marco trzymał go w ryzach podczas całego pobytu w Szwecji. Gdyby nie on, cała ta wizyta stałaby się prawdziwą katastrofą, bo Ulvar był nieustannie w szatańskim humorze i robił wszystko, by zepsuć nastrój. Dopiero poważna rozmowa z bratem sprawiła, że Ulvar zaczął odrobinę powściągać swoje pomysły i druga część wizyty przebiegała już spokojniej.

Christer i Magdalena uwielbiali swojego wnuka Christoffera, a na odjezdnym obaj bliźniacy dostali po sporej sumie pieniędzy. Ulvar bardzo się z tego ucieszył.

W drodze powrotnej niecierpliwił się tak bardzo, że stał się prawdziwą udręką. Nie wiedzieli, że dotarł w swojej lekturze do bardzo podniecających wydarzeń z historii Ludzi Lodu i że przerwał mu to właśnie wyjazd do Szwecji. Aż płonął z niecierpliwości, żeby się dowiedzieć, co było dalej.

Kiedy Malin powiedziała, że zostaną jeszcze na kilka dni w Christianii, żeby odwiedzić znajomych, oświadczył, że wraca sam do domu. Cel był już tak blisko, nie chciał czekać ani chwili dłużej.

— Wy możecie sobie zostać — powiedział cierpko. — Mnie ci ludzie nic a nic nie obchodzą, ja chcę wracać do domu!

Nawet Marco nie potrafił go zatrzymać.

— Rób, co chcesz — westchnęła w końcu Malin. — Wiesz, gdzie są klucze. I... Dziękuję ci za to, że byłeś taki sympatyczny po drodze!

Sympatyczny? Co za idiotyczne określenie! Tfu! Rzygać się chce! Ulvar wykrzywił się okropnie, ale nie miał dla nich już więcej czasu.

Chciał pojechać do domu pociągiem. Nowa linia łącząca Christianię i Drammen bardzo pociągała takich chłopców jak on przede wszystkim szybkością jazdy. Naturalnie rodzinie o niczym takim nie powiedział, bo by mu nie pozwolili. Rodzina podróżowała powozem i Ulvar był, praktycznie biorąc, niewidoczny dla innych ludzi. Teraz miał podróżować na własną rękę i korzystać z publicznych środków lokomocji.

Nie przejmował się w najmniejszym stopniu przerażonymi spojrzeniami ani zainteresowaniem, jakie wzbudzał na stacji i w pociągu. Wprost przeciwnie, cieszyło go, gdy widział dzieci i dorosłych, uskakujących na jego widok. Czuł się dumny i ważny. W całej Skandynawii nie było drugiego takiego jak on, tego był pewien.

Jazda koleją bardzo mu się spodobała. Stał na platformie, na samym końcu pociągu, i patrzył na umykające szyny. Dawało mu to jakieś oszałamiające uczucie, jakby władał całym światem. Śmiał się głośno, a wiatr rozwiewał mu włosy na wszystkie strony. Nie przejmował się tym, że twarz miał groteskowo czarną od węglowego pyłu. Niedługo skończy osiemnaście lat i jest oto w drodze do domu, by zgłębić do końca tajemnice Ludzi Lodu. To była dla niego sprawa najważniejsza.

Przyszedł konduktor, żeby przeciąć jego bilet. Ulvar nie kupił żadnego biletu i teraz także nie zamierzał tego zrobić. Pchnął więc konduktora z całej siły, tak że ten wyleciał poza barierkę, a sam poszedł na drugi koniec pociągu, gdzie też była platforma. Wyglądał makabrycznie, mały i pokraczny, umazany na czarno, z potarganymi włosami wokół twarzy jak nie z tego świata. Podróżni w lęku kulili się na ławkach.

Był teraz niedaleko od domu. Kiedy więc na jakimś zakręcie pociąg zwolnił biegu, Ulvar wyskoczył. Sturlał się z torowiska i przez las udał się do Lipowej Alei.

Konduktor przeżył upadek, lecz umiał opowiedzieć jedynie, że ten, który go wypchnął, był diabtem. Tak się przeraził, kiedy zobaczył tę istotę na platformie, że ledwo się odważył poprosić o bilet. W żadnym razie nie powinien był tego zrobić, mówił teraz, patrząc na swoje poturbowane ciało, powiązane bandażami, złożone na szpitalnym łóżku.

Ponieważ nikt z pasażerów Ulvara nie znał i ponieważ on po wyrzuceniu konduktora zniknął bez śladu, musieli przyznać konduktorowi rację: Owa straszna zjawa w pociągu chyba nie była z tego świata. Sprawę dyskretnie odłożono do archiwów.

Ulvar siedział w piwnicy w Lipowej Alei z jedną z ksiąg na kolanach. Wciąż jeszcze nie doszedł do końca historii Ludzi Lodu, ale był właśnie w bardzo ważnym punkcie.

Aha, myślał. Aha, aha, to oni się tego bali! To tego ja, ja, Ulvar silny i nieustraszony, miałem się nigdy nie dowiedzieć!

Czytał te księgi przez długie miesiące, które już teraz zaczynały się układać w lata, gniew szarpał nim w dni, kiedy nie mógł czytać, nie mógł się dostać do piwnicy, bo nie zawsze ta część domu wolna była od ludzkich spojrzeń. Wcale też niełatwą sprawą była wymiana książek, odłożenie do szafy przeczytanego tomu i wykradzenie kolejnego. Wymagało to czasu i cierpliwości. Całe morze czasu! Wiele razy podczas lektury zaciskał zęby ze złości, co oni przed nim ukrywali. Z wytrzeszczonymi oczyma czytał o Tengelu Złym i o skarbie, który nadal był dla niego niedostępny, i o śmiesznych próbach tych obciążonych, którzy podejmowali walkę ze złym przodkiem. Jak oni mogli?

Ale to ostatnie, to, co znalazł teraz, to przekracza wszystko!

Żaden dotknięty z Ludzi Lodu nie powinien nigdy brać do ręki fletu. Nikt z Ludzi Lodu nie powinien tego robić, ale przede wszystkim dotknięci. Bo pewna melodia zaczarowanego fletu jest tym dźwiękiem, który może wywołać Tengela Złego, wyrwać go z letargu i sprawić, że przejmie władzę nad światem. A wtedy biada światu!

Księga opadła na kolana, lecz Ulvar tego nie zauważył.

— No, to nareszcie wiemy! — szepnął z goryczą. — Tengelu Zły! Znalazłeś swojego człowieka!

Wtem drgnął. Cóż to za dźwięk? A może to tylko wyobrażenie? Coś w nim szumiało i zgrzytało. Coś pod nim drżało złowieszczo, jakby stłumione trzęsienie ziemi. A gdzieś w głębi głowy, albo może na zewnątrz, nie byłby w stanie powiedzieć, rozrastał się coraz trudniejszy do zniesienia zawodzący ton, jak echo wycia wichru.

Ulvar siedział bez ruchu z policzkami płonącymi ze strachu.

Powoli jednak zaczynała go przepełniać szalona duma. On, on został wybrany przez ich wielkiego przodka, by dokonać wielkiego czynu. Wyzwolić Tengela Złego!

Zerwał się na równe nogi, o mało nie zapomniał odłożyć księgi na miejsce, ale opanował się i udało mu się wślizgnąć po kryjomu do sypialni tak, żeby go nikt nie zauważył. Zostały do końca jeszcze trzy tomy, ale niech sobie stoją, mogą poczekać. Teraz Ulvar wiedział, co robić, poznał zadanie, jakie ma do spełnienia.

Biegł do domu, a jednocześnie nie opuszczały go wątptiwości:

Flet, zaczarowany flet. Skąd wziąć coś takiego? A poza tym zaczarowany? Co to znaczy? Istniało pewnie wiele sposobów zaklinania fletów?

W ogóle nie bardzo wiedział, jak flet wygląda. Teraz zrozumiał, że wszyscy w rodzinie milczeli na temat tego instrumentu właśnie ze wzgiędu na niego.

Ci cholerni idioci! Próbowali go oszukać! Ale pożałują tego!

Bo teraz jesteśmy silni, Tengel Zły i ja, jego najlepszy wasal!

ROZDZIAŁ XI

O, tak, Tengel Zły znalazł odpowiednie dla siebie narzędzie!

Tej nocy Ulvar miał okropny sen. Siedział w jakimś bagnie czy też w kloace pełnej najobrzydliwszych ekskrementów. Maź oblepiała jego ciało, chciał wyciągnąć w górę ręce, ale z palców spływały gęste strugi cieczy, które jakby wiązały go z tym gnojem.

Krzyczał głucho z przerażenia, bo za nim posuwała się jakaś wyjątkowo paskudna istota. Bez trudu poruszała się w gnoju i zdecydowanie zbliżała się od tyłu do Ulvara.

A on walczył, żeby uciec, poruszał z trudem omdlewającymi rękami, serce tłukło, jakby chciało się wyrwać z piersi i...

— Ulvar! Ulvar!

Ktoś szarpał go za ramię, chcąc go obudzić.

Otworzył oczy i spojrzał w zmartwioną twarz brata.

— Ulvar, dlaczego krzyczysz tak strasznie?

Ulvar wpadł w złość.

— Nie mieszaj się w nie swoje sprawy — syknął, ale czuł, że jego ciało spływa potem, a pościel jest cała mokra.

— Chciałem cię tylko wyrwać z koszmaru.

Ulvar wstał, żeby zmienić bieliznę. Odwrócił się do Marca plecami, nie chciał z nim rozmawiać.

Bo teraz domyślał się, kim był ten, który płynął za nim. To musiał być Tengel Zły! Może chciał powiedzieć Ulvarowi coś ważnego? I wtedy ten głupi, ten świętoszek...

Stał z prześcieradłem w ręce.

Zatem musiało chyba być tak, że on, Ulvar, spodobał się Tengelowi Złemu. Mogło być tak, że on sam został wybrany przez złego przodka i ma wypełnić dla niego wielkie zadanie. Jedno jest pewne: Tengel Zły jest straszliwytn sojusznikiem. Potwór, którego słowo ludzkie opisać nie zdoła.

Ulvar poczuł, że zimny pot spływa mu strumieniem wzdłuż kręgosłupa i mimo woli gwałtownie zadrżał, nie był w stanie tego opanować.

Od tego dnia Ulvar był jak odmieniony.

Oczywiście przedtem był też niebywale kłopotliwy, a nawet w różnych sytuacjach niebezpieczny. Ale przeważnie było to gadanie, puste pogróżki. Teraz jednak stał się nieobliczalny. Dały o sobie znać wszystkie najgorsze cechy dotkniętego, którymi był obciążony.

Dostatecznie dużo już naczytał się o historii Ludzi Lodu, nie chciał tracić na to więcej czasu. To, że nie przeczytał rozdziału o szarym ludku, nie miało znaczenia, bo Heike i Vinga nie opisali rytuału wywoływania duchów ani nie zapisali odpowiednich formułek, więc i tak niczego by się nie nauczył. Nie mógł też dostać się do skarbu, bo go nie było w Lipowej Alei ani w pobliżu. Usłyszał kiedyś przypadkiem, że skarb przechowywany jest w mieście, w specjalnej skrytce w banku. Słowa te nie były, oczywiście, przeznaczone dla Ulvara, ale on już od dawna nieustannie nastawiał uszu, gdy tylko mógł coś podsłuchać. Wtedy zresztą dowiedział się też, że dostęp do skarbu może mieć tylko człowiek znający hasło. Tak więc dla niego sprawa była zamknięta.

Specjalnością Ulvara stało się podsłuchiwanie pod drzwiami. Tylu tajemniczych rzeczy można się było dowiedzieć w ten sposób.

Ale co tam, to wszystko drobiazgi nie mające znaczenia. Teraz Ulvar miał tylko jeden jedyny cel: służyć swemu budzącemu grozę władcy. A to mógł prawdopodobnie najlepiej spełnić za pomocą fletu.

Do wszystkich diabłów! To nie będzie łatwe!

Ulvar nie przestawał rozmyślać, jak się do tego zabrać. Bezradnie przyglądał się gałązkom wierzbiny nad rzeką, ale zbliżało się Boże Narodzenie i nie ma mowy, żeby o tej porze ktoś potrafił zrobić piszczałkę. Kora po prostu nie zejdzie z gałązki, popęka na kawałki. A zresztą on sam nigdy nie zdołał wydobyć więcej niż dwa żałosne dźwięki z takiej piszczałki. Jeden, kiedy zatykał palcem otwór i drugi, gdy go nie zatykał.

Prawdę mówiąc, co to za dźwięki? Jakieś syczące popiskiwania.

Viljar z Lipowej Alei przyszedł któregoś ranka i zapytał, czy Ulvar by nie zebrał sieci z jeziora. Z dawnych czasów mieli prawo połowu na jeziorze, bo przecież kiedyś należało ono do Elistrand. Ulvar pogrążony w swoich rozmyślaniach miał największą ochotę odesłać Viljara do diabła, ale w końcu uznał, że skoro i tak nie ma nic innego do roboty, to dlaczego by nie? Na jeziorze przynajmniej nikt mu nie będzie przeszkadzał głupimi pytaniami.

Spadł właśnie pierwszy śnieg; pokrywał brudnoszarą mazistą powłoką ziemię i wyglądało na to, że lada moment stopnieje.

Ulvar ruszył w drogę po rozmokłej brei, zostawiając za sobą głębokie ślady. Umiał zebrać sieci sam, robił to już wielokrotnie. Zawsze wtedy dzielili się połowem. Część zostawała w Lipowej Alei, a część dostawała Malin. Marca nie było w domu. Chodził teraz do wyższych klas i musiał wstawać wcześnie rano.

Jezioro było spokojne, sprawiało wrażenie opuszczonego. Inne łodzie rybackie albo były tu już wcześniej, albo też pojawią się koło południa. Zepchnął łódź po ośnieżonym brzegu i łekko zsunął ją na wodę.

Kiedy Ulvar wyciągał ostatnią sieć, zaczęło się dziać coś dziwnego.

Dzień od rana bgł szary i chmury wisiały nisko nad ziemią niczym gęsta mgła, lecz to nie wyjaśniało zdarzeń.

Ulvar rozejrzał się nerwowo, szybko wyciągnął sieć i usiadł na ławeczce przy wiosłach.

Skąd się bierze ta ciemna mgła? Czy to chmury? A może obłok pary unoszącej się z wody?

Nagle znałazł się w samym centrum tego obłoku, całkowicie nim otulony, nie widział prawie nic. A dopiero co dostrzegał przecież brzeg. Mgła najwyraźniej wydobywała się z wody i unosiła w górę, ale też jakby zalewała go od góry, od strony chmur, i otaczała ze wszystkich stron.

Chwycił za wiosła, lecz uczynił to tak gwałtownie, że jedno wyskoczyło z dulki i uderzyło o burtę łodzi. Pospiesznie ułokował wiosło na miejscu i potem siedział bez ruchu z rękami na kolanach.

Uświadomił sobie, że ma w łodzi pasażera, mgła jednak była tak gęsta, że wszystko tonęło w ciemności. Rozpoznawał jedynie kontury postaci usadowionej na przedniej ławeczce.

Jakaś trudna do nazwania groza napełniła jego duszę. Domyślał się, kto tam siedzi. I zdawał sobie sprawę, że to, co tam jest, to jedynie siła myśli! Skąd bowiem mógłby się tu wziąć rzeczywisty Tengel Zły?

Ulvar starał się opanować panikę, trzymał się mocno bun łodzi, tłumił jak mógł pragnienie, by wyskoczyć do wody i na łeb, na szyję uciekać jak najdalej. Dygotał, mdłości dławiły go w gardle i czuł, że mokry, ciepły strumień moczu spływa mu po udach. Kręciło mu się w głowie, miał wrażenie, że zemdleje. Niekontrolowane jęki wydobywały się nieustannie z jego ust i nie był w stanie tego powstrzymać.

Od istoty na dziobie łodzi cuchnęło potwornie. Mimo gęstej mgły mógł widzieć obłok śmierdzącego pyłu, który otaczał jego nieproszonego pasażera.

Po chwili w mózgu Ulvara zaczęły się pojawiać myśli kogoś innego i wola kogoś innego. Nie padło ani jedno słowo, nie rozległ się ani jeden dźwięk z wyjątkiem jęków przerażonego chłopca, mimo to otrzymał on polecenia równie wyraźne, jakby każde słowo zostało wyryte w jego głowie. Tylko że nie było żadnych słów, jedynie myśli.

„Ty, mój wasalu, uczniu i niewolniku! Masz słuchać moich poleceń i wypełniać je dokładnie.”

— T...t...tak — wyjąkał Ulvar, bliski utraty przytomności ze strachu.

W jego głowie pojawiła się kolejna informacja: „Mój własny flet został zniszczony. Podobnie jak inny flet, który zdobyła jedna z moich służebnic. Oba zostały unieszkodliwione przez mego podłego wroga.”

Przez Shirę, pomyślał Ulvar i w tym momencie coś groźnie trzasnęło w jego głowie. Powinien bardziej uważać na swoje myśli. Nie pozwolił więc już sobie na konkluzję, że służebnicą, o której budząca trwogę zjawa mówi, była Tula. Tula jednak odwróciła się od swego złego przodka...

Ulvar tego nie uczyni. Nigdy by się nie odważył.

Uczucie zadowolenia płynące od zjawy uświadomiło Ulvarowi, że obcy rejestruje każdą najdrobniejszą jego myśl.

Ów dziwny wewnętrzny głos mówił dalej: „Ty masz pewną możliwość, choć musisz wiedzieć, że jest ona niewielka. Biada ci, jeśli ją zaprzepaścisz! W mieście jest pewna kobieta, która ma stary flet. Ona sama nawet o tym nie wie, ałe ty pójdziesz tam i zdobędziesz ten flet. On nie jest najlepszy dla naszego celu, ale możesz zdobyć tylko ten, innego nie ma. Dostaniesz ode mnie instrukcje. Flet da się naprawić.

Ulvar pomyślał: Ale jak odnajdę tę kobietę?

„Pokażę ci drogę” — przemknęło mu przez głowę i zaraz mgła zaczęła rzednąć. Ukazało się znowu czyste jezioro. Ławeczka na dziobie łodzi była pusta.

Ulvar czuł, że świadomość go opuszcza, i pospiesznie położył się na dnie łodzi, by nie wypaść do wody.

Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego, myślał, ale mrok spłynął na niego i stłumił wszelkie uczucia. Nie chcę, nie mogę, on był taki ohydny!

Ale w żadnym razie nie odważę się też powiedzieć: nie.

Kiedy wspomnienie wydarzeń zbladło, Ulvar śmiał się ze swojego przerażenia. Oczywiście, że chce pomagać Tengelowi Złemu! Tengel jest przecież jego mistrzem, jego gwiazdą przewodnią!

Jakiż to honor! Jaka cześć zostać wybranym, nikt przedtem tego zaszczytu nie dostąpił. Owszem, Tula, lecz ona zdradziła swego wielkiego przodka.

Zły Tengel przekona się, że można polegać na Złym Ulvarze!

Bardzo szybko otrzymał instrukcje. W obrzydliwym, dławiącym marzeniu sennym dostał polecenie, że ma udać się do miasta, do Christianii. Kroki jego zostaną skierowane we właściwą stronę, nie należy się niczym martwić.

Zadanie polegało na tym, że powinien nawiązać rozmowę z pewną kobietą, którą spotka, i musi towarzyszyć jej do domu.

Szansa nadarzyła się bardzo szybko. Mógł, nie zwracając niczyjej uwagi, pojechać do Christianii i przenocować w mieście, gdyby zaszła potrzeba. Wszyscy domownicy wybrali się do znajomych z wizytą i mieli tam zostać przez sobotę i niedzielę. Bez przekonania prosili go, by im towarzyszył, ale on wymówił się chorobą. Coś z gardłem...

Przyjęli tłumaczenie z wyraźną ulgą.

Tylko Marco posłał mu wymowne spojrzenie. Przeklęty Marco, czasami to bardzo męczące mieć brata bliźniaka, przed którym tak niewiełe można ukryć.

Zimowy zmierzch zapadał wcześnie. Ulvar błądził po głównych ulicach Christianii i czuł się cudownie wolny. Mrok osłaniał go przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów, kołnierz baraniego kożuszka miał wysoko postawiony i naprawdę nie zwracał niczyjej uwagi. Był niski, to prawda, i miał krzywe nogi jak po angielskiej chorobie, ale przecież w dzieciństwie nie dostał ani kropli matczynego mleka, poza tym jednak nie wyróżniał się specjalnie. A zresztą nigdy nie przejmował się tym, co ludzie o nim myślą.

Zabrał na drogę odpowiednią sumę pieniędzy, bo coś mu mówiło, że mogą się przydać. Nie wszystkie należały do niego, ale skąpiec Per może w końcu zafundować to i owo swojemu biednemu przybranemu synowi. W każdym razie Ulvar tak uważał.

Wsłuchiwał się w wewnętrzne impulsy, a te kierowały go w stronę jakiegoś rynku. Ulvar nie znał nazw ulic Christianii. Nie mógł jednak nie zauważyć, że zagłębia się w nędzną dzielnicę. Domy były nieduże i zniszczone, a ludzie, którzy chodzili po ulicach, w żadnym razie nie należeli do arystokracji. Bez przerwy potykał się o pijaków, którzy zasnęli na trotuarze. Raz po raz kopał któregoś z obrzydzeniem. Zamarzną tu w nocy na śmierć, myślał, ale nie ubolewał nad tym. Mają to, na co zasłużyli. Nigdy nie żywił żadnych szlachetniejszych uczuć dla bliźnich.

Teraz wiedział, że jest blisko celu. W całym ciele wibrowała niecierpliwość Tengela Złego. Ulvar rozglądał się. Choć wieczór był zimny, na ulicach znajdowało się zdumiewająco dużo ludzi. Handel na rynku już się zakończył, mimo to wielu kupców stało przy swoich straganach, mają tu chyba zamiar nocować, by nie zbierać towarów i nie rozkładać ich znowu rano.

Czy to ta kobieta, do której z woli Tengela Złego ma się zbliżyć? Tamta na chodniku? Ale, rany boskie, to przecież jest...

Tak, to ta, to ona, czuł to wyraźnie. Denerwująca niecierpliwość mieszała się z uczuciem zadowolenia; pulsowało mu w skroniach, w mózgu myśli Tengela...

Prostytutka? Miał rozmawiać z ulicznicą i prosić, by pozwoliła mu iść ze sohą do domu? Czuł, że twarz mu płonie. Ukradkiem obserwował kobietę.

Młoda nie była, jej najlepsze lata minęły już dość dawno temu, ale zachowała coś w rodzaju elegancji. Dojrzała kobieta w kapeluszu ozdobionym wysokimi piórami i mnóstwem wstążek, o sporym brzuchu ściśniętym mocno gorsetem.

Mimo wszystko nie wyglądała najgorzej. Włosy, które opadały kędzierzawą chmurą na twarz, były kasztanoworude, Ulvar widział to wyraźnie, bo kobieta stała w kręgu światła latarni. I chociaż była zbyt jaskrawo umalowana, to miała w sobie jakiś styl, niebrzydkie rysy i blask w oczach.

Przyszła mu do głowy podniecająca myśl. Dlaczegóż by nie?

W ciągu ostatnich miesięcy był tak załęty księgami Ludzi Lodu, że nawet nie zauważył, iż on sam przemienił się z chłopca w młodego mężczyznę. Od czasu do czasu pospiesznie sam się zaspokajał i to rozwiązywało jego problemy w tej dziedzinie.

Ale z prawdziwą kobietą?

Dla Ulvara nie miało znaczenia, że to kobieta tego rodzaju. Była wystarczająco zmysłowa, by pobudzić jego fantazję. A pieniędzy miał dość.

Poza tym jego pan i władca sobie tego życzył.

Podszedł więc bliżej i mruknął: „Dobry wieczór”.

Odwróciła się zaskoczona. Być może jego ostry głos trochę ją przestraszył? Ulvar stał w cieniu, więc widział tylko, że to mężczyzna w ładnym kożuszku, sięgający jej do ramion. Ubrany był dobrze i pobrzękiwał trzymanymi w kieszeni monetami, ale czy trochę nie za młody?

— Co to za dzidziuś? — powiedziała udając rozbawioną. — Mleko pod nosem już ci wyschło?

— Mam dwadzieścia lat — skłamał Ulvar. Naprawdę miał teraz siedemnaście i pół. — I pomyśłałem sobie, że zaproponuję pięknej pani, iż odprowadzę ją do domu. Nigdy nie wiadomo, jaki nędznik może stanąć na drodze urodziwej kobiety.

Było tak, jakby ktoś inny przemawiał przez niego, bo on sam nigdy specjalnie słów nie dobierał. A takt i elegancja także nie należały do jego cnót.

Kobieta zaśmiała się ochryple.

— Naprawdę umiesz się wyrażać, mój chłopcze! Ale to by cię kosztowało jakiś banknocik.

— Ile? — zapytał rzeczowo.

Wymieniła jakąś śmieszną sumę. Widocznie zapotrzebowanie na jej usługi w ostatnich latach spadło.

— Zapłacę dwa razy tyłe, jeśli pozwoli mi pani odprowadzić się aż do mieszkania — oświadczył Ulvar z elegancją.

— jezu, a co to za facet mi się trafił, co chce płacić więcej, niż mówię!

Ulvar nieostrożnie postąpił parę kroków naprzód i kobieta krzyknęła, przestraszona.

— Nie, fuj, a cóż to za maszkara! Ciebie nie chcę tknąć nawet pogrzebaczem!

— Nawet gdybyś wiedziała, co mam do zaoferowania?

Roześmiała się nerwowo i cofnęła o krok.

— Do zaoferowania? Co masz na myśli? Co ty możesz mieć do pokazania? Cały jesteś taki malutki?

Ulvar przewidział to pytanie i był przygotowany. Pospiesznie rozchylił poły kożucha i pozwolił jej spojrzeć.

— Boże, zmiłuj się, ale cudo! — krzyknęła tym swoim wulgarnym głosem. Ale wyraźnie jej zaimponował. — I już w pełnej gotowości, no, no! Chodź! Na co jeszcze czekamy?

Ujęła go pod rękę i poprowadziła w dół ulicy.

— Jak to się stało, chłopcze, że masz taki straszny wygląd? — zapytała ochryple, a rękę wsunęła mu pod kożuch, jakby chciała się przekonać, że to, co przed chwilą widziała, jest jednak rzeczywiste.

— E tam — odparł Ulvar obojętnie. — Nie wiem. Już się zresztą przyzwyczaiłem do swojej gęby i uważam, że jest bardzo przydatna.

Kobieta zadrżała, ale roześmiała się tylko. Nigdy w swoim grzesznym życiu nie spotkała mężczyzny tak obdarowanego jak ten młodzieniec. W ogóle ostatnimi laty nie mogła już znaleźć mężczyzny, który byłby w stanie zaspokoić jej potrzeby. No, ale teraz! Żeby on tylko nie był taki paskudny!

I ta stara, zniszczona kobieta poczuła znowu od dawna nieznany dreszcz oczekiwania. Nie pamiętała już, od kiedy spełnia swoje obowiązki, sama nie doznając niczego.

Doszli do domu w mocno podejrzanej okolicy. Kobieta otworzyła bramę i wpuściła go na wąskie schody. Na klatce pachniało kapuśniakiem, a w pokoju tanimi perfumami.

Zapaliła naftową lampę i Ulvar zobaczył pokój ozdobiony pluszowymi narzutami i orientałnymi tapetami. Łóżko, które służyło także jako kanapa, pokryte było tanią tkaniną w krzykliwy wzór.

— Miło tu, no nie? — zapytała kokieteryjnie przekrzywiając głowę. Wyjęła szpilki, zdjęja kapelusz i umieściła go na wieszaku.

Ulvar zdjął kożuch. Kobieta rozbierała się nie tracąc czasu. Zrzucała jedną sztukę ubrania po drugiej, potem odwróciła się do niego, by rozpiął jej gorset.

Do diabła, myślał Ulvar. Do diabła! Teraz poznasz prawdziwego mężczyznę, ty stara... Teraz Ulvar z Ludzi Lodu będzie miał pierwszą kobietę w życiu, i to nie są przelewki, możesz być pewna! Ty cholerna, stara zdziro, teraz będziesz miała mężczyznę swojego życia!

Przykręciła lampę do minimum i odwróciła się do niego. Zaczęła go rozbierać powolnymi, pieszczotliwymi ruchami. Ulvar pojęcia nie miał, że to z jej strony po prostu rutyna, był podniecony do granic wytrzymałości. W końcu ona położyła się na nędznym łóżku. Jej skóra bielała w mroku. Kobieta była wielka jak maciora w Lipowej Aiei.

Ulvar wziął ją z gwałtownością, która sprawiła, że ulicznica jęknęła, ale było oczywiste, że nie sprawia jej to przykrości. Ulvar zagłębiał się w niej, poznawał to niezwykłe uczucie oszołomienia, bezgranicznego pogrążenia się we wzburzonej fali, która go porwała, zmyła wszelką brzydotę, pospolitość i obojętność. Kobieta krzyczała z rozkoszy, gdy osiągnęła spełnienie, coś, co nie zdarzyło jej się w objęciach mężczyzny od wielu lat. Bo ten podobny do diabła młodzieniec dawał jej rozkosz pomieszaną z przerażeniem, podniecające uczucie nieznanej dotychczas perwersji. Było to jednak niezbędne, by rozpalić tę zoboiętniałą już na tak wiele, podstarzałą rozdawczynię rozkoszy.

Po wszystkim udusił ją jej własnym aksamitnym paskiem.

I zaczął przetrząsać pokój w poszukiwaniu fletu.

Duch Tengela Złego opuścił go teraz. Poznawał to po niezwykłej swobodzie uczuć. W rzeczywistości siła woli potężnego przodka opuściła go w momencie, kiedy znalazł się w tym pokoju. Był we właściwym miejscu i wiedział, co ma zrobić. Dalsze kierowanie jego postępowaniem było zbędne.

Nie przejmując się nagością martwej kobiety o wytrzeszczonych oczach i obrzmiałym języku wyciągniętym na brodę, Ulvar metodycznie przeszukiwał mieszkanie. Gospodyni nie należała do najporządniejszych; pod barwną dekoracją kryła się po kątach brudna bielizna, jakieś stare gazety i dosłownie zwały kurzu. Gdyby w pokoju było więcej światła, Ulvar musiałby się z pewnością zastanowić nad obrzydliwyma ranami na jej ciełe. Ale nie miał już dla niej czasu.

Stał w jednym kącie pokoju i przyglądał się szafie na ubrania w drugim kącie. Oczywiście, już dokładnie przeszukał wnętrze szafy, ale teraz wzrok jego padł na górę mebla i zobaczył, że leży tam jakiś instrument smyczkowy, skrzypce czy altówka, a także harmonia. Z miejsca, w którym stał, nic więcej nie widział, ale mógłby się założyć o własną duszę, że znajduje się tam również flet. Było to zresztą ostatnie możliwe miejsce w tak starannie przeszukanym pomieszczeniu.

Instrumenty kobieta musiała najwyraźniej po kimś odziedziczyć. Tak można było wnioskować po grubej warstwie kurzu, jaka je okrywała.

I oto dokładnie w tym momencie triumfu, w tej chwili, gdy zamierzał zrobić tych kilka ostatnich kroków i zobaczyć, co leży na szafie, drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł jakiś człowiek. Rosły mężczyzna, który swoją postacią wypełnił całe drzwi.

Przez sekundę Ulvar stał jak sparaliżowany. Mężczyzna spoglądał to na niego, to na leżącą na łóżku kobietę.

— Agda? — powiedział ochryple. — Agda...

Potem zwrócił się do Ulvara.

— Co, do cholery, tutaj...

Ulvar nie słuchał dalej. Miał w głowie tylko jedną myśl: flet. Ucieczka bez fletu nie wchodziła w rachubę. Rzucił się naprzód. Przewrócił stół i jakieś krzesło, dopadł do szafy i uchwycił się jej górnej krawędzi. Poczuł ręką jakiś podłużny kształt... coś obłego z drewna, macał, żeby to dostać...

Obcy mężczyzna także ocknął się do życia. Z rykiem rzucił się do wiszącego na szafie Ulvara, szarpnął nimi ściągnął na ziemię.

— Ty przeklęty morderco! — wrzeszczał.

Ulvar zawył z rozczarowania, gdy poczuł, że flet wymknął mu się z ręki, potoczył się i spadł na podłogę za szafą. Mężczyzna nie puszczał Ulvara i wciąż wzywał pomocy.

Jacyś ludzie zaczęli wbiegać do pokoju, dom okazał się nagle pełen żywych istot. Ulvar wyrywał się, gryzł i drapał tego, który go trzymał, żółte oczy miotały skry, a gdy przeciwnik ujrzał na moment jego twarz, doznał szoku. Korzystając z tego Ulvar wyciągnął nóż. Machał nim na oślep, ale nie trafiał, a wkrótce został pojmany.

— O rany, a co to za czort? — zapytał ktoś. — Skąd on się tu wziął?

Ulvar wrzeszczał:

— Nakazuję, niech was wszystkich piekło pochłonie, nakazuję!

Bo czytał przecież o Ulvhedinie i zaklęciach. Jego słowa nie miały jednak żadnej mocy. W sromocie i poniżeniu, bez fletu, wyjący niczym demon wichru, został Ulvar wyniesiony na ulicę.

Dlaczego, dlaczego nie nauczyłem się niczego o czarach? myślał w rozpaczy. Skarb Ludzi Lodu. Powinienem mieć skarb Ludzi Lodu, wtedy mógłbym ich wszystkich przemienić w proch. Tula umiała to robić. Zrobiła to przecież kiedyś z jedną wstrętną babą.

Ale zamienić nikogo w pył nie umiał ani on, ani Tula, ani w ogóle nikt z Ludzi Lodu. Tuli pomogły cztery demony, co po przeczytaniu ksiąg Ludzi Lodu powinien był rozumieć.

Ulvar widywał różne istoty na cmentarzu. Wiedział, jakie cechy obciążonych ma on sam. Ale żadna, żadna z nich nie mogła mu pomóc teraz, może zresztą głównie dlatego, że ogarnięty paniką nie wiedział, co robi.

Dla kogoś tak spragnionego przewagi nad ludźmi jak Ulvar była to straszliwa udręka.

Jedyne, co był w stanie robić, to bronić się najzupełniej instynktownie. Ciął więc nożem na prawo i na lewo, dopóki ktoś nie wykręcił mu trzymającej broń ręki i nie odebrał noża; potem już tylko pluł, parskał i miotał najokropniejsze przekleństwa. Jego ostre zęby co chwila wbijały się w czyjąś rękę, ramię, ucho. Kopał i tłukł pięściami mężczyzn, kobietom wyrywał wielkie pęki włosów.

— Zatłuc go! — krzyczał jeden z ludzi, a drugi wymierzył Ulvarowi potężny cios w twarz. Ile już takich ciosów dostał, nie byłby w stanie powiedzieć. Czuł się jak bity kotlet.

— To nie człowiek, to przecież diabeł, chyba widzicie! — wrzeszczała jedna z kobiet. — Zróbcie z nim koniec!

Pojawiło się kilku zwabionych hałasami policjantów i to go uratowało.

— Stać! Co się tutaj dzieje?

Tłum wrzeszczał, ludzie wykrzykiwali coś jeden przez drugiego, a policjanci próbowali ich uspokoić.

— No, no, nie będzie tutaj żadnych samosądów. Tym gagatkiem my się zajmiemy!

Ktoś krzyczał coś o gilotynie. Brzmiało to okropnie, Ulvar próbował się wyrwać, ale zbyt wiele rąk go trzymało.

— Nic, nie, nie będzie żadnych pokazowych egzekucji! — wołał jeden z policjantów. — Ale dożywotnie zamknięcie w domu wariatów też nie jest niczym wesołym.

Ulvar we wściekłym proteście wygiął się jak łuk. Ale żądni zemsty ludzie trzymali go mocno. Tengelu Zły, przybądź i pomóż mi, myślał przerażony, bliski szaleństwa.

Ale przodek milczał. Ulvar kopnął potężnie jednego z policjantów, który podszedł zbyt blisko, co miało taki skutek, że drugi podniósł pałkę i wymierzył pojmanemu ogłuszający cios.

Dokładnie w chwili, gdy Ulvar tracił świadomość, poczuł nagle potworne gorąco, jakby ogarnął go ogień. było to uczucie tak intensywne, że wprost nieznośne. Słyszał nad sobą krzyk:

— O Boże! Dom Agdy się pali! Pewnie w zamieszaniu ktoś przewrócił lampę.

Flet, zajęczało coś w głowie Ulvara, a potem pochłonęła go ciemność.

Nic dziwnego, że Tengel Zły milczał. Drogocenny flet przepadł. Tengel Zły nie potrzebował już Ulvara.

ROZDZIAŁ XII

Henning siedział na skraju drogi tuż przy moście i przyglądał się swojej córce. Razem z synem Malin, Christofferem, rzucali z mostu patyki do wody. Rzucali z jednej strony, a potem bardzo szybko biegli na drugi kraniec mostu, żeby zobaczyć, czy wypłyną. Tysiące dzieci tak się bawiło przez tysiące lat dziejów świata.

Przyglądał się córce z przepojoną smutkiem czułością. Benedikte miała teraz jedenaście lat i nikt oprócz krewnych nie powiedziałby o niej, że jest ładna. Wyrośnięta prawie jak czternastolatka, sprawiała wrażenie szerokiej i kanciastej, mówiła niskim, dudniącym głosem. Włosy miała czarne o nieładnym odcieniu, stopy i dłonie wielkie jak łopaty. Twarz nosiła cechy obciążonych Ludzi Lodu — wystające kości policzkowe, żółte skośne oczy, nos spłaszczony, usta szerokie.

Czy to jednak dzięki wychowaniu, czy też dzięki dziedzictwu po dobrodusznym Henningu uśmiech miała ciepły i sympatyczny. Jej niezdarne ruchy przypominały podskoki małego psa i choć czasami była uparta i trudno było z nią wytrzymać, zdawało się, że ona sama najbardziej cierpi z powodu swego wyglądu.

Dzieci pobiegły drogą, próbowały złapać kilka tańczących motyli. Henning nie przeszkadzał im. Wrócą wkrótce same. To już dawne czasy, kiedy musieli się obawiać wilków w tutejszej parafii. Zniknęły wraz z Ulvarem.

Pięć lat już mijało od chwili dramatycznego aresztowania Ulvara w Christianii za zabójstwo kobiety. Naturalnie podejmowali wszelkie próby wydostania go na wolność, ale bardzo szybko okazało się to niemożliwe. Popełnił straszne przestępstwo i musiał ponieść karę. Z tego, co sąd i w ogóle wszyscy wiedzieli, wynikało, że nie istniały żadne okoliczności łagodzące.

Szybko też wszyscy musieli uznać, że więzienie nie jest odpowiednim dla niego miejscem, i został przeniesiony do zakładu, w którym umieszczano niebezpiecznych dla otoczenia chorych psychicznie. I tam do tej pory przebywał.

Krewni odwiedzali go, ale dla niego te wizyty nie miały żadnego znaczenia. Szarpał tylko kraty i miotał przekleństwa, które ich przerażały, straszył, co im zrobi, jeśli go stąd natychmiast nie wydostaną. Ale cóż mogli poradzić? Henning wiedział, że los brata bardzo dręczy Marca. Ów fantastyczny młody człowiek stał się zamknięty w sobie, chodził zamyślony i wciąż prosił Viljara i Henninga, a także Malin i Pera, by pornogli jakoś Ulvarowi. Próbowali wszystkiego po wielekroć, zwracali się nawet do króla z prośbą o łaskę, ale wszystko na próżno.

Zresztą jeśli Henning miałby być szczery, to i on czuł się znacznie bardziej bezpieczny wiedząc, że Ulvar jest zamknięty, choć współczuł biednemu kuzynowi. Wiedział przecież, że jest on ofiarą przekleństwa. Wiedział, że Ulvar z tym przyszedł na świat.

I to wcale sprawy nie ułatwiało.

Dzieci wróciły w towarzystwie młodej kobiety. Henning na jej widok poczuł radość i zrobiło mu się Iżej na duszy.

Była to Agneta, córka nowego pastora. Łagodna i życzliwa ludziom osoba, dokładne przeciwieństwo Anneli. Henning od dawna pragnął poprosić ją o rękę, lecz dotychczas nie zdobył się na odwagę. Miał przecież córkę obciążoną dziedzictwem i niewiele kobiet podjęłoby się obowiązku wychowywania takiego dziecka.

Agneta jednak najwyraźniej żywiła dla małej głębokie przywiązanie. Taka była wobec niej miła i pełna wyrozumiałości, że Henning rzuł ciepło w sercu, kiedy na nie patrzył. I wszystko wskazywało na to, że jej uczucia są odwzajemniane. Benedikte rozpromieniała się na jej widok, mogły obie siedzieć godzinami, szeptać coś i chichotać. Agneta często odwiedzała swoją małą przyjaciółkę, poza tym kilka razy w tygodniu udzielała obojgu dzieciom lekcji.

Henning nie od razu zauważył, że on także interesuje Agnetę. Ale teraz już wiedział, że obchodzą ją oboje, i ojciec, i córka. Sam jednak nigdy nie okazywał uczuć jakie do niej żywi.

Takie postępowanie odbiera kobiecie nadzieję. I w wielu przypadkach może się okazać nader ryzykowne. W przypadku Agnety było katastrofalne.

Henning wstał i przywitał się z tym swoim ciepłym uśmiechem, który jej trafiał wprost do serca.

— Jesteś zbyt dobra dla tych dzieciaków — powiedział skrępowany, bo nigdy nie nauczył się rozmawiać z kobietami. Anneli, jego żona, nie stanowiła pod tym względem wielkiej pomocy, bo przedrzeźniała wszystko, co powiedział, nieustannie wyśmiewała jego chłopskie maniery.

— Ja nie jestem dobra — odparła. — Mnie samej to sprawia przyjemność.

Uśmiechnęła się niepewnie, bo niełatwo jest darzyć uczuciem mężczyznę nie wiedząc, co on sam o tym myśli.

Była niedziela, nabożeństwo w kościele właśnie się skończyło i ludzie wracali do domu. Henning został z dziećmi, bo Benedikte miała pewne problemy z chodzeniem do kościoła. Natomiast mały Christoffer był niegrzeczny rano i za karę nie pozwolono mu pójść na nabożeństwo. Christoffer natychmiast postanowił, że teraz będzie niegrzeczny w każdą niedzielę.

Henning przyglądał się spod oka rozmawiającej z dziećmi Agnecie. Była ona na swój sposób bardzo pociągającą kobietą. Te szczere oczy i ten łagodny, śliczny uśmiech. Pszenicznoblond włosy i trochę zbyt skromny sposób ubierania się; była przecież córką pastora. A jakie miała ładne, jak wymownie gestykulujące ręce, gładziła nimi tak delikatnie i z taką czułością niesforne włosy Benedikte. Twarz zniała szczupłą o regularnych rysach, w ogóle Agneta była szczupła, prawie chuda, ale taką miała budowę. Zgrabna i drobna, budziła w Henningu uczucia opiekuńcze. Wkrótce nadeszła Malin z Perem, a zaraz za nimi Viljar i Belinda. Wszyscy zatrzymali się przy moście w ten ciepły, słoneczny dzień lata, by chwilę porozmawiać. Malin zaprosiła Agnetę do domu na niedzielną kawę, a dziewczyna rzuciła pytające spojrzenie Henningowi, które Malin oczywiście natychmiast zarejestrowała.

— No i wszyscy z Lipowej Alei też są proszeni, rzecz jasna — dodała pospiesznie. — W tym tygodniu nasza kolej na kawę po nabożeństwie.

Zanim ruszyli dalej, nadbiegł Marco. Już z daleka dostrzegli w jego oczach lęk.

Jak zawsze na widok Marca Agneta doznała dziwnego uczucia. Marco był takim młodym człowiekiem, z którym bardzo chętnie by się zaprzyjaźniła. Mogłaby być jego bardzo dobrą, oddaną przyjaciółką. Nigdy jednak nie odważyłaby się w nim zakochać, to byłoby zbyt trudne do zniesienia. Walczyłaby z takim uczuciem desperacko. Niezwykła twarz Marca przyciągała spojrzenia wszystkich, można było rozkoszować się jego widokiem aż do bólu. Doznawało się wtedy skurczu serca, bo było w jego twarzy coś nieziemskiego, coś takiego, czego normalny człowiek nie mógł znieść.

Pospiesznie spojrzała znowu na Henninga i stwierdziła, że istotnie, widok Marca tak ją oślepił, iż z trudem rozpoznawała rysy tamtego.

Marco był zdenerwowany.

— Ulvar wyszedł na wolność — wykrztusił z trudem.

— Co? — krzyknęła Malin. — Uciekł?

— Nie. Wypuścili go.

— Wypuścili go? — zdumiał się Viljar. — Nie mogli przecież tak po prostu go wypuścić!

Marco patrzył w ziemię.

— On jest podobno chory. Nie... Nie chcieli go tam już dłużej trzymać.

— Nie chcieli trzymać chorego człowieka w szpitalu? — zapytała Malin. — To gdzie w takim razie ma się podziać chory?

— Nie wiem — odparł Marco zmęczonym głosem. — Ale musimy liczyć się z tym, że pojawi się tutaj.

— Tak, to oczywiste — rzekł Henning. — I przyjmiemy go serdecznie.

Malin zamyśliła się.

— Czy rozeszły się jakieś plotki, że on tu zmierza?

— Najwyraźniej.

— W takim razie musimy go ukryć. Ludzie w parafii nigdy się nie pogodzą z myślą, że on tu mieszka.

— Dlaczego nie? — zapytała Agneta. — Czy on nie ma prawa do życia? Ma, tak samo jak inni. Nie jest przecież wyrzutkiem.

— No, tak można by powiedzieć — rzekł Henning.

Wszystko się w Agnecie burzyło.

— Co w takim razie z miłością bliźniego? Tak przecież nie można!

Belinda zastanawiała się.

— Będą go na pewno szukać, zarówno u ciebie, Malin, jak i w Lipowej Alei. Więc u nas nie może się zatrzymać. Musimy znaleźć jakąś kryjówkę, gdzie mógłby mieszkać w spokoju. Trzeba pamiętać, że wszyscy się go śmiertelnie boją.

Marco był przybity. Pocieszali go jak mogli, zapewniając, że nie pozwolą nikomu dręczyć jego bliźniaczego brata.

Potem wszyscy razem poszli do domu Malin i Pera. Nieświadomie Henning tak jakoś wszystko urządził, żeby iść obok Agnety. Bardzo to lubił. Lubił mieć ją przy sobie, napełniało go to uczuciem spokoju. Miał teraz trzydzieści trzy lata i wiedział, że Agneta ma mniej więcej tyle samo. Może nawet jest od niego kilka lat starsza. Surowość panująca w rodzinie sprawiła, że nie wyszła za mąż. Była najmłodszym dzieckiem swoich rodziców i oni hamowali najmniejszą nawet próbę nawiązania przez nią jakiegoś romansu „Ty nie możesz wyjść za mąż”, mawiali. „Co by się z nami stało, gdybyś nas opuściła? Nie wolno ci tego zrobić!”

Henning uważał, że to potwornie egoistyczne postępowanie. Czy oni nigdy nie pomyśleli, że w ten sposób przekreślają życie ludzkie? Jedyne życie Agnety. Przecież nie będzie miała więcej.

Gdyby go tytko chciała, to już on zadba, żeby wyciągnąć ją z tego domu. Nie ustąpi. Dotychczas jednak nie zdołał zebrać się na odwagę, by ją zapytać. Tyle pewności siebie nie miał. To Anneli, jego pierwsza żona, sprawiła, że czuł się całkowicie pozbawiony wartości jako człowiek i jako znawca kobiet.

Wieczorem tego dnia mała Benedikte przyszła do swojego ojca w Lipowej Alei. Była wyraźnie spłoszona i trzymała w ręce bukiet na wpół zwiędłych polnych kwiatów.

— No, co tam u ciebie? — zapytał Henning przyjaźnie.

Swoim nieładnym, ostrym głosem dziewczynka powiedziała:

— Chciałam nazbierać kwiatków dla babci na łące pod lasem. Ale nagle zza drzew wyszedł strasznie wielki pies, szczerzył kły i warczał na mnie.

Henning poczuł, że kręgosłup prostuje mu się instynktownie, a ręce zaciskają kurczowo.

— Wielki pies? Podobny do wilka?

— Jak w bajce o Czerwonym Kapturku? Tak, chyba był podobny do takiego wilka, bo ja zaraz pomyślałam o tej bajce. Ale był strasznie wielki.

Henning przełknął ślinę.

— Bardzo dobrze, że przybiegłaś do domu — powiedział tak spokojnie jak tylko mógł. — A teraz usiądź przy stole. Zjemy kolację.

To znaczy, że Ulvar jest w pobliżu, myślał. Muszę uprzedzić resztę rodziny.

Ulvar kierował się prosto na cmentarz. Twarz miał wykrzywioną, zdecydowaną, malował się na niej gniew. Pięć lat! Pięć lat upokorzeń pośród tych zwierząt w ludzkiej skórze, które miały prawo znęcać się nad nim, trzymać go w zamknięciu, szydzić z niego, poniżać go!

Zwierzęta w ludzkiej skórze! Zawsze te nędzne kreatury stawiają mu opór!

Przeszkodzili mu w zdobyciu fletu wtedy, przed pięcioma laty, dlatego Tengel Zły się od niego odwrócił.

To bolało go najbardziej. Pamięć o tym, myśl o tym była jak toczący go robak, nigdy nie pogodził się z tym, co się stało.

— Ale jeszcze zobaczysz, Tengelu — szeptał przez zęby. — Ja jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa. Zobaczysz, że można na mnie polegać. Pójdę do moich przodków. Tam musi być ktoś, kto mi pomoże...

Był już od kilku dni na wolności. Systematycznie zmierzał do realizacji tego planu zemsty, który sobie obmyślił w zamknięciu.

Pierwsze kroki skierował do tej dzielnicy w Christianii, gdzie mieszkała ulicznica Agda. Wypalona ruina wciąż jeszcze stała i przypominała mu o potwornej stracie. Flet! Z niezmierną cierpliwością czekał w ukryciu, aż zobaczył człowieka, który wtedy wszedł do mieszkania Agdy.

Utopił go w rzece Aker. Trzymał głowę pod wodą tak długo, aż ciało tamtego zwiotczało. Potem znalazł kilku z tych, którzy go wtedy wlekli po ulicy. Każdy z nich dostał pchnięcie nożem w plecy. Jeden z policjantów także. Drugiego nie odnalazł i już nie miał czasu dalej szukać. Zwłoki zabitych ukrył w stosach śmieci.

Potem wyruszył w drogę do rodzinnej parafii.

Pragnienie zemsty przenikało go do tego stopnia, że nawet nie odczuwał głodu. Ani zmęczenia, nic, szedł jakby pchany jakąś potworną siłą woli.

Cmentarz...

Tam chciał dojść przede wszystkim.

Starał się przypomnieć sobie jak najwięcej z tego, co Malin opowiadała Perowi tego dnia, kiedy ich szpiegował. O przeklętych potomkach Ludzi Lodu i w których grobach oni spoczywają. Ale teraz umiał przecież czytać. Nie musiał polegać na samej pamięci.

Zmierzch już zapadł, tylko na zachodzie niebo było jeszcze złote. Nagrobki rzucały długie, delikatne cienie na ziemię cmentarza. Kwiaty w wazonach zaczynały tracić swoją naturalną barwę, one też stawały się szare.

Ale Ulvar nie widział żadnych kwiatów. Nigdy go nic takiego nie interesowało.

Ukucnął w cieniu cmentarnego muru ze wzrokiem skierowanym na rodzirme groby.

— Wy wszyscy, obciążeni dziedzictwem Ludzi Lodu — szeptał cicho. — Przybądźcie i pomóżcie jednemu podobnemu do was, to wspólnie obudzimy naszego wielkiego pradziada! Ja zostałem do tego wybrany, wiecie przecież o tym. Tylko głupota zwyczajnych śmiertelników sprawiła, że pierwsza próba mi się nie powiodła. Więc pospieszcie się teraz i przybywajcie, kiedy Ulvar, największy z was, wzywa!

Ulvar zapomniał jednak, że ci naprawdę źli nie spoczywają na cmentarzu. Żadne z obciążonych, którzy żyli w czasach Tengela Dobrego, ani Kolgrim, ani Solve, nawet Sol tu nie ma, ani Tronda, Tuli ani Mara, a zresztą oni nigdy by nie przybyli, żeby pomagać jemu, bo przecież teraz, po śmierci, należeli do grona pomocników w dobrym.

Mimo to cmentarz nabrał życia, Ulvar bowiem był w stanie widzieć wiele z tego, co przed śmiertelnikami jest ukryte, a ci, których wzywał, mieli mu mimo wszystko parę słów do powiedzenia. Z wielkim podnieceniem stwierdził, że cienie na cmentarzu rosną, przybierają ludzkie kształty i zbliżają się do niego.

Zjawiło się ich wielu! Ale nie wyglądali na specjalnie chętnych do współpracy z nim.

Cofnął się o kilka cali bliżej muru. Potem wstał, żeby nie patrzyli na niego z góry.

Na przedzie grupy szedł mężczyzna o wyglądzie przywódcy i chociaż Ulvar go nie znał, domyślił się natychmiast, że to Tengel Dobry. Dlatego cofnął się jeszcze bardziej, instynktownie nie lubił tego największego pośród walczących ze złem.

Tuż obok Tengela znajdował się ktoś jeszcze i był tak do niego podobny, że nietrudno byłoby się pomylić. Tylko że ten drugi sprawiał wrażenie jakby młodszego, nie był taki potężny, nie miał takiego autorytetu, był jakby bardzrej wrażliwy, łagodniejszy, lecz on także odznaczał się bardzo silną osobowością, to Ulvar wyczuwał. I w głębi duszy domyślał się, że ten drugi to Heike z Ludzi Lodu.

Nieco za nimi szedł jeszcze jeden. Olbrzym o mongolskich rysach, człowiek o dość szczególnym poczuciu humoru, z którym jednak w żadnym razie nie należało żartować. To Ulvhedin, panzyślał Ulvar, choć sam nie wiedział, skąd mu się bierze to przekonanie. Może oni sami wysyłali do niego jakieś impulsy?

Dalej szła kobieta. Niezwykle piękna i pociągająca, o płomiennie rudych włosach i intensywnie zielonożółtych oczach. Ingrid, wiedźma z Grastensholm. A za nią jakiś młodszy mężczyzna, urodziwy, o prostej sylwetce, pewien siebie. Ulvar nie mógł wiedzieć, że to Niklas, a mimo to w jakiś sposób wiedział. Intuicja? Być może.

Za nimi stała liczna gromada duchów, lecz one teraz były bez znaczenia. Ponieważ Ulvar miał zdolność widzenia zmarłych, domyślał się, że to pozostali członkowie rodu, którzy spoczywają na tutejszym cmentarzu, ci zwyczajni, nie obiążeni. Tacy jak Silje — widział ją zresztą i od razu się domyślił, że ta łagodna, o silnej woli kobieta to musń być Silje. Dalej stali Vinga i Kaleb, i Gabriella, i Tristan Paladin, i...

Skąd on to wszystko wiedział? Skąd czerpał tę wiedzę i nie pomylił się ani razu?

Nie zostawili mu czasu na zastanawianie się.

— Ulvarze z Ludzi Lodu — rzekł Tengel Dobry suchym, surowym głosem, który brzmiał jakoś głucho, ale wywoływał silne echo. — Zawróć, póki jeszcze czas. Odwróć się od Tengela Złego, przyłącz się do nas i zacznij z nim walczyć!

Ulvar niemal podskoczył z oburzenia.

— Walczyć z nim? Z moim panem i mistrzem? Nigdy w życiu! I miałbym się przyłączyć do waszej gromady nędznych zdrajców? Wszyscy przecież mieliście szansę stać się sługami i naśladowcami naszego pana! I odrzuciliście to, co wam dano!

— Zastanów się, Ulvarze! Jesteś na złej drodze i wiesz o tym. Musisz otrzymać pomoc w twojej chorobie. Uwierz mi, Tengel Zły ci nie pomoże!

— Wcale nie jestem chory! — warknął Ulvar i podciągnął mocniej kurtkę na piersi, by ukryć paskudne rany. Wiedział, że twarz jego też już się mocno zmieniła, nos był do połowy przeżarty przez potworną chorobę, której nabawił się od tej ladacznicy z Christianii. To właśnie te oznaki choroby sprawiły, że wyrzucono go ze szpitala, z czego akurat się cieszył.

— Jesteś chory.

— To nie jest śmiertelne.

— Może nie od razu, ale nie ma nadziei, że wyzdrowiejesz. W domu, w Lipowej Alei, mógłbyś otrzymać pomoc. Zarówno Henning, jak i jego córka noszą w sobie uzdrowicielskie siły, choć sami o tym nie wiedzą. Zwróć się do nich. Czy ty nie rozumiesz, że zarażasz innych?

— To akurat bardzo mnie raduje — zachichotał Ulvar, choć w jego głosie wyczuwało się wahanie. Te upiory, jak je w duszy nazywał, sprawiały wrażenie bardzo pewnych siebie, takich silnych i takich surowych. — Nie spocznę, dopóki nie zarażę całego kraju.

— Licz się ze słowami, Ulvarze! Wiesz, że jest tu z nami Ulvhedin. A on posiada moc sprowadzenia cię pod ziemię. Bądź więc rozsądny, przyłącz się do nas i pomagaj nam w walce z naszym złym przodkiem!

Ulvar zaczął miotać przekleństwa: „Wy tchórzliwe kreatury, wy wstrętni...”, ale spojrzał na Ulvhedina i zamilkł. Nie chciał być wciągnięty w głąb ziemi tak jak Ludzie z Bagnisk!

Ulvhedin miał taką moc tylko nad upiorami, ale Ulvar o tym nie wiedział. Chcieli go po prostu trochę przestraszyć.

Blady sierp księżyca wypłynął na niebo i oświetlał nagrobki. Otoczony był delikatną mgiełką. W jego blasku stojące przed Ulvarem sylwetki wyglądały jeszcze bardziej niesamowicie. Budziły w nim lęk, choć się przed tym bronił. Czuł nerwowe dreszcze wzdłuż kręgosłupa.

— W porządku, poddaję się — rzekł krótko.

Tengel Dobry uśmiechnął się powściągliwie.

— Coś szybko składasz obietnice. Za szybko jak na mój gust.

Ulvar wybuchnął:

— Czego wy, do cholery, chcecie? Mówię, że się poddaję! Co mam jeszcze powiedzieć?

— Dużo — odparł Tengel cierpko. — Ale najpierw idź i poproś Henninga o pomoc. Powiedz mu, że jego córka ma uzdrowicielskie zdolności!

— Phi! Ja pójdę do Marca, on zawsze mi pomaga.

— Nie chodź z czymś takim do brata! Jego nie wolno ci wykorzystywać!

— Co ty powiesz? — Ulvar wykrzywił twarz w paskudnym grymasie. — Zrobię, co będę chciał.

— Ulvhedin! — zawołał Tengel.

Olbrzym wyszedł naprzód.

— Nie, nie! — Ulvar zasłaniał się rękami. — Już dobrze, zrobię, zrobię!

— Co zrobisz?

— To, co chcecie!

— Dziękuję, ale pozwalam sobie wątpić. No, dobrze, Ulvar, ty urodzony w nieszczęściu, mogę ci pomóc w jednej prostej sprawie. Nie chcę się mieszać w leczenie twojej choroby, ale mogę sprawić, że nie będzie ona zakaźna. Tak, żebyś nie wyrządzał innym krzywdy. A jeśli chodzi o ciebie, to sam zdecydujesz, jak postąpić. Sam wybierzesz, po której stronie chcesz się opowiedzieć, ale gruntownie się zastanów! Nic dobrego nie przyjdzie do ciebie od Tengela Złego. Żaden sługa nie miał jeszcze pożytku ze znajomości z nim.

— Co wy możecie o tym wiedzieć?

— Ty uparty głupcze! — wtrącił się Niklas, zmęczony już tymi utarczkami. — Niestety, masz jeszcze do spełnienia zadanie, gdyby nie to, unicestwilibyśmy cię i uwolnili ludzkość od ciebie. Ale zakaźna siła twojej choroby musi być zlikwidowana, przynajmniej tyle możemy dla ludzi zrobić.

— Zadanie? Ja? Jakie zadanie? Ja wiem tylko o jednym, to znaczy że mam być posłuszny mojemu panui mistrzowi. Możecie tu sobie stać i straszyć mnie, ile się wam podoba, na mnie to nie robi żadnego wrażenia, bo wy wszyscy jesteście martwi, martwi, a ja żyję! Ja jestem niepokonany, zapamiętajcie to sobie!

Tengel zrobił jeszcze jeden krok do przodu z tym skutkiem, że Ulvar cofnął się jeszcze bliżej muru, a zrobił to tak gwałtownie, że mało nie upadł. W najbardziej upokarzający sposób machał rękami, żeby nie stracić równowagi.

Kilkoma władczymi ruchami rąk i kilkoma cicho wymamrotanymi zaklęciami Tengel Dobry pozbawił jego chorobę zakaźnej mocy. Ulvar tego, rzecz jasna, nie poczuł, ale przecież wiedział, co się dzieje. Mimo woli dotknął swojej twarzy, lecz nic się w niej nie zmieniło.

— Mógłbyś przynajmniej zaleczyć najgorsze z moich ran swoją rtęciową maścią! — zawył.

Heike po raz pierwszy wyszedł naprzód i powiedział:

— Ulvarze z Ludzi Lodu! Już dostatecznie długo wystawiasz naszą cierpliwość na próbę. Na pamięć twojej matki prosimy cię, byś opowiedział się po właściwej stronie. Jeśli tak uczynisz, twoje rany natychmiast się zabliźnią. Idź teraz i nie zadawaj więcej bólu twoim bliskim. Innym ludziom także nie.

Tyle rzeczy Ulvar chciałby jeszcze powiedzieć i zrobić. Chciał ich przeklinać, Iżyć, szydzić z nich, obrażać, ale ku swemu zdziwieniu usunął się pokornie pod mur, a potem poszedł ścieżką wiodącą na zewnątrz, poza cmentarz. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak postaci jego zmarłych przodków rozpływają się w nocnym powietrzu i jak księżyc zaciąga samotną straż nad cmentarzem w Grastensholm.

Przytłaczało go uczucie wielkiego upokorzenia.

A pragnienie siania zła, smutku i śmierci wokół siebie było w nim większe niż kiedykolwiek przedtem.

ROZDZIAŁ XIII

Agneta była bardzo wzburzona, kiedy tego wieczora opuszczała dziedziniec Lipowej Alei. Nie chciała, żeby Henning odprowadzał ją do domu, choć sam to zaproponował. Wyszła więc niezauważenie, kiedy wszyscy zajęci byli wieczornym obrządkiem.

Jako córka pastora zareagowała gwałtownie na postawę rodziny wobec tego nieszczęsnego Ulvara. Nie spodziewała się po nich takiego zachowania. Zawsze sprawiali wrażenie niezwykle wyrozumiałych. Właśnie taki biedak, który pobłądził, jakim niewątpliwie był Ulvar, powinien móc liczyć na wsparcie z ich strony. Nie żeby go ukrywać. W ten sposób tyłko nieuczciwi ludzie rozwiązują niewygodne dla siebie problemy!

No, może nie wszystko w ich postawie było takie negatywne, mówili przecież, że pragną jedynie jego dobra. Że ludzie będą go prześladować, gdyby zamieszkał w domu. Ale mimo wszystko! Nie, tak nie można! Człowiek ma obowiązek stać przy swoich bliskich i wspierać ich niezależnie od tego, ile problemów nam sprawiają.

Nagle drgnęła i krzyknęła przestraszona. Za jednym z drzew w Lipowej Alei ukryła się właśnie jakaś pokraczna figura, tak potworna w księżycowym świetle, iż Agneta zlękła się, że traci rozum. Skąd się ten diabeł tu wziął...?

Więcej nie zdążyła pomyśleć, bo ta wstrętna istota złapała ją za ręce i mocno trzymała. Nieznajoma twarz przysunęła się do niej. W mroku wieczoru wyglądało to tak, jakby piekielne siły objęły panowanie nad światem.

— Kim, do diabła, jesteś i co tu robisz? — wysyczała potworna istota do Agnety.

— Jestem Agneta, córka proboszcza, i byłam z wizytą u Henninga Linda z Ludzi Lodu — wyrecytowała jednym tchem.

Uścisk jego rąk zelżał.

— Aha, u Henninga? — syknął z obrzydliwym chichotem. — No i jak się powodzi mojemu przybranemu ojcu?

Agneta jęknęła.

— Ulvar? Czy pan jest Ulvarem z Ludzi Lodu?

Niepojęte, że to monstrum mogło być bliźniaczym bratem fantastycznego Marca!

— Pan... naprawdę jest Ulvarem? — wyjąkała.

On wybuchnął śmiechem, który naprawdę nie brzmiał przyjemnie.

— Może i jestem. Czy Marco jest tutaj?

— Marco mieszka u Malin i Pera Voldenów — odpowiedziała Agneta, bez powodzenia próbując odzyskać kontrolę nad sobą. Starała się nie patrzeć na niego, wydawało jej się, że tego nie zniesie. Co się stało z jego nosem? Przegniły do połowy w twarzy już i tak do tego stopnia brzydkiej?

Ogarnęło ją głębokie współczucie. Jakże on musiał cierpieć! A ona stoi tu i odnosi się do niego dokładnie tak jak inni. Stara się nie zbliżyć do tego nieszczęśliwego młodego człowieka. Wyprostowała się i spojrzała mu odważnie w twarz, choć mdłości podchodziły jej falami do gardła.

— Aha, Marco mieszka u Malin i Pera, to jasne — powiedział obcy swoim ostrym głosem. — Ale on jest teraz w domu? Nie w żadnej cholernej szkole?

Te nieustanne przekleństwa sprawiały jej wielką przykrość. Trzeba będzie czasu, zanim przyzwyczai się do jego sposobu bycia.

— Nie, Marco jest już wykształcony. Właśnie zdał ostatni egzamin i jest w domu.

— Zdał go, oczywiście, dobrze — wykrzywił się do niej w diabelskim grymasie.

— Bardzo dobrze — odparła drżącym głosem. — Kogo by pan chciał... najpierw odwiedzić? Marca czy Henninga?

— Odwiedzić? — syknął. — Ja chcę tutaj mieszkać. Tam gdzie mieszka Marco. Ale najpierw chciałbym trochę przestraszyć rodzinkę w Lipowej Alei. Tak żeby narobili w majtki.

Mimo woli Agneta zrobiła krok w tył z obrzydzeniem. W uszach dzwonił jej ohydny śmiech.

— Oni wiedzą, że pan się zjawi. Czy mogłabym mówić do pana ty? Jestem zaprzyjaźniona z rodziną.

— Z Henningiem, co? — zachichotał. — Możesz zresztą mówić jak chcesz, mnie to nie obchodzi. Aha, więc oni wiedzą, że przyjdę? To szkoda.

Agneta ożywiła się. Pojawiła się oto możliwość spełnienia miłosiernego uczynku, więc zapomniała o swoich zastrzeżeniach i teraz akceptowała sposób myślenia Ludzi Lodu:

— Oni się o ciebie martwią. Boją się, że będziesz prześladowany przez sąsiadów. Myślą, że powinno ci się znaleźć jakieś ukryte miejsce, gdzie mógłbyś mieszkać w spokoju. Gdzieś niedaleko. I właśnie ja mam jedno takie miejsce.

Żółte oczy zrobiły się wąskie jak szparki.

— W ten sposób chcą się mnie pozbyć, co?

— Nie, nie, wprost przeciwnie! — próbowała go przekonać, ale brzmiało to jakoś blado, bo przecież przed chwilą sama tak właśnie myślała. Właśnie dlatego, że rodzina odnosiła się do niego z rezerwą, chciała mu pomóc.

Przyznać jednak musiała, że jest to istota odrażająca!

Nie, nie wolno myśleć tak nie po chrześcijańsku! Tu oto znajdowała swoje powołanie, swoją misję!

W oczach Ulvara pojawił się jakiś inny błysk, lecz Agneta zbyt była niedoświadczona i obdarzona zbyt czystym sercem, by pojąć, co to znaczy. Podczas gdy ona zastanawiała się, jak najlepiej wszystko urządzić, jego wzrok błądził niczym macki meduzy po jej ciele.

To, zdaje się, ukochana Henninga? Na to wygląda. To by dopiero była zabawa! Świętoszkowaty Henning...

— Powiedziałaś, że znasz jedno takie miejsce?

Agneta ocknęła się. Uff, nigdy chyba nie przyzwyczai się do tego gulgoczącego głosu. Ale musi. Jest przecież chrześcijanką.

— Tak, właśnie. To stara zagroda komornicza należąca do probostwa. Dom jeszcze stoi. Ma być rozebrany na wiosnę, miejsce potrzebne jest pod nowe wille, ale na razie nikt tam nie chodzi. Mógłbyś mieszkać w tej chacie, nikt by cię nie nękał.

Ulvar zastanawiał się.

Agneta przyglądała mu się po kryjomu. Muszę mu okazjrwać wyrozumiałość, myślała. O, tak, moje serce przepełnia współczucie dla tej nieszczęsnej istoty. Przecież on nie prosił o to, by tak wyglądać, ani o swoje odpychające zachowanie. To musi być straszne, jak on spogląda w lustro? Musi się czuć upokorzony, nic niewart, gorszy od innych ludzi. W gruncie rzeczy to z pewnością dobry człowiek, wszyscy ludzie rodzą się przecież dobrzy, czyści na duszy i w sercu, to nie jego wina, że stał się taki. Muszę wydobyć na światło dzienne to, co w nim najlepsze, to ziarno dobra, które ukrywa pod tą straszliwą skorupą, jaką pokazuje światu. Biedny chłopiec! Chociaż wszyscy go unikają, przekona się, że ma przynajmniej jednego przyjaciela!

Chcę się całkowicie poświęcić zbawieniu tego człowieka. To będzie czyn na chwałę Pana. A poza tym on jest krewnym Henninga. I bratem Marca, a także kuzynem Malin. Jest bliskim tych wszystkich wspaniałych ludzi! Chętnie zrobię to także dla nich. No i dla tego tak strasznie pokrzywdzonego młodzieńca, oczywiście!

Ulvar zastanawiał się, jak postąpić. Powinien swoje karty rozegrać jak najlepiej. Chciał spotkać Marca, to było dla niego ważne. Pozostałą rodzinę miał w nosie.

Co tam, Marca spotka prędzej czy później!

Zrobił skruszoną minę.

— Chyba masz rację, panienko o dobrym sercu. Nie powinienem narażać na nieprzyjemności moich krewnych. Nie powinienem się tu pokazywać. Moje nazwisko i opinia budzą grozę. Powiedz mi zatem, gdzie mógłbym znaleźć dom, a wszystko powinno się ułożyć! Daj mi tylko klucze do chaty zagrodnika, a dla nikogo nie będę kłopotliwym obciążeniem.

— Musisz też dostać żywność. Chyba nie jadłeś od dawna? Przyniosę ci wieczorem co trzeba.

To właśnie wiedział. Był przekonany, że ona tak postąpi. Stłumił uśmiech zadowolenia.

— Nie odmówię odrobiny jedzenia, ale myślę, że jesteś dla mnie za dobra!

— Och, to drobiazg. Ale ty na pewno nie chcesz odwiedzić najpierw swojej rodziny?

— Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę się pozbierać, wtedy będę mógł ich spotkać z czystym sercem.

Mój Boże, jakim to się stał pokornym świętoszkiem! Czy ona naprawdę wierzy w tę komedię? Wszystko wskazuje na to, że tak. Jakie głupie mogą być kobiety!

— Zaraz ci przyniosę klucze — powiedziała pospiesznie z oczyma rozjaśnionymi na myśl o tym, że nareszcie może nieść pomoc, służyć komuś.

Tiu, tiu, tiu, ty słodka idiotko, pomyślał Ulvar i wykrzywił się za jej plecami.

Agneta otrzymała bardzo surowe wychowanie. Ślepe posłuszeństwo wobec dorosłych, w obecności mężczyzny wzrok powinien być zawsze spuszczony, nie odzywać się nigdy, kiedy cię nie pytają, czytanie Biblii rano i wieczorem, nieustanne dopytywania się i przesłuchania, a gdzie, a co, a z kim...

Jedynie w domu Ludzi Lodu czuła się swobodnie. Poznała ich poprzez dzieci, Benedikte i Christoffera. Ponieważ dziewczynka była bardzo jak na swój wiek wyrośnięta, a nie była też, niestety, ładna, miała w szkole tyle kłopotów, że Henning postanowił zabrać ją stamtąd i zorganizować naukę w domu. Szukali guwernantki i zgłosiła się właśnie Agneta. Okazała się taką zdolną nauczycielką, że Malin zabrała też Christoffera ze szkoły, któremu wiodło się tam nie najlepiej — „żeby Benedikte miała towarzystwo”.

Wszystko funkcjonowało bardzo dobrze, Agneta przychodziła kilka razy w tygodniu do Lipowej Alei i czuła się tam znakomicie. Powoli wyzbywała się lęku przed życiem, jakim obciążyło ją wychowanie, poznała Henninga i polubiła go w zupełnie wyjątkowy sposób. Była od niego trochę starsza, a on nie sprawiał wrażenia, że widzi w niej coś więcej niż tylko guwernantkę. Poza tym byli przecież rodzice, ojciec i matka, którzy... Musiała im przeaeż obiecać, że nie wyjdzie za mąż, dopóki oni żyją.

A teraz wzięła na siebie odpowiedzialność za biednego, odrzuconego przez wszystkich kuzyna Henninga. Och, zrobi wszystko dla tego chłopca! Henning będzie na pewno z niej zadowolony.

Chociaż musiała przyznać, że wszystko się w niej wzdraga przed kontaktem z tym człowiekiem. I wciąż musiała powtarzać sobie, że przecież on sam, nieszczęśliwy człowiek, nlczemu nie jest winien! Agneta musi być cierpliwa i bardzo zręczna. To wielki dobry uczynek jej życia!

Henning przyglądał się Agnecie, gdy wchodziła do pokoju, w którym urządzono klasę szkolną. Taka była rozgorączkowana ostatnimi czasy. Już prawie od tygodnia była taka. I... tajemnicza, z jakimś błysbiem egzaltacji w oczach. Co się z nią dzieje?

I tak spieszno było jej do domu po zakończeniu lekcji! Ona, która zawsze zostawała z dziećmi jeszcze jakiś czas ku jego wielkiej radości, teraz prawie nie miała czasu powiedzieć „do widzenia”.

Przyglądał się szydełkowej torbie, którą zawsze nosiła na ramieniu. Ostatnio ta torba była dziwnie ciężka, Agneta aż się pod nią uginała. Benedikte swoim zwyczajem trzymała nauczycielkę za rękę i Henning ze smutkiem stwierdził, że jedenastoletnia dziewczynka jest prawie tak wysoka jak Agneta. Los tego nieszczęśliwego dziecka sprawiał mu tyle bólu.

Henning toczył wewnętrzną walkę. Raz w życiu sparzył się boleśnie z powodu kobiety. Pierarsza żona odebrała mu prawie całą pewność siebie. Tak się starał, by robić wszystko, jak sobie życzyła, był miły i dobry, jak tylko umiał, a umiał pod tym względem bardzo dużo, lecz w zamian otrzymywał wyłącznie szyderstwa. Że jest niezdarny, nudny i podobne obraźliwe słowa, lecące na jego głowę niczym grad.

Wszystko to powstrzymywało go od wszelkich działań, jeśli chodzi o Agnetę.

Ale teraz odczuwał niepokój. Była jakaś taka rozświetlona, jak bywają zwykle zakochane kobiety, albo jak ktoś, kto zmierza do bardzo szlachetnego celu.

Henning miał wrażenie, że Agneta wymyka mu się z rąk. To nie może się stać! Nagle uświadomił sobie, że życie bez Agnety będzie nieznośne.

Padczas lekcji chodził po hallu, tam i z powrotem, tam i z powrotem. W końcu dzieci wyszły, a on, jąkając się, poprosił Agnetę, by została jeszcze chwilę. Jest coś, o czym chciałby z nią porozmawiać.

Była wyraźnie zdenerwowana. Spoglądała na duży zegar w hallu, wiszący pomiędzy prastarymi portretami dzieci Silje.

— Ja.... Ja nie wiem, prawdę mówiąc... to bardzo się spleszę — powiedziała i jakby mimo woli dotknęła swojej dużej torby.

Henning raz jeszcze zastanowił się nad jej zawartością. Szkolne podręezniki nie mogły zajmować aż tyle miejsca, tego był pewien.

— Ale ja cię proszę — nalegał. — To dla mnie bardzo ważne.

Starał się działać jak najszybciej, dopóki odwaga go nie opuści.

Skinęła głową i dzieci wyszły. Henning poprosił, by wrócili do szkolnego pokoju, tam będą mniej skrępowani.

Fakt, że ona się tak jawnie spieszy, czynił go jeszcze mniej pewnym, a jego słowa brzmiały nie tak, jakby sobie życzył. Mimo wszystko jednak zdolał wydusić z siebie, że jego córka potrzebuje matki, a on sam pragnąłby mieć żonę. Może nie najlepiej dobrane zdania jak na oświadczyny, brzmiało to raczej tak, jakby szukał darmowej gospodyni, która poprowadzi mu dom.

Agneta spuściła wzrok. Na jej policzkach pojawily się wyraźne rumieńce, które z wolna spływały w dół, na szyję. Minęła dobra chwila, zanim odpowiedziała.

— Dziękuję ci, Henningu, ale ja mam pewien obowiązek...

Dobry Boże, a cóż to za odpowiedź! Henning widział, że ona sama jest zdenerwowana tym, co powiedziała.

— To znaczy, ja chciałam powiedzieć, że... Akurat teraz nie bardzo mogę ci odpowiedzieć — jąkała się, a słowa płynęły nieskładnie. — Ja...

Głos uwiązł jej w gardle.

Henning pojmował, że jeśli teraz wszystkiego nie wyjaśni do końca, może ją utracić. Niepewnie wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Agneto, powiedziałem nie to, co chciałem. Ja... Mam dla ciebie wiele czułości. Pragnę, byś została moją żoną, bo nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Widział, że Agneta z trudem łapie oddech. Bardzo starannie dobierała teraz słowa.

— Ja z radością przyjęłam twoje oświadczyny — powiedziała uroczyście. — I gdybyś mi tylko dał trochę czasu, żebym mogła przedstawić sprawę rodzicom, to ja... Ale...

— Ja, naturalnie, sam do nich pójdę — wtrącił pospiesznie. — Muszę tylko najpierw wiedzieć, czy tobie samej ta myśl nie sprawia przykrości.

O mój Boże, myślał z rozpaczą. Czy człowiek może być bardziej drętwy? Ale czasy wtedy były takie. Takie surowe poglądy na życie przychodziły z Anglii, gdzie panowała królowa Wiktoria, rok był 1883, i w większości krajów Europy, w tym także w Norwegii, obowiązywały zasady mieszczańskiej, fałszywej moralności.

Agneta wciąż stała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Mnie... Mnie ta myśl sprawia wyłącznie radość — wyszeptała. — Gdybyś jednak zechciał okazać trochę cierpliwości i jeszcze trochę zaczekał, to dowiesz się... wielu rzeczy. A wtedy zastanowimy się, czy powinieneś pójść do moich rodziców.

W końcu spojrzała mu prosto w oczy, a on w jej wzroku dojrzał ból.

— Myślę jednak, że to beznadziejne. Oni się nie zgodzą — szepnęła i wybiegła z domu.

Henning zaciskał zęby. Wszystko poszło, można powiedzieć, średnio. I jakie to tajemnice ona ukrywa?

Ulvarowi powodziło się znakomicie. Tak znakomicie, że zastanawiał się, czy nie zostać na dłużej w chacie komornika. Nie, oczywiście, że nie. Miał przecież cel, który pragnął osiągnąć. Musi pomóc Tengelowi Złemu. A ponieważ nie udało mu się zdobyć fletu, trzeba próbować innych metod. Miał gotowy plan. Zgodnie z tym, co wyczytał w księgach Ludzi Lodu, kontakt z przodkiem najłatwiej było nawiązać w Dolinie Ludzi Lodu. A zatem powinien się tam udać. Musi jednak być dobrze przygotowany, żeby nie potrzebował zawracać, jak Ulvhedin czy Ingrid albo Heike i Tula.

W takim razie musi zdobyć skarb. Za wszelką cenę; jeśli będzie trzeba, to gwałtem, po trupach, to zresztą nie stanowi dla Ulvara żadnej przeszkody. Wiedział, że musi to zrobić, nie wiedział tylko jeszcze jak. Ta część planu nie była gotowa. Nie może pójść do Doliny bez skarbu, to pewne.

Tymczasem rozkoszował się uczynnością Agnety. Przychodziła do niego codziennie z jedzeniem i różnymi smakołykami. Zrobiła mu bardzo wygodne posłanie, sprzątała i ozdabiała chatę, dbała, by mu niczego nie brakowało.

Po latach spędzonych w strasznych warunkach zakładu dla psychicznie chorych to wszystko było niczym rozkoszny sen.

Dlatego też kiedy do niego przychodziła, stawał się słodki jak miód. Była bardzo spłoszona i wyraźnie się go bała, ale on przemawiał najłagodniejszym tonem i najdelikatniejszym głosem, przypominał sobie dawno zapomniane dobre maniery, których uczyli go Henning i Malin, i często skarżył się na bóle, to tu, to tam. Chętnieleżał w łóżku, kiedy przychodziła, i miał „gorączkę”. Wtedy gładziła go delikatnie po czole i przygotowywała mu coś gorącego do picia. Udawało mu się też nakłonić ją czasami, by przyniosła coś mocniejszego z plebanii. Dolewała mu parę kropli do rozgrzewającego napoju, a była tak głupia, że potem zostawiała całą butelkę. Te cholerne baby są naprawdę głupie!

Ale przyjemnie było na nią popatrzeć. Ulvar leżał, układał swoje tajemne plany i rozkoszował się jej widokiem, jak biega po izbie, sprząta i szykuje jedzenie.

„W domu mówię, że zabawię dłużej w Lipowej Alei” — zwierzyła mu się kiedyś.

Ale tego dnia była jakaś odmieniona. Widział, że ręce Agnety drżą, kiedy podawała mu kubek. Na policzkach płonęły jej rumieńce.

— Czy coś się stało? — zapytał swoim najsłodszym głosem.

Agneta drgnęła i popatrzyła na niego. Wciąż jeszcze nie przywykła do jego okropnego wyglądu, jeszcze przejmował ją dreszcz, kiedy się do niej odzywał, a minę miała taką, jakby zjadła coś niestrawnego. Ale była dzielna, nie skarżyła się nigdy.

— Czy się stało? — zapytała spłoszona. — Nie, a co miałoby się stać?

— Ja nie wiem. Czy nikt się o mnie nie pytał? — zastanawiał się Ulvar.

— W Lipowej Alei? Nie. Dlaczego oni mieliby mnie pytać o ciebie? Ale Henning wspomina cię od czasu do czasu. Zastanawia się, co się z tobą stało. Bo przecież wiedział, że Wilk wrócił.

— Naprawdę tak powiedział?

— A czy on nie nazywa ciebie Wilkiem? Ja tak to zrozumiałam. To znaczy ja wiem, że masz na imię Ulvar, ale to przecież naturalne, żeby na kogoś o tym imieniu mówić na przykład „Wilczek”...

— Dobrze, dobrze, skończmy z tym — przerwał jej niecierpliwie. — Ale dlaczego tak chętnie rozmawiasz o Henningu?

Miał wrażenie, że Agneta straciła na chwilę oddech. Potem głęboko wciągnęła powietrze, długo je wypuszczała z powrotem i nareszcie musIała powiedzieć to, o czym starała się przez cały dzień milczeć.

— Henning zapytał, czy wyszłabym za niego. Myślę, że mogę ci o tym powiedzieć. Jesteś praecież jego bliskim krewnym.

Ulvar usiadł na posłaniu. Patrzył na nią szeroko otwanymi oczyma, w których pojawiał się i znikał żółty błysk.

— Co? — ryknął szyderczym śmiechem. — Henning się o ciebie oświadczył? Dzisiaj? I co mu odpowiedziałaś?

Agneta poczuła się dotknięta jego tonem. Nie podobało jej się też, że Ulvar wstaje z łóżka. A poza tym wcale nie wyglądał na chorego.

Urażona powiedziała:

— Podziękowałam mu za zainteresowanie, ale poprosiłam, żeby na odpowiedź poczekał, dopóki nie wypełnię swojego zobowiązania. Zresztą musimy porozmawiać z moimi rodzicami, a to wcale nie będzie łatwe.

Wyskoczył z łóżka i biegał po izbie w skarpetkach, przypominał dzikie zwierzę tropiące ofiarę. Od tego leżenia w pościeli w ubraniu cuchnęło od niego niewietrzoną odzieżą. Agneta odnosiła wrażenie, że jest obrzydliwie natarczywy.

— No i co odpowiesz Henningowi? — syczał, parskając śliną. — Chciałabyś takiego ślamazarnego, starego dziada?

— Tak, chciałabym — odparła ostrzej, niż zamierzała, uważała bowiem, że Henning zasłużył sobie na obronę z jej strony. — On wcale nie jest ślamazarny, jest troskliwy i dobry. To wspaniały mężczyzna.

Jej upór drażnił Ulvara. Stał się nieostrożny. Porzucił udawaną łagodność i z ponurą miną zbliżał się do niej. Ona uskoczyła w bok.

— Henning — syczał przez zaciśnięte zęby. — Henning jest diabłem. Nie wiedziałaś o tym?

— Wcale nie jest, to nieprawda!

Ulvar widział, że jego bliskość przepełnia ją obrzydzeniem, podszedł więc jeszcze bliżej.

— Henning mnie okłamywał. Przez całe życie mnie okłamywał! Skarb Ludzi Lodu należy do dotkniętych, a nikt, nikt w tym przeklętym domu nie powiedział mi, że ten skarb w ogóle istnieje. Ukryli go przede mną, ukradli to, co należy do mnie! Ale teraz koniec z tym! Teraz ja im oddam. A Henning... Henning dostanie pierwszy!

— Nie! — wykrztusiła. — Nie masz prawa robić mu nic złego, on się tobą zajmował od chwili, gdy się urodziłeś, on nawet pomógł ci przyjść na świat!

— On ukradł mój skarb! — ryknął Ulvar. — A teraz ja ukradnę jego skarb!

— Jego skarb? Co chcesz przez to powiedzieć? — szepnęła Agneta drżącym głosem, spoglądając ku drzwiom. Ale on zastąpił jej drogę.

Ulvar zrobił krok w jej stronę, a potem jednym gwałtownym szarpnięciem rozerwał na niej suknię. Krzyknęła rozpaczliwie i starała się jakoś zasłonić piersi. Ulvar uderzył ją po rękach i ściągnął suknię z ramion.

— Nie! — krzyczała Agneta. — Nie, nie, co ty robisz? Oszalałeś?

— Stul pysk, ty cholerna świętoszko, ty głupia babo! — syczał przez zęby. — Teraz posmakujesz czegoś, o czym marzyłaś przez całe swoje życie, stara panno! Chciałaś mnie nawracać? Siedzieć tu i czytać mi psalmy, co? Nie przyszło ci do tego głupiego łba, że mi to kością w gardle staje? Wyobrażałaś sobie, że mnie zawrócisz z drogi, że zrobisz ze mnie pokornego baranka? A teraz widzisz, że to wszystko gówno! Nic więcej, tylko gówno! Mój władca jest tak silny, że on...

Słowa i wyobraźnia go zawiodły, więc wynagrodził to sobie ściskając mocno szyję Agnety.

— A gdybym tak teraz przekręcił tę kurzą szyjkę, to co byś powiedziała?

Nic, jak sądzę, przemknęło Agnecie przez myśl, sytuacja jednak była za poważna na żarty. Musiała przyznać, że jeśli chodzi o Ulvara, pomyliła się kompletnie. Teraz ujawniał się w całej okazałości jego prawdziwy przerażający charakter. Był śmiertelnie niebezpieczny!

— Proszę cię, oszczędź moje życie — wykrztusiła, bo trzymał ją tak mocno za gardło, że ledwo mogła mówić.

Wtedy puścił z ostrym, szyderczym śmiechem. Tym znanym śmiechem Ulvara, którego ona jeszeze nigdy nie słyszała.

— Twoje życie? Nie, nie zamierzam pozbawiać cię życia! To by była zbyt prosta zemsta na Henningu. Nie, on może sobie ciebie wziąć, ale uszkodzoną! Wtedy zobaczymy, czy będzie cię w ogóle chciał.

— Nie! — wrzeszczała Agneta. Ale została wepchnięta do kąta, z którego w żaden sposób nie mogła uciec, nie miała też możliwości obrony. Ulvar zaczął odpinać pasek.

Agneta wpadła w histerię.

— Nie wolno ci mnie tknąć! — krzyczała, zasłaniając twarz rękami. — Nie dotykaj mnie, ty...

— No, no, co chciałaś powiedzieć? — skrzywił się z paskudnym grymasem. — Kim ja jestem?

— Potwór! Bestia!

Zrozpaczona, próbowała mu się wymknąć, tłukła zaciśniętymi pięściami, ale trafiała tylko w jego ramię. Widziała, że Ulvar od pasa w dół jest nagi, i wrzeszczała jak opętana.

Przez dłuższy czas wszystko było jedynie chaosem, ona walczyła jak wściekła, żeby mu się wyrwać, a on chwytał ją natychmiast z powrotem, gdy tylko choć na chwilę błysnęła jej nadzieja, że może uda jej się oswobodzić, i przez cały czas zdzierał z niej ubranie, sztukę po sztuce. W końcu już nie miała ani jednej szmatki, którą mogłaby się okryć. Padła na kolana z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Ulvar chwycił ją za włosy i brutalnie podniósł z klęczek. Nie chciała patrzeć na jego nagie, obrzydliwe ciało, pełne potwornych ran i blizn, zupełnie zwierzęce, a teraz gotowe, żeby...

— Obiecuję ci, że porozmawiam z Henningiem o skarbie — płakała głośno. — Będę go prosić, błagać, by ci go oddał.

Przez kilka sekund pełnych nadziei spostrzegła, że on stoi bez ruchu, jakby zastanawiał się nad taką możliwością.

— Obiecuję ci — szlochała. — Nie ustąpię, dopóki nie dostaniesz skarbu.

Bo Agneta nie miała pojęcia, czym ten skarb jest, myślała, że chodzi tu o jakieś z materialnego punktu widzenia wartościowe przedmioty. Nie wiedziała nic o tym, jak niebezpieczny może być skarb, gdyby wpadł w ręce jednego z dotkniętych, owładniętych wolą czynienia zła. A jeśli o to chodzi, Ulvar należał w pewnością do najgorszych.

Silnym ciosem powalił ją znowu na ziemię.

— Ech, i co, myślisz, że by ci dał? Żebyś mi przyniosła? Masz naprawdę wysokie wyobrażenie o sobie, ty cholerna dziwko!

Próbowała się czołgać, ale on złapał ją wpół i rzucił na posłanie. Agneta znowu zaczęła krzyczeć, ze strachu i z bezgranicznego obrzydzenia.

Ulvar był coraz bardziej rozwścieczony, w końcu wpakował jej w usta jakąś brudną szmatę.

— Nareszcie zamkniesz pysk, ty przeklęta idiotko! I koniec już z tym wygłupianiem się.

Wszystko stało się śmiertelnie groźne, Agneta nie widziała możliwości ratunku. Biła i drapała, darła paznokciami jego skórę i kopała, ale co mogła osiągnąć? Ulvar miał przewagę pod każdym względem, a teraz trzymał szamoczącą się kobietę pod sobą.

Z obrzydzeniem, rozpaczą i przerażeniem poczuła, że bierze ją w posiadanie. Nie miało znaczenia, że sprawiło jej to potworny ból. Znacznie gorszy był wstręt, kiedy czuła, jak się w niej porusza. Cały akt był tak poniżający i tak upokarzający, że Agneta nie mogła pojąć, dlaczego jeszcze nie umarła.

Trzeba jednak przyznać, że nie zrezygnowała do końca. Broniła się przez cały czas. Nie była dla Ulvara łatwą zdobyczą. Długo musiał walczyć, zanim w końcu osiągnął zadowolenie.

Kiedy nareszcie skończył, był taki zmęczony, że po prostu opadł na posłanie. Agneta miała jeszcze tyle siły, że brutalnie zepchnęła go na podłogę i wylała mu na głowę zawartość jego własnego nocnika.

Potem złapała swoje ubranie i uciekła. Próbował ją złapać, ryczał wściekle, ale nie mógł się pozbierać na zalanej i śliskiej podłodze.

ROZDZIAŁ XIV

— Tato — pytała Benedikte swoim świszczącym głosem. — Dlaczego Agneta do nas nie przychodzi?

— Nie wiem, moje dziecko — odparł Henning zmęczony. — Naprawdę nie wiem.

Ale wiedział, dlaczego. To była jego wina. Nie powinien był nigdy nawet wspominać jej o swoich uczuciach. Trzy tygodnie temu Henning dostał list. Pełen wzburzenia list od Agnety. Czytał go tyle razy, że teraz była to już postrzępiona kartka.

Drogi Henningu, nie powinieneś myśleć, że chciałabym okazać Ci niewdzięczność za to, że poprosiłeś mnie o rękę. To naprawdę wielka życzliwość z Twojej strony. Ale musimy po prostu zapomnieć o tamtej rozmowie, Henningu. Ja nie jestem Ciebie warta i nigdy, nigdy nie wyjdę za Ciebie. Za nikogo innego także nie.

To dla mnie prawdziwy ból, że muszę Cię zranić, ale nie mogę postąpić inaczej, jak tylko napisać ten list. Moje lekcje z dziećmi też muszą się skończyć, bo ja już więcej do Lipowej Alei nie przyjdę. Pozdrów ode mnie kochane dzieci.

Twoja oddana na zawsze

Agneta

Nie rozumiał tego. Chciał nawet pójść na probostwo i zapytać ją, co to znaczy, ale kiedy przed kościołem spotkał pastorową, ta powiedziała mu, że Agneta jest chora, leży w łóżku i nie może przyjmować żadnych wizyt. Nie, Henning nie powinien przychodzić, to nie wypada, by mężczyzna odwiedzał kobietę leżącą w łóżku. Co jej dolega? To nerwowa sprawa, mruknęła pastorowa i poszła sobie. Wyglądało na to, że wie równie mało jak on, na czym polega choroba Agnety.

Henning zamierzał napisać list. Zupełnie neutralny list z pytaniem o zdrowie, ale nie potrafił sformułować go tak, jak by chciał. Bo cokolwiek napisał, to wynikało z tego jasno, że niczego nie rozumie i jest zraniony jej nagłym zerwaniem.

„Oddana”, napisała Agneta, a nie tylko „serdeczne pozdrowienia”. Oddanie oznacza dużo więcej.

Nie, nie wolno pozwalać sobie na żadne marzenia!

Ale zapomnieć o niej nie mógł.

W kilka dni po tym, jak Benedikte zapytała o Agnetę, do Henninga zaczęły docierać alarmujące raporty. Były to wiadomości wchodzące do domu kuchennymi drzwiami, powtarzane przez służbę w różnych domach. Docierały też, oczywiście, do Lipowej Alei.

Nie wszystko było tak jak trzeba z panienką na probostwie. Szeptano mianowicie, że niestety, moja pani, nie dbała o siebie za dobrze, a w końcu jej ktoś zajrzał pod spódnice, tak, tak, moja pani, jakiś kawaler...

To niemożiiwe, myślał Henning, całkowicie tym ogłuszony. Nie Agneta! To nie może być prawda! Nie ona! Prosił służące, żeby nie rozsiewały takich plotek. Naprawdę mogłyby uwierzyt w coś takiego?

Ależ to prawda, sama pomocnica kucharki z plebanii to mówiła. A niech no tylko pastor i pastorowa się dowiedzą, to noga panienki na probostwie nie postoi!

Henning zły był sam na siebie za pytanie, które wyrwało mu się mimo woli:

— Skąd pomocnica kucharki może wiedzieć takie rzeczy?

— O, widziała z pewnością ubranie panienki — wyjaśniła służąca.

Agneta... chora? Za tym musi się kryć coś innego. Henning nie zamierzał wierzyć plotkom, był lojalny wobec Agnety. Myślał o tym, co napisała w liście do niego: Nie jestem Ciebie warta. Ważył i roztrząsał wszystkie informacje. Najpierw powinien jednak pójść do Agnety. List mógłby zostać przejęty przez jej rodziców, więc nie odważył się pisać.

Nie zdążył jednak wybrać się na probostwo, ponieważzaszły nowe wydarzenia.

Ulvar miał tyle rozsądku, żeby wiedzieć, iż jego napad na córkę pastora może wywołać mnóstwo zamieszania i nie wiadomo, jak się to dla niego skończy. Zabrał więc wszystko, co mogło mu być potrzebne, i ukrył się w lesie. Niedaleko chaty komorniczej. Nie chciał stąd odchodzić, bo przecież musi zdobyć skarb, niezależnie od tego, ile by to miało kosztować.

Minęło jednak pięć dni, a nic się nie działo. Wobec tego wrócił do chałupy, bo tam miał jeszcze zapasy jedzenia. Agneta zaopatrzyła go dobrze w przysmaki ze spiżarni na plebanii.

Dni płynęły, jedzenie zaczynało się kończyć. Przeklęta dziwka, czy ona nigdy nie przyjdzie? Pozwoli mi tu leżeć i zdychać z głodu?

Jakaś ponura myśl kołatała w jego zepsutej duszy i mówiła mu, że Agneta rzeczywiście już nie przyjdzie.

Wspomnienie było dla niego mało przyjemne. Miło było zemścić się w ten sposób na Henningu, bo ten nędznik nie będzie już chyba teraz chciał mieć do czynienia z przechodzoną panienką! Ale ona sama upokorzyła Ulvara okropnie. Cholerna dziwka! Jeszcze za to dostanie!

A zresztą, chichotał pod nosem. Już i tak została ukarana.

Nie, nie może tak leżeć w tej chałupie i czekać nie wiadomo na co o głodzie! A poza tym musi zdobyć skarb!

Ostatecznie to głód zmusił Ulvara do opuszczenia kryjówki. Nie miał jeszcze żadnego konkretnego planu, ale nie wątpił, że wpadnie na jakiś pomysł. Marco mógłby mu pomóc. Marco bywał od czasu do czasu nieprawdopodobnie głupi, miewał jakieś szlachetne ideały, ale do brata zawsze odnosił się dobrze. Był Ulvarowi wierny. Tak, należy wykorzystać Marca.

Tengel Zły musiał długo czekać. Ale czas się zbliża!

Przeszedł przez zagajnik i skierował się wprost do Lipowej Alei. Była niedzieła, a Ulvar wiedział, że w niedzielę wszyscy się tam zbierają. I głupia Malin, i ten jej jeszcze głupszy Per, i ich smarkacz, no i Marco.

— Teraz! Teraz dranie zobaczą! — powiedział Ulvar i poprawił pasek od spodni.

Henning gotów był właśnie iść na prabostwo, kiedy przyszła Malin z rodziną. Malin była zmieniona na twarzy z przerażenia.

— Co się stało? — zapytał Henning na jej widok.

— Henning, tak mi przykro. Ale właśnie dowiedziałam się, że Agneta została wypędzona z domu.

— Co? Gdzie ona jest?

— Nie wiem. To się podobno stało dzisiaj rano. I proboszcza nie było w kościele, tylko wikary. Wszyscy wiedzą o awanturze.

— O mój Boże, kochana mała Agneta, co z nią będzie? Muszę ją odnaleźć. Ona mnie potrzebuje!

Malin położyła mu rękę na ramieniu.

— Tak, pawinieneś ją odszukać. Bo teraz Agneta opowiedziała, co się stało. Ona została zgwałcona, ale w domu jej nie uwierzyli.

Henning zbladł.

— Zgwałcona? Przez kogo?

— Myślisz to samo co ja? Otóż ona wyznała rodzicom, a służąca podsłuchała, że zaopiekowała się człowiekiem odepchniętym przez wszystkich. Chciała zrobić dobry uczynek i chciała, żeby jej bliski przyjaciel, Henning Lind z Ludzi Lodu, mógł być z niej dumny. No i ten mężczyzna ją zgwałcił.

— O mój Boże — wyszeptał Henning.

— Tak, ale to nie wszystko. Bo gwałt będzie zdaje się miał następstwa.

— Jakiego rodzaju następstwa? — spytał Henning. Wargi odmawiały mu posłuszeństwa, więc słowa zabrzmiały bardzo niewyraźnie.

Malin westchnęła.

— Ja się boję, Henning. Boję się bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić. Kiedy mówię o następstwach, to mam na myśli, oczywiście, te najbardziej naturalne w takich wypadkach. A on przecież jest chory! Czy nie pamiętasz, co ludzie gadali?

Żadne z nich nie wymówiło jeszcze ani razu imienia Ulvara. Ale oboje dobrze wiedzieli, kto zgwałcił Agnetę.

— Tak, pamiętam — odparł Henning, któremu się po prostu zbierało na płacz. — Nie chcieli go trzymać w szpitalu ze względu na niebezpieczeństwo zarażenia innych chorych. Och, biedna Agneto, co ja mógłbym dla ciebie zrobić? Muszę cię odszukać...

W drzwiach stanął Viljar.

— Ulvar jest na dziedzińcu — powiedział bezbarwnym głosem. — I wziął Benedikte jako zakładnika.

Świat zawalił się Henningowi na głowę.

— Benedikte? — zapytał spokojnie, lecz brzmiało to jak krzyk.

— Tak. I grozi, że poderżnie jej gardło, jeśli nie dostanie skarbu Ludzi Lodu.

Wszyscy zebrali się na dziedzińcu. Otaczali kręgiem Ulvara, który stał za niczego nie rozumiejącą Benedikte. Jak na ironię, dziewczynka była znacznie wyższa niż jej porywacz. A on nie przestawał miotać na wszystkich przekleństw, nienawistnych słów i okropnych pogróżek.

Naprzeciwko niego stał Viljar z Belindą. I Henning, i Marco, i mały Christoffer. A także Malin i Per.

I nikt nie mógł nic zrobić. Nikt nie był w stanie pomóc Benedikte.

Dzień był wietrzny, lecz mimo to ciepły. Szeleściły liście lip w alei i trawy w ogrodzie. Po dziedzińcu tańczyły małe gałązki niesione wiatrem. Po tym starym podwórzu, po którym chodził Tengel Dobry z uczuciem szczęśeia, że los dał mu to wszystko. Budynki zmieniły się od tamtej pory, lecz ziemia była ta sama. Z jak zawsze wydeptaną trawą tam, gdzie ludzie chodzili na skróty, i ze starymi żwirowanymi alejkami, z zapachem stajni i obory i z jaskółkami śmigającymi w powietrzu.

A teraz zapanowało tu zło. Przekleństwo Ludzi Lodu znowu dało o sobie znać.

Henning był bliski utraty zmysłów z rozpaczy.

— Zabrałeś mi wszystko, co miałem drogiego, Ulvarze. Zawiodłeś moje zaufanie. Przez całe życie odpłacałeś mi złem za dobro. Zabrałeś mi przyszłą żonę i zniszezyłeś jej życie. A teraz chcesz zabrać mi to, co mam na ziemi najdroższego!

— Tę tutaj? — zapytał Ulvar z szyderczym chichotem. — Też jest o co podnosić krzyk. Paskudniejszego dzieciaka nigdy nie widziałem! Ale ty lepszego nie mogłeś zrobić, ty ślamazarny koźle!

Benedikte... Mała, niezdarna, nieszczęśliwa Benedikte w swojej pięknej niedzielnej sukience w małe czerwone serduszka. Tak strasznie kochała tę sukienkę! Wkrótce z niej wyrośnie. Jeśli nie... Może nie będzie miała okazji już z niczego wyrosnąć.

Nie! Od takich myśli można oszaleć!

Per powiedział ostro:

— Puść dziecko, Ulvarze, bo jak nie, to wezwiemy policję!

— Dla niej już i tak będzie za późno. Viljar, ty stary, okaleczony słabeuszu, przynieś mi natychmiast skarb! Nie dostaniecie dziewczyny z powrotem, dopóki nie dacie mi skarbu.

Wiatr bawił się szpakowatymi włosami Viljara.

— Nie możesz dostać skarbu — powiedział starając się, by brzmiało to spokojnie, choć był tak zdenerwowany, że dygotał jak w febrze. — Przyrzekłem to Heikemu na statku, którym wracaliśmy z Danii. Dobrze wiesz, że użyłbyś go w niecnych celach.

— Tak, właśnie tak zrobię. I muszę go mieć!

— Gdzie zamierzasz z nim pójść? — zapytała Malin.

— Nic cię to nie obchodzi, ty stara zdziro! Ale mogę ci powiedzieć. Zamierzam pójść do Doliny Ludzi Lodu. Bo Tengel Zły mnie wybrał, żebym go uwolnił.

— Głupie gadanie!

— Myślicie, że go nie widziałem, co? I mało brakowało, a już byłbym go uwolnił. Już prawie miałem w ręku flet...

— O mój Boże — szepnął Viljar.

Powietrze przeszył ohydny śmiech.

— Tak, tak, oszukałem was wszystkich! Nie wiedzieliście o tym, co? Że przeczytałem wszystkie te przeklęte księgi o Ludziach Lodu. Tuż pod waszymi nosami!

Wszyscy wstrzymali dech. Jego trzymająca nóż ręka groźnie zbliżała się do gardła Benedikte.

— Ale podstępni ludzie spalili flet. Wobec tego muszę mieć skarb, i to szybko. Nie mam już czasu, żeby czekać.

— Skarbu tutaj nie ma — powiedział Henning.

— Wiem o tym, stary baranie! Ty, Viljar, ze mną i z dzieciakiem pojedziesz po skarb. I będziesz robił, co mówię, bo jak nie, to...

Wykonał nieznaczny ruch nożem, a Benedikte krzyknęła głośno. Po szyi dziewczynki spływała strużka krwi.

— Ulvar — poprosił Marco. — Puść Benedikte!

Ulvar odwrócił się do niego natychmiast.

— A ty trzymaj pysk! Palcem w bucie nie ruszyłeś, żeby mi pomóc, a taki niby jesteś miłosiemy! Ty także pojedziesz z nami. Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak i musiałbym ciachnąć.

Zrobił dla demonstracji groźny gest.

Dziewięcioletni Christoffer zobaczył, że jego najlepsza przyjaciółka płacze. Widział krew na jej szyi i zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, dopadł do niej.

— Nie wolno ci kaleczyć Benedikte! — zawołał i zaczął szarpać Ulvara za rękę.

Malin krzyknęła i zrobiła krok naprzód. Wszyscy widzieli, że dłoń Ulvara zaciska się na nożu. Wtedy rozległ się strzał, a jego echo długo jeszcze odbijało się od zabudowań.

Ulvar wytrzeszczył oczy i patrzył, niczego nie rozumiejąc, na swego brata. Potem osunął się na ziemię, a nóż wypadł mu z ręki.

Marco stał z dymiącym pistoletem w dłoni.

Skąd on wziął tę broń? pomyślał Henning, bo jego umysł nie był jeszcze w stanie przyjąć innych wrażeń.

Benedikte rzuciła się z płaczem w ramiona ojca, a on przyciskał ją do siebie z desperacją.

— Tato — szlochała żałośnie. — Czy ja jestem brzydka?

— Nie — odpowiedział, a płacz dławił go w gardle. — Nie, Benedikte. Nie, dla mnie jesteś najpiękniejszą dziewczynką na świecie.

— I dla nas także — powiedziała Malin, kucając obok małej. — Dla nas wszystkich jesteś ładna.

Pośrodku podwórza klęczał Marco i płakał. Nigdy przedtem nie widzieli go w takim stanie. Ten niezwykle urodziwy młodzieniec trzymał w objęciach ciało brata i plakał gorzkimi łzami.

— To było konieczne, Marco — powiedziała Belinda łagodnie.

— Wiem, ale on był moim bratem. Zawsze mnie podziwiał, a ja musiałem to zrobić. Ja go kochałem, Belindo. W jakiś dziwny sposób kochałem go.

— Wiemy o tym, Marco. My też go kochaliśmy.

— Czy myślicie, że on zdążył się zorientować, kto go...?

— Nie, Marco — odparł Viljar. — To była momentalna śmierć.

— Dziękuję — szepnął Marco i pochylił głowę nad swoim bliźniaczym bratem. Gładził delikatnie jego niesforne włosy.

— Ale jak udało ci się to zrobić? — zapytał Viljar zdumiony. — Ten pistolet był przecież zamknięty.

Marco potrząsnął głową.

— Nie pytaj o to — powiedział zdławionym głosem. — To nie ma znaczenia. A zresztą, skoro chcesz... Widziałem przez okno, że Ulvar trzyma Benedikte, i wziąłem pistolet, bo bardzo mnie to zmartwiło. Nie chciałem, żeby... Ulvar...

Viljar skinął głową. Wszyscy jednak widzieli, że wyjaśnienie go nie zadowala. Tego pistoletu nikt prócz niego nie mógł wyjąć. Tylko on miał klucz.

Solve też to potrafił, pomyślał Henning. Solve potrafił wezwać, jeśli tak można powiedzieć, rzecz albo człowieka, którego akurat potrzebował, po prostu siłą myśli.

Patrzyli na niezwykłego Marca, którego właściwie wcale nie znali; zawsze był taki powściągliwy i zamknięty w sobie. Pokazywał tylko piękną i łagodną fasadę, a im to wystarczało.

Marco wstał. Pomogli mu ułożyć zwłoki brata na ławie, uporządkować jego ubranie. Viljar okrył zmarłego swoją kurtką. Bo jeszcze wiele spraw pozostało do wyjaśnienia...

— Marco — powiedziała Malin. — Myślę, że masz nam co nieco do powiedzenia.

Odeszli kawałek od ułożonych na ławie okrytych zwłok. Marco otarł łzy i spojrzał na nią pytająco. Reszta otoczyła ich i czekała.

— Zawsze byłam taka wdzięczna Ulvarowi — powiedziała Malin. — Bo chociaż odnosił się do nas złośliwie, to zawsze nas ochraniał przy pomocy wilków. Chociaż nigdy nie chciał się do tego przyznać. Ale ja wierzyłam.

Marco uśmiechnął się ze smutkiem.

— Uważałem, że tak będzie najlepiej. Że będziecie o nim myśleć dobrze.

— A więc właściwie to ty...?

Nagle uświadomili sobie, jaka cisza zaległa nad Lipową Aleją. Wiatr ustał, tylko z bardzo daleka dochodził gwizd pociągu, smutny i przeciągły. Ale zewnętrzny świat przestał ich teraz obchodzić. Była to chwila obrachunków Ludzi Lodu, więc i czas przestał mieć znaczenie. Mogli się znaleźć w dowolnym stuleciu, tak w każdym razie czuli.

Marco stał naprzeciw nich w pewnym oddaleniu. Wykonał ledwo dostrzegalny ruch ręką i nagle spoza budynków wybiegły dwa ogromne wilki i stanęły po obu jego stronach.

Zebrani jęknęli.

— Ale od czasu do czasu bywały trzy — powiedział Per.

— Gdybyście tylko chcieli spojrzeć za siebie...

Odwrócili się natychmiast, lecz niczego nie dostrzegli. A kiedy powrócili do dawnej pozycji, Marca także nie było. Na jego miejscu stały trzy wilki.

Po chwili zjawił się znowu Marco, a dwa wilki zniknęły.

— Więc to byłeś ty? — szepnęła Malin. — Ty sam? To ty uratowałeś Pera i mnie przed spaleniem w willi Johnsena?

— Tak. Nie udało mi się powstrzymać Ulvara, by jej nie podpalał. Ja nie miałem nad nim pełni władzy.

— I ty pilnowałeś Christoffera, kiedy był malutki?

— Nie, to jeden z moich... pomocników. Ja musiałem chodzić do szkoły.

Pojmowali instynktownie, że o pomocników nie powinni pytać.

— To ty uratowałeś Viljara, kiedy topił się w rzece — powiedziała znowu Malin. — Ale dlaczego zatrzymałeś mnie, kiedy biegłam za Ulvarem do lasu?

— Bo tam robił najmniej szkód. Było mi tylko przykro z powodu tego człowieka, który uciekając z Lipowej Alei musiał umrzeć. Tego, co dostał ataku na schodach własnego domu. Nie wiedziałem, że ma słabe serce, byłem za mały, żeby rozumieć takie sprawy.

Belinda przyglądała mu się zamyślona.

— Marco... A tego dnia, kiedy my z Viljarem wróciliśmy do domu, całkowicie wyniszczeni i fizycznie, i psychicznie, jedno umierające, drugie bez zmysłów... Pamiętasz, że ktoś wtedy przychodził do nas nocą? Nie, chyba nie możesz pamiętać, byłeś za mały. Ale ten, kto do nas przychodził, sprawił, że wyzdrowieliśmy.

Uśmiechnął się tym swoim oślepiającym uśmiechem.

— To byłem ja. Pamiętam to bardzo dobrze. Wybaczcie mi, że odzywałem się do was wtedy tak niegrzecznie! Ale chodziło o to, żeby spowodować reakcję, zmusić was do działania.

— A te błyski i grzmoty, które tak bardzo imponowały mnie i Henningowi, a o których myśleliśmy, że zawdzięczamy je Ulvarowi, to także ty? — zapytała Malin.

— Chcecie zobaczyć małą demonstrację? — uśmiechnął się. — Nie, to niepotrzebne, ale to byłem ja. Ulvar uwielbiał, kiedy ja, jak to określał, czarowałem. Zawsze śmiał się z tego serdecznie.

No, serdecznie to może akurat nie najlepsze określenie dla grzmiącego śmiechu Ulvara, ale wszystk układało się teraz w bardzo logiczną całość.

Dzieci patrzyły na Marca wytrzeszczonymi oczyma. Zdaje się niewiele pojmowały z tego, co się stało, na wszelki wypadek mocno ściskały ręce swoich ojców. By nikt im nie odebrał Henninga albo Pera.

Henning zmarszczył brwi.

— A mimo wszystko pozwalałeś Ulvarowi na te wybryki? On robił mnóstwo naprawdę okropnych rzeczy, z których nie znamy na pewno nawet połowy.

— Tak jak powiedziałem, nie miałem nad nim ani pełnej kontroli, ani władzy. A poza tym musiałem czekać. On miał przecież zadanie do spełnienia.

— No tak, miał zadanie. A teraz jest za późno.

— Nie, wcale nie. On wykonał swoje zadanie.

Henning zamarł. Wszyscy patrzyli na niego, a on myślał o czymś intensywnie.

— Agneta — szepnął w końcu. — A więc to prawda! Ale że ona mogła być ofiarą... Chociaż to oczywiście wyrok losu. Zawczasu postanowione. A zatem ona znalazła się pod opieką Ludzi Lodu.

Malin próbowała śledzić tok jego myśli, ale nie bardzo jej się to udawało.

Henning podniósł wzrok na korony lip w alei. Wiatr znowu poruszał gałązkami, a liście mieniły się różnymi odcieniami zieleni i żółci. Przypominał sobie tę noc, kiedy Saga umierała, pozostawiając dwóch nowo narodzonych synków: „Od jednego z nich pochodził będzie najpotężniejszy z Ludzi Lodu. Ten drugi ma... inne zadanie do spełnienia”.

Henning napotkał wzrok Marca. Ile właściwie wiedział ten dwudziestodwuletni młodzieniec?

— A więc to Ulvar jest tym, który miał się przyczynić do rozwoju rodu! Od niego ma pochodzić zbawca. A ty, Marco? Co z tobą?

Niebezpiecznie urodziwy młodzieniec uśmiechnął się smutno.

— Dla mnie wybiła właśnie godzina i będę musiał was opuścić...

— Opuścić nas? — wołali jedno przez drugie.

— Tak.

— Czy to było twoje zadanie? — zawołał Henning. — Zabić brata, kiedy wykona to, do czego został przeznaczony?

— Nie, nie. Ale, Henning, jeśli chcesz znaleźć Agnetę, to powinieneś się spieszyć. Bo ona jest właśnie w drodze, żeby opuścić parafię. Idzie głównym traktem w stronę Christianii.

— Muszę ją natychmiast tutaj przyprowadzić!

— Tak! I nie bój się. Ani ona, ani dziecko nie zostały zarażone straszną chorobą Ulvara.

— Prędzej czy później ta choroba i tak by mu zabrała życie — powiedziała Malin, która przecież była z wykształcenia pielęgniarką i od razu stwierdziła u Ulvara oznaki syfilisu.

— Bez wątpienia — potwierdził Marco. — Ale najpierw doprowadziłaby go do utraty zmysłów. A już i tak był wystarczająco niebezpieczny.

Marco podszedł do Henninga i uściskał go serdecznie.

— Dziękuję ci! Byłeś najlepszym przybranym ojcem, jakiego mogło miee dwóch osieroconych chłopców. Dzięki tobie przeżyliśmy trudne narodziny, a potem mieliśmy spokojne i bezpieczne dzieciństwo. Dziękuję ci także w imieniu Ulvara. Był w tym domu taki szczęśliwy, jak tylko ktoś do niego podobny mógł być.

— Ale ty nie możesz nas opuścić, Marco.

— Muszę. Właśnie teraz, w tym roku, muszę was opuścić. A ty spiesz się, dogoń Agnetę, żeby nie odeszła za daleko.

Henning uścisnął go po raz ostatni, otarł po kryjomu oczy, zostawił Benedikte pod opieką Malin i pobiegł starą lipową aleją, która zachowała swój charakteri swoją urodę mimo wszelkich przemian, jakie się w parafii wciąż dokonywały.

Marco zwrócił się do Malin.

— Takie same podziękowania należą się tobie, Malin. Byłaś wspaniałą przybraną matką dla nas obu. I wybacz mojemu bratu wszystek ból, jaki ci zadał.

Malin nie była w stanie odpowiedzieć, coś dławiło ją boleśnie w gardle. Przypomniała sobie Marca, kiedy był maleńki... Jak jego skóra połyskiwała czasami złotem w blasku ognia na kominku. Ten połysk teraz zniknął, ale jeszcze parę lat temu widziała go, pamięta, w blasku ognia w noc świętojańską.

Malin zawsze zastanawiała się nad tym chłopcem i jego pochodzeniem.

— I ty, Per — rzekł Marco wzruszony. To była dla niego bardzo trudna chwila. — Ty zająłeś się nami, choć sam nie masz w sobie ani kropli krwi Ludzi Lodu. Z bardzo ciężkim sercem opuszczam was wszystkich.

— No, a twoje wykształcenie, mój chłopcze? Czy chcesz to wszystko zmarnować?

— Nie, wprost przeciwnie, to było absolutnie niezbędne. To ważny etap na mojej drodze.

Na jakiej drodze? zastanawiali się wszyscy. Ale coś powstrzymywało ich od zadawania pytań.

Marco podszedł do sześćdziesięciotrzyletniego teraz Viljara.

— Teraz, najdroższy przyjacielu, długi czas cierpień dobiegł końca. Wycierpiałeś dużo. Ciosów spadło na ciebie wiele i były bardzo bolesne, to tobie pisane było przeżyć najcięższe czasy Ludzi Lodu. Ale teraz mrok się rozprasza i nadchodzi brzask. Ulvar był ostatnim krzyżem, który musiałeś dźwigać; od tej poryr nic bolesnego nie dotknie już ciebie ani twojej Belindy.

Marco położył dłoń na głowie Beneditcte.

— Ta mała dziewczynka da sobie w życiu znakomicie radę. Jest silniejsza, niż możemy się domyślać. Pamiętajcie o tym, Viljarze i Belindo! I powiedzcie Henningowi. On musi o tym wiedzieć, bo zupełnie niepotrzebnie zamartwia się przyszłością córki.

— Jak dobrze to słyszeć — szepnęła Belinda.

Marco objął ją i mocno do siebie przytulił. Nazwał ją wierną dziewczyną, która przez małżeństwo weszła do Ludzi Lodu w najbardziej tragicznym dla rodu okresie i nigdy, nawet na moment ich nie zawiodła.

Jego słowa uszczęśliwiły Belindę.

Teraz Marco uściskał Benedikte, a potem wziął na ręce Christoffera.

— A ty, mały urwisie, jesteś niemal tak szalony jak twój dziadek Christer był w młodości. Chociaż nie, sporo ci jednak brakuje. Dbaj jak najlepiej o swoje kuzynki. Bądź opiekunem i rycerzem dla nich obu, dla Benedikte i dla małej córeczki Ulvara. To moja bratanica, pamiętaj!

Zebrani drgnęli. Skąd on może wiedzieć, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka?

Marco pożegnał się już ze wszystkimi. Stanął jeszcze na moment przy zwłokach brata.

— Zajmiemy się nim — powiedział Viljar. — Będzie miał godny pogrzeb. I spocznie wśród swoich przodków.

— Dziękuję — odparł Marco i ruszył w stronę lasu.

— A nie zabierzesz swoich rzeczy? — zawołała za nim Malin, pociągając nosem.

Odwrócił się i potrząsnął głową, a jego czarne loki tańczyły wokół twarzy. Nigdy nie widzieli nic równie pięknego jak ten uśmiech, który posłał żm na pożegnanie.

Wkrótce zniknął za zabudowaniami.

W lesie na wzgórzach czekały na niego dwa czarne anioły.

— Bądź pozdrowiony, Marco — powiedziały. — Twoi rodzice są bardzo z ciebie zadowoleni.

— Ale musiałem zabić własnego btata — rzekł z rozpaczą.

— To było nieuniknione. Ulvar miał w swoich żyłach zbyt dużo krwi Tengela Złego. Nie mogliśmy go pokonać, bo był wybrańcem złych mocy. A Tengel jest silny, wiesz o tym. Silniejszy niż większość mocy na tym świecie i poza nim.

— Mimo to moje serce jest ciężkie.

— Wiemy o tym. Twoi rodzice również są w żałobie.

— Dlaczego pozwoliliście mu działać tak długo?

W ciemnych oczach jednego z czarnych aniołów pojawił się wyraz zamyślenia, jakby spoglądał w przyszłość.

— To dziecko, które dziewczyna nosi, będzie miało wnuka...

— Ach, tak — rzekł Marco po krótkiej pauzie. — A wtedy godzina wybije?

— Wtedy Ludzie Lodu uzbroją się do walki z Tengelem Złym. Jak więc widzisz, czas się zbliża.

— Ale Ludzie Lodu nie będą musieli walczyć sami?

Czarny anioł uśmiechnął się tajemniczo.

— Nie. Nie będą musieli walczyć sami. Ale też pomoc będzie niezbędna. Nigdy ten świat nie widział równie potężnej i strasznej siły jak Tengel Zły, ten, który był dość odważny i wytrwały, by dotrzeć do Zródeł Życia i napił się tam wody zła.

Milczeli przez chwilę. Tu w górze las szumiał ponuro.

Marco westchnął.

— A ja? Co ja mam teraz robić?

— Teraz zaczyna się twój czas nauki, Marco.

Młody człowiek wyprostował się.

— Jestem gotów. Prowadźcie mnie tam, gdzie macie życzenie!

A na dole w Lipowej Alei Henning otwierał drzwi przed zdruzgotaną Agnetą.

Przeżyli długie i bardzo trudne chwile na drodze do Christianii. Przesiedzieli ponad godzinę nad rowem, przekonując się nawzajem, obwiniając siebie samych o to, co zrobili lub czego nie zrobili, tłumacząc szeptem trudne sprawy. Wiele łez zostało wylanych w ciągu tej godziny. Okazano wiele wyrozumiałości i ciepła. Rumieńce wstydu wypływały na policzki Agnety i znikały, samotność i rozpacz pojawiały się na przemian z zakazaną, ale coraz silniejszą nadzieją.

Teraz Henning zapraszał ją serdecznym gestem, by weszła do domu w Lipowej Alei.

Agneta pochyliła głowę i starała się odwzajemnić jego uśmiech. Czuła dla niego bezgraniczną wdzięczność, lecz akurat w tej chwili nie była w stanie okazać innych uczuć oprócz rozpaczy.

Razem z Agnetą ten próg przekraczała wnuczka Sagi. To był jej dom, Lipowa Aleja, stara siedziba rodu.